



kal. komp.

243455

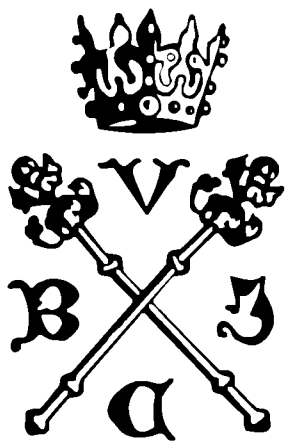
- 4,2

II

T. 4  
= 2







243455

II

WYDAWNICTWO MATERIAŁÓW

DO

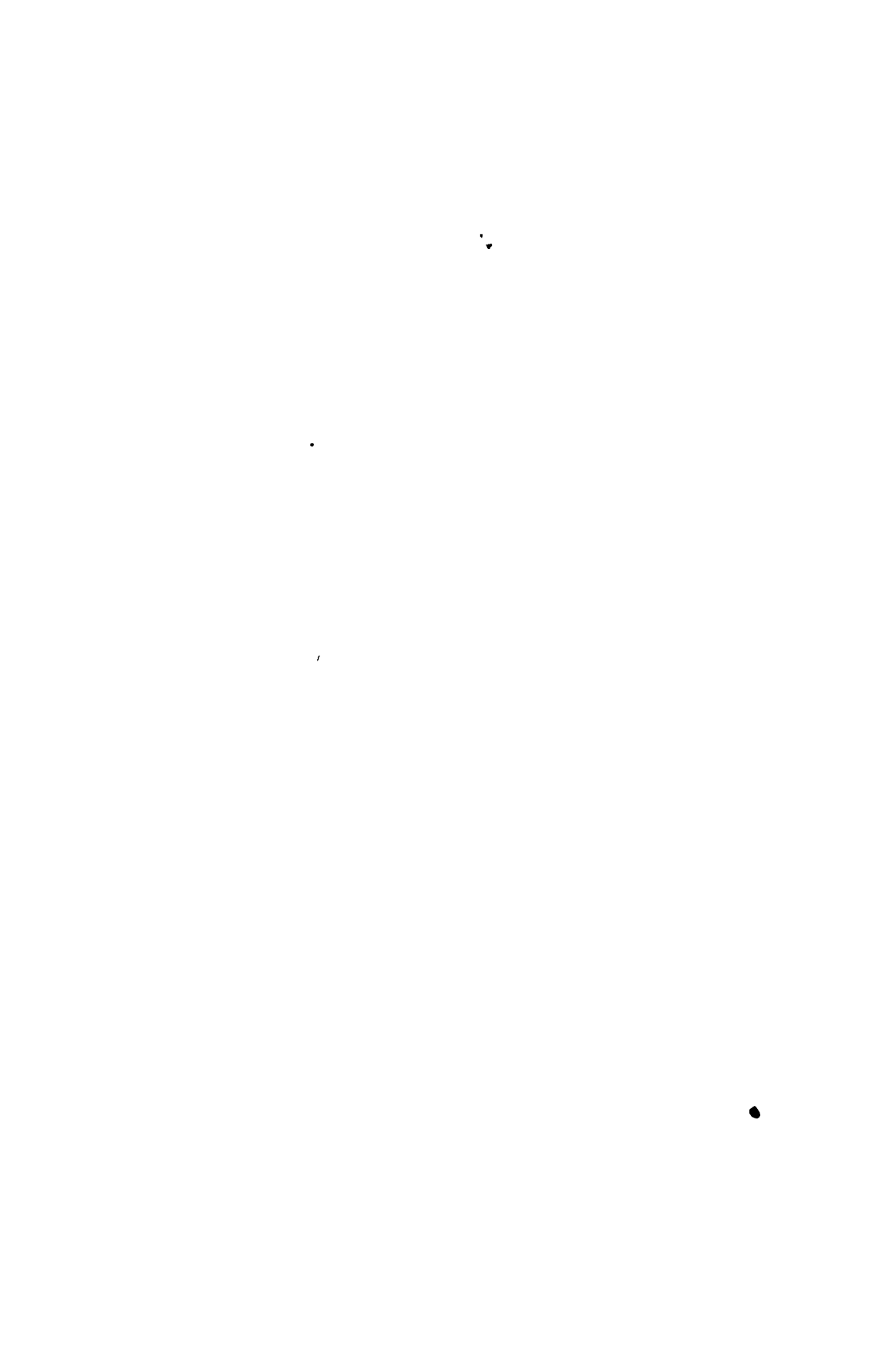
# HISTORYI POWSTANIA

1863—1864.

Tom IV. — Zeszyt II.

**L W Ó W.**

NAKŁADEM I OZCZONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ  
pod zarządkiem Stanisława Baylega.  
1894.



Biblioteka Jagiellońska

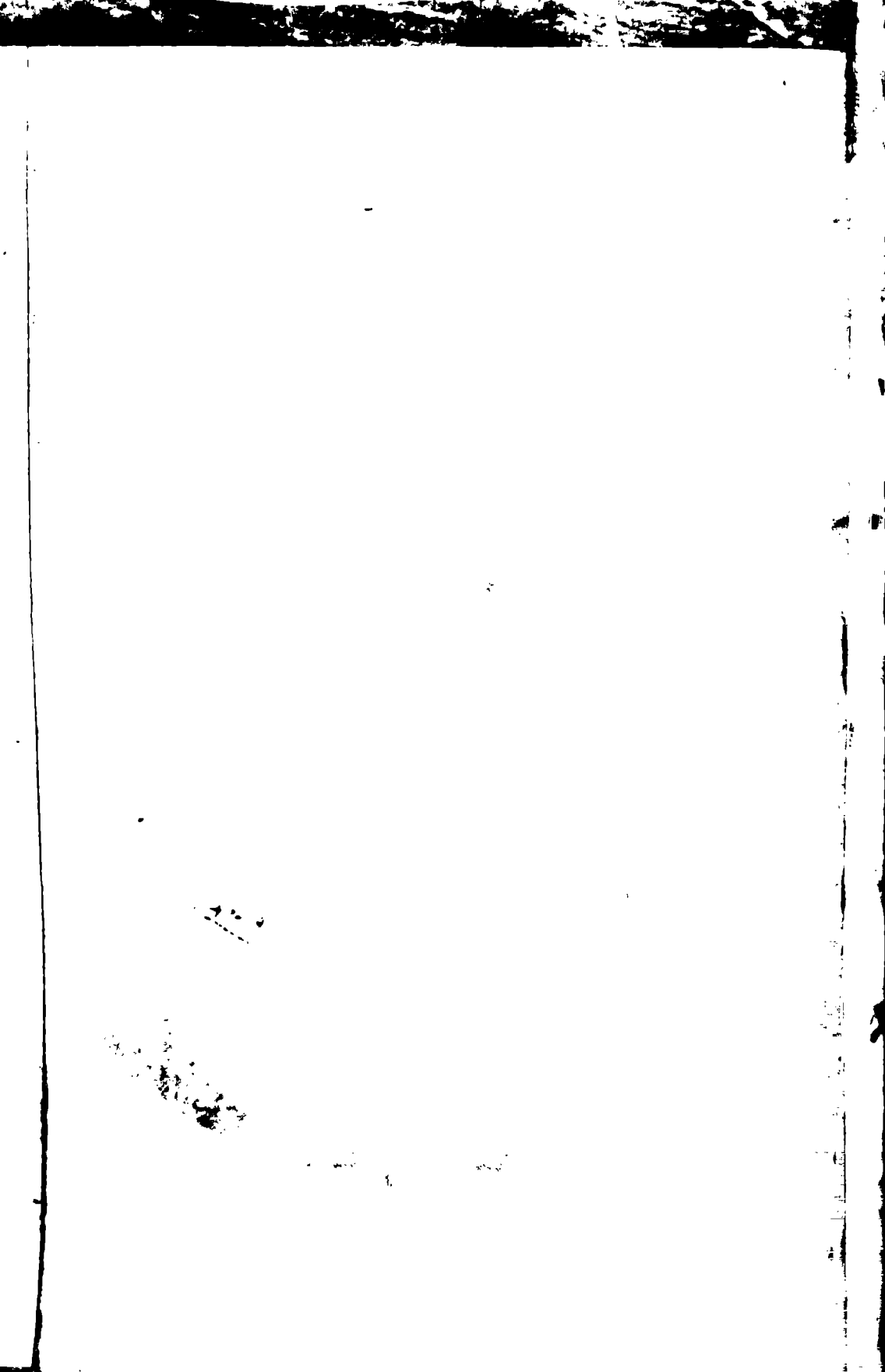


1001070935

# Romuald Traugutt i jego dyktatura.

nieś się ponad  
niż inni i kierc

skie  
niej ,  
wsze



# Romuald Traugutt i jego dyktatura

podczas powstania styczniowego.

(1863-64).

Pamiętnik skreślony przez Współczesnego.

„Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta,  
W samotności jak róża wśród lasów rozkwita;  
Dość ją wynieść na świat, postawić przed słońcem,  
Aby widarów zszedła jasnych barw tysiędem“...  
Adam Mickiewicz

Piętnaście miesięcy trwająca walka powstańcza 1863-64 wprowadziła na widownię bardziej lub mniej szeroką tłumy postaci, które na swych stanowiskach zdobyły pamięć, uznanie; ale ponad temi pamiętnymi imionami urasta jedna postać górująca, a takiej mocy charakteru i siły poświęcenia, iż w chwilach najcięższych na barkach swych unieść zdołała brzemień całe rozpaczliwego boju.

Podczas licznych usiłowań naszych wyjarzmiania się zwykliśmy powtarzać słowa Pisma: *Hominem non habuimus* — „człowieka nie mieliśmy“. W wielu razach okrzyk słusznym mienić się mógł, lecz nie zawsze. Styczniowe powstanie posiadało męża niepospolitego, cnót obywatelskich wyjątkowych, który umiał wznieść się ponad tłum i wypadki, zdołał sięgnąć okiem szerzej niż inni i kierować całą machiną powstańczą dłonią energiczną i twardą pół roku, a więc dłużej niż trzecią część okresu walki. — Mąż ten wybitny a niezapomniany — Romuald Traugutt.

Powstanie styczniowe tem się różni od wielu naszych usiłowań wyjarzmiania się, od wszystkich walk gdzieindziej prowadzonych, że czyny wielkie poświęcenia, zaparcia się siebie, czyny dodatnie wraz z mniej podniosłemi, cienie okrywające tajemne działania na zawsze ukryły je dla potomnych.

W dziwnie wyjątkowych warunkach walka ta powstała i była prowadzona. Wielekroć przypominała ona, nietylko



611091

243455

II  
- 4,2



WYDANIE DZIENNIKÓW  
Biblioteki Narodowej

## ROZDZIAŁ I.

W lipcu 1863 r. powstanie Styczniowe dobiegało do szczytu rozwoju, a zarazem, w tychże dniach lipcowych, na widnokregu wypadków ukazują się zjawiska złowróżbne dla walki rozpaczliwej. Oko spostrzegawcze obojętnego widza wypadków łatwo mogło dopatrzeć zjawisk złowróżbnych; uczestnicy wszakże, a do takich bez zaprzeczenia zaliczać potrzeba prawie cały ukształcwszy ogół ówczesny Królestwa — nic nie spostrzegali... Obojętnych widzów nie było, chyba w obozie wroga, więc nic nie widziano. Złowróżbne zjawiska dla nich nie istniały. Łudzono się i poddawano z dziwną łatwością wszelkim, bodaj najmniej uzasadnionym nadziejom. Wierzono mocno we wszystko, co rozniecać, żywić, podsycać mogło owe nadzieje: a więc wierzono w obcą pomoc, spodziewano się zbrojnej interwencji mocarstw, lada dzień, lub lada tydzień; wierzono w zwycięstwo stanowcze hufców powstańczych; spodziewano się czynów niezwykłych, wielkich w następstwa, czynów mocy i woli olbrzymiej od osłoniętych tajemnicą ludzi, stojących u steru rządu powstańczego; spodziewano się wybuchów i przewrotów wśród społeczeństwa rosyjskiego: słowem, wierzono we wszystko, co mogło podstawę jakiejś nadziei wytworzyć; wierzono często w najmniej podobne do ziszczenia faktu, i tem utrwalano nadzieję w wynik walki.

Uczestnicy powstania, zajęci wypadkami chwili, żyli życiem gorączkowym, życiem dnia i godziny ówczesnej, do przyszłości odleglejszej nie sięgali myślą; ci zaś co starali się usunąć zasłonę przyszłości widzieli owo jutro pomyślnem, wspartem na filarach obcej pomocy... Sięganie przypuszczeniami do najbliższego bodaj jutra, sięganie na dalszą metę spotykało się nader wyjątkowo. Wrażenia chwili wówczas otaczającej, chwili, która była dla nich teraźniejszością, pochłaniały ich najzupełniej.

W prowincjach dalszych, we wschodnich ziemiach, gdzie ruch rozpoczęty upadł w pierwszych dniach po wybuchu, gdzie mściwa dłoń zwycięzcy po łatwym tryumfie zaciążyła nad krajem, z całą grozą dzikich instynktów na wpół barbarzyńskiego wroga, już w dniach lipcowych promienie nadziei coraz słabszemi się stawały. Terroryzm Murawiewa rozwinął

w pojedynczych epizodach, ale w całym swym biegu, ów pamiętny Termopilski bój, iż nie pozostał ani jeden, by o bohaterstwie poległych rzekł.

Urosły na mogiłnikach powstania Styczniowego nowe pokolenia i, w ciągu lat omal nie trzydziestu, dojrzały do prac obywatelskich, ale nie znają wcale dziejów tej stosunkowo niedawnej epoki... Imię Traugutta nie zapomniane, lecz nieznanne, jak nie znane im w ogóle dzieje owych dni krwawych...

Wielkie boleście narodu sprawiły, iż jak człowiek targany bolem, bluźni a wyrzeka, kalając usta okrzykami dzikimi, tak rozpaczone społeczeństwo nasze, miotając się w bolach ucisku, samemu sobie dziś złorzeczy i gotowe nawet w paroksyzmach chorobliwego istnienia wyrwać z dziejów to, co niezatarciem głosci przeszłość w nich zapisała. Gotowe zaprzeć się chlubnych kart własnej historii.

Tego rodzaju usposobienie rozpaczliwe, chwilowe, dziwnie miłe myśli wroga, sprawiło, iż po wypadkach Styczniowego powstania urosło pokolenia, bądź teraz urastające, nie świadome bohaterstwa owych dni... A nawet, o zgrozo, jako człowiek wijący się w bólu, urąga mogiłom ojców... zabaczając w ten sposób o godności narodowej... zabaczając i o własnej czci...

Słuszną i godziwą jest rzeczą dla owych młodszych pokoleń, i dla tych, co przyjdą w przyszłości, zostawić słowo bezstronnego sądu, chociaż o pewnej części wypadków ówczesnych.

Mówić tu będę o kilku miesiącach powstania 1863-64 r., które ściśle połączone z bardzo wybitnem uczestnictwem w niem Traugutta. On to bowiem stał na czele Rządu Narodowego, jako tajemny dyktator, w ciągu sześciu miesięcy, od 10. października 1863 do 10. kwietnia 1864 r., i sam wyłącznie był kierownikiem zwierzchnim wszystkich spraw wewnętrznych i zewnętrznych tej walki już wówczas gasnącej. Sam jeden pracował i wystarczał za wielu, nie mógł wystarczyć za wszystkich, za naród cały...

Gdy inni ręce uznojone opuszczali, lub ginęli dokoła, gdy jeszcze inni z rozpaczą stali w obezwładnieniu, on pracował wytrwale za tłumy, za wszystkich, i zgonem męczeńskim zamknął ostatnią kartę walki...

żołnierza; urok nieskazitelności sztandaru nie wstrzymywał od zbrodni niegodnych żołnierza.

W płomieniach ginęły zaścianki litewskie; tłumy przerażonych mieszkańców szły na wygnanie, bez wyroku, bez winy wobec rządu najezdniczego; los okrutny, jaki je spotykał, czynił w jednej chwili tłumy nieszczęsnych braciów miłośnikami ojczyzny, podnosił i kształcił duchowo, wskazywał im, że mają ojczyznę. Zginęły tak I b i a n y na Żmudzi, J a w o r ó w k a na Litwie; zginęły i inne osady, których mieszkańców aż do podnóża gór Altajskich w Azji zapędzono. W drodze setkami ginęli oni ze znużenia, chorób. Dzieci ich wymierały massami, szczególnie w okolicach przyległych do Uralu, po obu stokach którego, spotykają się obok gościńca łączącego Europę z Azją cmentarzyska wyłącznie złożone z ofiar tego Murawiewowskiego terroryzmu. Terroryzm miał może w dalszym lat przebiegu swe następstwa dobre, wywoływał siłę odporną, lecz na razie rzucał postrach niezmierny wśród tłumów; przerażenie sięgało do głębi wszystkich warstw społecznych; opowiadano sobie na ucho szczegóły okrucieństw dokonanych w różnych zaściankach i powiatach Litwy. Po szerokim obszarze Litwy szybko biegły wieści o egzekucjach osób niewinnych, lub za ledwie o coś posądzonych, które sąd wojenny wprawdzie wyrokował, lecz na rozkaz z Wilna od Murawiewa przysłany, a więc bez innych motywów, byle tylko ktoś był w każdym powiecie stracony. Wieści te, acz w tysiącach ust brzmiały, od zarzutu jaskrawości dalekiemi mienić się mogły, bo groza rzeczywistości o wiele przewyższała wszystko, co mogła wytworzyć fantazyja. Groza pozycyi na Litwie pod każdym względem stała się doprowadzoną do ostateczności; najlepsi wyginęli na polu walk lub na szubienicach, inni poszli w pęta niewoli, garstka zaś nieliczna pozostałych pracowników na barkach swych brzemię nad siły dźwigała. Wytrwałość, siła odporna wielka, wrodzona mieszkańcom szerokich obszarów Litwy, już ku końcowi lipca, w dniach sierpniowych, zaczęła łamać się, kruszyć, rozpadać; już niejakię zwątpienie do serc wstępować zaczęło, odbijając się na całej czynności powstańczej owej prowincyi. Organizacyja cywilna funkcjonowała wprawdzie, ale coraz słabiej, powstańcze zaś oddziały, pojedynczo rozbijane, tajały szybko, niby śnieg pod naci-

się z całą mocą na Litwie. Wieszano i tych, którzy wobec rządu najezdniczego zawinili, i ludzi najzupełniej niewinnych. Zdarzały się przykłady na Litwie, iż wznoszono szubienicę dla tych, którzy wczoraj uznani byli za niewinnych. Tracono ich jedynie dla tego, że Murawiewa rozkaz przychodził, aby ktoś koniecznie w każdym powiecie był powieszony: w braku kandydatów, porywano na rusztowanie pierwszego z brzegu. Tak zginął młodzieńcki Pusłowski, w Nowogródku Litewskim, tak ginęli inni.

Wywożenia massalne właścicieli ziemskich, pospolicie ludzi najniewinniejszych, przekonanych nader umiarkowanych, spotykano na każdym kroku. W ten sposób szerzono przerażenie, nikt nie był pewnym jutra, ani chwili dzisiejszej; spokój rodzin, dobrobyt prowincyi, wstrząsano, burzono najzupełniej.

Nie poprzestano na zrujnowaniu jednej warstwy społecznej — ziemian — rzucano się na warstwy nawpół wieśniacze, lub wieśnia ze: wytępiano zaścianki szlacheckie w sposób trudny do uwierzenia; a jednak jest to jedna z kart dziejowych owoczesnego terroryzmu wroga. Dłoń rosyjanina, Berga, opisując krwawe, a pełne grozy sceny palenia osad, zaścianków na Litwie, i wypędzania mieszkańców na wygnanie, nie zataja wcale szczegółów okropnej prawdy. Świadcstwo wroga, acz w wielu razach bezstronnego, tworzy tu źródło dziejowe niemałego znaczenia. Łuna pożarów świeciła nad cichymi zaściankami litewskimi, ukrytymi w głębi kraju, stojącymi zdala od ruchów powstańczych. Dzika gospodarka Murawiewa niszczyła ogniem zaścianki, nie starając się nawet upozorować gwałtów brutalnej przemocy... Przybywał od wielkorządcy Litwy, Murawiewa, niespodzianie, niczem nie wywołany rozkaz do tego lub owego oddziału wojsk rosyjskich, aby o świcie stawał u chat wioski, mieszkańców wypędzał w pole, a głównie położki wkładał pod strzechę zagród wieśniaczych. Rozkaz najściślej wykonywano. Po spaleniu wioski, nieszczęsnych mieszkańców wypędzano na Sybir, wprost od zgliszcz chat i ich ubożego mienia. Karność niezmierna wojsk rosyjskich nie pozwoliła ani na jeden wyraz protestów w szeregach sprawców tych zbrodni. Spełniano bez szemrania, z zupełnym spokojem, czyny płamiące cześć

organizacyjna rozszerzała się, iż wiele żywiołów, przedtem nietkniętych, weszło do niej, iż wybitne ze swych społecznych stanowisk osobistości, obiecały swój udział w niektórych funkcjach organizacji narodowej. Do składu komisji przeprowadzającej, a przynajmniej mającej przeprowadzić poważną a trudną kwestyę wewnętrzną pożyczki, weszły najpoważniejsze osobistości rzeczonych prowincyj, mieniem swem reprezentujące poważną gwarancję dla biorących udział w tej finansowej operacji. Wszystko to wskazywało, iż powstanie trwało, zarówno na Zabużu, jak i w innych ziemiach, lecz w innej nieco było tam fazie swego rozwoju: przebywano na Zabużu ponownie okres przygotowawczy, na szerszą tylko skalę osnuty, wcielając do organizacji żywioły, które przedtem stały na uboczu, żywioły konserwatywne, lub najzupełniej obojętne, nierokujące wiele pożytku ze swego dłuższego pobytu w szeregach spisku. Po niewiele miesiącach przekonano się, że ten balast nietylko nie był pożytecznym, ale szkodliwym.

Terroryzm i w owych prowincjach rozwielał się, w innej wszakże formie niż na Litwie. Nie posiadały południowe prowincje Murawiewa, tego najwybitniejszego i najistotniejszego przedstawiciela ducha ludu rosyjskiego, nie stawiały długa w polu zbrojnych szeregów, nie wywoływały przeto licznych zemsty objawów; niemniej jednak poza wszelkie granice praw, ustaw miejscowych przekraczały wyroki, które pospiesznie na ujętych forowano. Siedm wyroków śmierci w Kijowie dokonanych, którym podlegli ludzie w znacznej części nie kwalifikujący się do tak srogich dekrétów, wskazywało światu, że powstanie polskie rozlało się szeroką falą; a echo znajduje tak daleko, jak sięgały granice wpływu i cywilizacji zachodniej, której Polska na Wschodzie była niegdyś krzewicielem.

Na całym wielkim obszarze ziem dawnej Polski, podlegających berłu rosyjskiemu, jak z powyższego ogólnego rzutu oka widzieliśmy, w dniach lipcowych 1863 r. walka toczyła się bez przerwy, o ile siły, możność starczyły, lub ku jej przedłużeniu czynione były usiłowania, a wiara w pomyślny jej wynik nigdzie nie gasła. W Warszawie szczególnie każdego obcego przybysza uderzała niezłomna wiara w jutro zwyciężkie, którą przejęci byli wszyscy, wielcy i mali, tłum

skiem marcowej szarugi i, wreszcie, ku końcowi lata bardzo ich niewiele tułało się po lasach i wśród bagien Litwy. Na Żmudzi tylko powstanie gorzało płomieniem jaskrawszym, głębiej bowiem sięgnęło wśród warstw ludowych; przeszły tam do najdalszych pokładów społecznych. hasła prądu ruchu zbrojnego: tam więc iskra nadziei dłużej istniała...

Żmudź posiadała nawet objawy nieznanne w innych okolicach kraju: z warstw ludowych powstawali dowódcy zbrojnych oddziałów powstańczych; jak np. Bitis, chłop żmudzki, walczył aż do wiosny 1864 r. na czele paruset chłopów. W odezwach, wysłanych z pod pióra Traugutta, spotykamy chlubne wspomnienia o Bitisie, który mężnie przedłużał walkę, podczas ciężkiej zimy z r. 1863-64.

W południowych prowincjach, na Wołyniu, Ukrainie, oddziały powstańcze w samym zawiązku rozbite zostały, już ich tam w dniach czerwcowych 1863 r. wcale nie widziano; jedne, organizując się, w pierwszych niemal godzinach swego wystąpienia, zniszczone i wytępione zostały, inne mocowały się dni niewiele, lecz i te wyparte były wprędce za kordon austriacki. Powstanie tam obalone było, lecz niemniej nie zamykało okresu czynności swych: ponownie organizowano się; na ruinach organizacji bądź upadłej, bądź też niezupełnie zorganizowanej, na nowo starano się wznieść rusztowanie organizacji cywilnej kraju i w niej wytworzyć podstawę do przyszłych działań zbrojnych. Ościenna Galicya miała być terenem formowania się oddziałów zbrojnych, które zamierzano wprowadzić na Wołyn i Podole, aby za ich pomocą rozżarzyć zarzewie powstania i pod ich osłoną rozszerzać ruch zbrojny w rzeczonych prowincjach. Odbudowywanie rusztowań upadłej organizacji, splatanie pospieszne sieci tajemnych przygotowań, tworzyło samo przez się pewnego rodzaju propagandę powstańczą, budziło w owych prowincjach żywszą nadzieję pomyślniejszego obrotu toczącej się w Królestwie i na Litwie walki powstańczej... Czy rzeczywiście to odbudowywanie organizacji rozbitej na drzazgi prowadzono z taką energią, jak głośiły raporty Komisarza Rusi, przysyłane do Rządu Narodowego. czy rzeczywiście robota wznawiania, ulepszania rozszerzania podstaw organizacji na Zabuzu robiła tak wielkie postępy, nie możemy dziś tego należycie ocenić: niemniej faktem jest, iż się

krwi i mienia, która głównym cementem mienić się mogła walki rozpaczliwej. Wiele miejscowości na całym olbrzymim obszarze kraju dorównywało Warszawie w szczytnej ofiarności; nikt jej w tem nie przewyższał.

W obec niesłychanego ucisku, szybko zmieniały się osoby na polu prac organizacyi; jedni szli na szubienicę, do więzień, na Sybir, lub na tęsknicę tułaczki, inni wnet ich zastępowali, mając w bardzo bliskiej przyszłości też sam e losy u celu swych prac. Ustępujący, jeśli tylko mieli czas i możność po temu, wskazywali swym następcom ową Golgotę, jako bliski kres i ich wędrówki. Żywioł nadziei tkwił w duszach tych ludzi, gdy skierowywali swą myśl ku całemu obszarowi pracy narodowej, ale wobec siebie samych, wobec jednostek nie łudzono się, dążono coraz dalej i dalej z całą samowiedzą grozy pozycyi osobistej.

Jak zapatrywano się na pozycyę indywidualną, jak dokładnie zdawano sobie sprawę z całej głębi przepaści, co się u ich nóg otwierała, i że głębie otchłani tej niczem zażegnanemi być nie mogą, świadectwa są liczne. Przytaczamy tu jeden z wielu przykładów owego wybornego zeznawania u jednostek pozycyi osobistej bez wyjścia.

Dwaj reprezentanci organizacyi prowincjonalnych, zasiadający w Rządzie Narodowym, tak zwani „Sekretarze Litwy i Rusi” byli ludźmi lat różnych: Sekretarz Litwy, Wacław Przybylski, był znacznie starszym i doświadczeńszym, a do Warszawy przybył i objął urzędowanie wcześniej, bo wnet po wybuchu (w lutym 1863 r); Sekretarz Rusi, M. D., przybył do Warszawy dopiero 8. maja (now. st.), właśnie w dniu gdy na Zabużu wybuch nastąpił. Starszy, znacznie wiekiem i doświadczeniem Sekretarz Litwy, W. P. widocznie pragnął dobitnie wskazać młodemu przybyszowi z Zabuża, co go czeka w blizkiej przyszłości, i na co powinien być przygotowany... Miało bowiem miejsce tego rodzaju zdarzenie, które tu, jako charakterystyczne, zapisujemy.

Zaprosił W. P. przybysza z Zabuża, Sekretarza Rusi, do siebie, w bardzo wczesny czerwcowy poranek, właśnie wówczas gdy X. A. Konarskiego i Abichta wieszano, na stokach cytadeli, i, wyprowadziwszy swego gościa na balkon, a mieszkał wtedy na ulicy Freta, po za wylotem której dla dobrego oka widocznymi były wały twierdzy, i zapytał go:



i ludzie wpływu. Ze stolicy wiara w przyszłość blizką, wywalczającą niepodległość, przechodziła do miast, miasteczek, wiosek kraju całego. Było coś w atmosferze niejako owych chwil, iż wiara w blizki tryumf nie gasła, owszem przez cały rok 1863 niemal codzień wzmagala się. Różnica sił i środków obozów walczących nikogo nie raziła: jednostki i masy, swoi i obcy, ani na chwilę nie usuwali myśli o pomyslnym wyniku tych mocowań się pełnych krwawego znoju. Przekonanie o rychłym zwycięztwie dodawało niejako mocy, odwagi do walczenia z naciskiem wroga, z naciskiem uwydatniającym się przeważnie na prowincyi: w Warszawie organizacya liczna i czynna posiadała wszelką możność ruchu, wszelką swobodę rozwoju; każda działalność mniej daleko była skrępowaną w stolicy niż na prowincyi. Wyjść z Warszawy bez stosownych legitymacyj, było trudnem niezmiernie, lecz w niej działać — jeszcze wtedy przychodziło dość łatwo.

Wpatrując się w oblicze ówczesnych pracowników na niwie usiłowań narodowych (mówimy tu o miesiącach letnich 1863 r.), widziało się w nich wiele spokoju, wiele rezygnacyi, która płynęła z różnych źródeł: u mas spokój wywoływała głęboka wiara w jutro, wiara niczem jeszcze nie zachwiana; jednostki własną dłonią dotykające się prac organizacyi lub oręża, widzieli konieczność poświęcenia siebie dla dobra powszechnego: i poświęcali się z dziecięcą, czy też raczej anielską prostotą. Szli na całopalną ofiarę ze spokojem, nie wiedząc, że są bohaterami, nie mierząc okiem przepaści, w którą rzucali swe życie, mienie, najdroższe ziemskie ukochania, spokój, przyszłość rodzin, swem istnieniem zapełniali przepaść niedoli narodu, stawali się podścieliskiem, na którym urosć miało drzewo niepodległości dla następnych pokoleń.

Ofiarność bezbrzeżna dokonywała się niby powszednia czynność życia codziennego; nie oglądano się na nic i na nikogo; czynili co im kazał głos sumienia, czerpali siły z wiary w Boga i z miłości ojczyzny.

Takiem było usposobienie chwili i pokoleń ówczesnych.

Warszawa, ześrodkowująca cały ruch powstańczy; Warszawa, siedlisko Rządu Narodowego, kierującego powstaniem, skupiała w sobie wszystkie nici ruchu zbrojnego i organizacyi powstańczej, a zarazem przodowała w tej ofiarności

iż nietylko mogli, umieli działać samodzielnie, zeznawczo stawać do wykonania tych lub owych obrotów, lub forteli wojskowych, ale ożywiał ich duch bezzaprzeczenia wielki; owi ludzie, z szeregów ówczesnej, litewskiej partyzantki, odznaczali się patryotyzmem podniosłym, bez względu czy z bardziej czy też z mniej wykształconych warstw pochodzili; i ów duch podniosły, ów patryotyzm, czysty niby iza, dźwignią się stawał w prywacyach, w trudach obozowych, w cięższych daleko na Litwie niż w Koronie losach ówczesnych powstańców. Twardemi były losy ówczesnych powstańców w Królestwie kongresowem, lecz o wiele cięższymi były prywacye i warunki trudne, z któremi się ścierał powstaniec litewski.

Z tych szeregów litewskiego powstania o hartownym duchu poświęcenia, o patryotyzmie podniosłym, a czystym niby kryształ, z tych ludzi wielkiej wiary w moc Boga, z tych szeregów gorąco miłujących ojczyznę wyszedł ten, co zdołał w chwilach najcięższych dla powstania wziąć je na swe barki, ująć rozsypującą się organizacyę w żelazne kleszcze woli i siły i sterować tą słabnącą łodzią walki do bohater- skiego końca swych dni — wyszedł maż wybitny a niezapomniany wśród narodu... Romuald Traugutt.

Organizacya powstańcza, w swych wyższych regionach, prawie do sierpnia 1863 r. nic, lub tak jak nic nie wiedziała o Traugucie. Województwo Brzeskie, gdzie on urodził się, mieszkał, gdzie miał posiadłość ziemską, gdzie wystąpił zbrojnie na czele oddziału, przy końcu kwietnia, rzeczono- go roku, wiedziało rozumie się o nim, znało go i komunikowało swe wiadomości do Warszawy, do wydziału wojny, ale wydział (pewien rodzaj ministryum) bardzo mało, lub prawdopodobnie nic zgoła nie wiedział jakiej to miary człowiek ów Traugutt, dymisyonowany podpułkownik saperów wojsk rosyjskich, właściciel ziemski z powiatu kobryńskiego, gubernii grodzieńskiej. Dowódców liczba znaczną była: Warszawa ich wszystkich nominowała; ale sfery decydujące w tym względzie pospolicie bardzo mało były poinformowane o jakości uzdolnień, nie mówiąc już o charakterze, energii, kandydatów na dowódców, lub dowódców. Przy wielkim braku ludzi fachowo wykształconych w sztuce wojskowej, nie tylko do wyższych komend, lecz nawet do podrzędniej-

— A widzisz co?... — Nic nie widzę. — Nic?... to ci dam lunetę, odparł Litwin i przyniósł mu dużą, śnać przygotowaną umyślnie lunetę. Zapytany spojrział przez lunetę, raz, drugi... wreszcie śnać dojrzał coś, bo kurczowe drzenie przebiegło mu twarz bladą i zawołał: „Widzę... szubienicę, a na niej wiszące dwie białe postacie!“... — „To nasz los... na tem skończymy, pamiętaj o tem“... rzekł Litwin.. nastąpiła chwila milczenia, i, wreszcie, młodziutki przybysz z Zabuża, oddając lunetę, szepnął: — „Pamiętam“... Dłonie tych ludzi spotkały się. Młodszy, o ile wiemy, wówczas, na balkonie ulicy Freta, uroczyste w myśli złożył postanowienie, aby nieopuszczać powierzonego mu stanowiska aż do końca: z postępowania tego — rzekł on w myśli — zdejmie mnie jeno kraj lub los; sam, dobrowolnie nie zejść... my co stoimy u szczytu drabiny organizacyi powstańczej, powinniśmy pierwsi iść na stos... Tego rodzaju postanowienia nie w jednym umyśle powstawały, nie w jednej piersi spotykały oddźwięk.

Poświęceniem, ofiarnością bezbrzeżną, zapalem, co góry przenosi, zaparciem się tych, którzy najbliżej lemieśza pracy stali, wszystko wówczas trwało, i tak długo trwało, póki nie przerzedziły się, a wreszcie nie padły szeregi ludzi poświęcenia — póki kraj nie stał się mogilnikiem i pustkowiem.

Dni lipcowe, od których rozpoczynamy opowiadanie nasze, posiadały jeszcze znaczną liczbę ludzi poświęcenia. Powstanie trwało wówczas w swej mocy całej, przynajmniej w Królestwie, gdzie około 1. sierpnia liczono pod bronią we wszystkich oddziałach powstańczych 30.000 zbrojnych. Nieliczne oddziały na Litwie, rozproszone, kryjące się wśród lasów, do obliczenia były trudne; tam jednak każdy ze zbrojnych, ze względu na charakter, duch patryotyczny Litwinów, wysoce rozwinięty, ze względu na obycie się z bronią, przy upowszechnionem łowiectwie, każdy, powtarzamy, zbrojny, mógł być liczony za trzech powstańców z innych okolic Polski. Ci strzelcy z zawodu, oswojeni od dziedzinstwa ze strzelbą, z puszcza, z dzikimi ostępami, w których umieli wybornie zasadzki lub pościg czynić na grubego zwierza, ścigać go, osaczać, chronić siebie od napadu niedźwiedzia, od skoków rysia i kopyt łosia, zastosowywali teraz swoją łowiecką sztukę do partyzanckiej walki. Na żołnierza ci łowcy przekształcali się szybko, na żołnierza tem celniejszego

falangę zaimprovizowanych dowódców, godną wysokiego podziwu i wiekustej w ojczystych dziejach pamięci.

Traugutt nie należał do szeregu zaimprovizowanych powstańczych dowódców; z wielu względów była to siła niepospolita i na stanowisku partyzanckiego wodza nielicznej gromadki powstańczej, od czego rozpoczął swój udział w powstaniu. Już w pierwszym okresie swej działalności mocno się wyróżnił; ale pomimo to, jak wyżej wspomnieliśmy, do końca lipca, bardzo mało, lub tak jak nic o nim nie wiadano w wyższych regionach władzy powstańczej. Gdy w połowie lipca, w skutek zapewne jakichś świeżych z Litwy wiadomości, na jednym z posiedzeń Rządu Narodowego, wspomnian o „pułkowniku Traugucie“, Sekretarz Stanu Rządu Narodowego, jako o postaci wybitnej, nikt z członków obecnych nie zwrócił uwagi na tę wskazówkę, nie poparł jej swą informacją, nawet Sekretarz Litwy, śnać i on również nie wiele więcej wiedział o tułającym się wśród błot pińskich mężu wielkiej energii i zaparcia się siebie, jak i inni członkowie Rządu. Napomknienie przebrzmiało niepostrzeżenie.

Drobną ta okoliczność jednym z dowodów, iż Traugutta pierwsze zjawienie się w Warszawie zupełną było niespodzianką, iż nikt go tam nie znał, a więc żadnych nie spotkał ułatwień, któreby mu drogę do steru torowały, żadnych nie mogło być nawet przeczuc, iż mąż to Opatrznościowy, który ujmie na swe barki nieco później całe brzemie powstania, unieść je zdoła, kierować będzie jego nawa w chwilach najcięższych, i zdoła męczeńskim zgonem swym wytworzyć epilog szczytny w bohaterskiej w głównych zarysach a rozpaczliwej walce.

\* \* \*

Skład Rządu Narodowego przez cały lipiec i sierpień 1863 r. pozostawał wciąż jednakim, nie zmieniano go, i sam on prawie nie zmieniał się w swym składzie. Zasiadało w nim wówczas czterech członków, których grono wprędce zmniejszyło się o jednego, gdyż Oskar Awejde wyjechał na niebezpieczny posterunek do Wilna, w charakterze członka wydziału tamecznej prowincyi. Mniemano, iż swą doświadczoną dłonią, zdoła utrzymać wciąż rozpadające się ruszto-



szych stanowisk, do przewodniczenia małym zbrojnym gromadom, skwapliwie chwytano każdego oficera, zgłaszającego się z gotowością stawania pod chorągwią powstańcą. Ta skwapliwość, może niekiedy zbyt wielka, na złe nie wyszła; jeżeli czasem omylono się w ocenieniu czyjejs wiedzy fachowej, bądź uzdolnienia partyzanckiego, co również mogło być udziałem każdego rządu jawnie i regularnie funkcjonującego, to nie mylono się wszakże na wartości moralnej tych ludzi idących najczęściej na śmierć niechybną... Wyjątki w tym razie były rzadkie; do takich ujemnej barwy wyjątków, zaliczamy parę pierwszych nominacyj i to ludzi niefachowych; jak powierzenie dowództwa smutnej pamięci Stasiakiewiczowi, który z dominikańskiego, czy jakiegoś innego zakonu kleryka stał się na Podlasiu przewodzącą partii powstańczej, licznej, zasobnej w oręż i żywność, złożonej z wyborowej młodzieży podlaskiej i litewskiej, z przyległego Brzeskiego: lecz człowiek ten wszystko zmarnował, młodzież przykładem gorszącym demoralizował, na kraj wpływał w sposób gorszący i, wreszcie, haniebnie zbiegł, straciwszy dużo czasu, środków, ludzi, nie stoczywszy ani jednej bitwy, rozwiązzy na dużej kraju przestrzeni urok, jakim walka ta o wolność była i powinna być otoczona, jeśli zwycięstwo udziałem jej stać się miało.

Pomyłki, o których mówimy, jeśli takowe niedopatrzenia do szeregu pomyłek dają się zaliczyć, zdarzały się poważnie w pierwszych chwilach powstania. Wówczas, zarówno jak bandy powstańcze, tak i ich dowódcy, byli pewnego rodzaju improwizacją. Stawały niespodzianie gromadki, wreszcie gromady i oddziały całe zbrojne, lub nawpół zbrojne, ożywione duchem rycerskim, idące z całą odwagą zaprawnego do boju żołnierza, z całym bohaterskim poświęceniem: na czele tak zaimprowizowanych szeregów stawali często zaimprowizowani dowódcy, którzy na zawsze pozostaną chlubnym wspomnieniem w dziejach naszych walk o niepodległość. Wspominamy tu tylko kotlarza Borełowskiego (znanego pod imieniem Lelewela), X. Mackiewicza, lekarza i artystę Dłuskiego, (znanego pod imieniem Jabłonowskiego), Jankowskiego, wieśniaka Żmudzkiego, Bitysa, Neczaja, lekarza z nadbużańskiej Dubienki. Kilka tych imion, że nie mówimy o innych, tworzą

nycn. Szczerby raz wytworzone sklejonymi nie były i być nie mogły.

Zamachy wewnętrzne i spiski dążące do obalenia Rządu Narod. popolicie wychodziły z łona organizacyi miejskiej stolicy kraju. Od chwili zawiązku pierwszych spisków, które przygotowały ruch zbrojny, miasto stołeczne kraju — Warszawa — jako pierwotne i jedyne siedlisko tajemnych kno- wań spiskowań, przyzwyczało się do wpływu na komitet ruchu; przywłaszczało sobie prawo kontroli nad czynnościami komitetu, prawo krytyki i opozycyi. Zdawało się tym panom z organizacyi miejskiej miasta Warszawy, że takie ciągle rozprawianie z zakrojem krytycznym jest czynnością patrio- tyczną; że opozycya — to obowiązek. Obowiązek ten, nie- stety, spełniano, i podnoszono ponad inne a rzeczywiste obo- wiązki obywatelskie.

Krytyka i opozycya, najłatwiejsze zawsze, wprędce rozplenily się z dziwną szybkością i nader bujnie. Oplą- wały one, niby pasorzytne rośliny, wątłą latorośl władzy najwyższej powstańczej, i tak dość skrępowanej, bo tajemnej rezydującej w mieście i kraju, które były przepełnione siecią władzy nieprzyjacielskiej i jej bagnetami. Z owej krytyki czynności rządu powstańczego urastały szemrania, insynuacje, powoli ale wciąż podkopujące istnienie tego lub owego składu Rządu Narodowego.

Do opozycjonistów przyplątywały się popolicie różne żywioły burzliwe: ludzie próżni, pyszałkowie, rozprawiacze, krzykacze, ślepi czciciele wielkiej rewolucyi francuzkiej, którym się zdawało, że Polska wówczas tylko będzie, gdy na nasz grunt przefflancują się hasła i sposoby działania Francuzów z końca ubiegłego wieku. Z różnorodnych tych żywiołów wytwarzał się ferment rozsadzający machinę rzą- dową.

Jeżeli co osiągało się skutecznie, to właśnie owo rozsaz- dzanie machiny rządowej. Padał ofiarą głównie Rząd Nar., bo on, acz niewidzialny, celem był głównym pocisków, lecz wstrząśnienie bieгло daleko, dawało się uczuć wszystkim or- ganom władzy powstańczej, bliższym i dalszym, aż do naj- mniejszego z kółek tej machiny. Po każdym z przewrotów, po każdej z owych rewolucyj wewnętrznych, czynność wszel- ka ustawała, kierunki działania zmieniały się, ludzie do pracy

wanie organizacyi litewskiej. Po wyjeździe Awejdy, Rząd składał się aż do przewrotu Wrześniowego z trzech członków i Sekretarza Stanu; na posiedzenia zaś przybywali dwaj tak zwani Sekretarze — Litwy i Rusi — tudzież naczelnik miasta, którym w lipcu i po części w sierpniu, widziano Wacława Przybylskiego. Posiedzenia odbywały się codziennie, w godzinach rannych i południowych, z całą systematycznością i niemal pedantyzmem biurowym. Miejsce zmieniano codziennie, ale pospolicie odbywały się zebrania te w punktach pewnych kolejno. Było takich miejsc zebrań kilka, niekiedy więcej, nie powtarzały się przeto często posiedzenia w jednym i tem samym miejscu.

Funkcjonowanie i innych biur powstańczych odbywało się podówczas w Warszawie z zadziwiającą systematycznością, porządkiem, jak gdyby stolica nie była zajęta przez nieprzyjaciela i na każdym kroku nie strzegły jej mieszkańców nieprzyjacielskie bagnety, szpiedzy, policya. Niektóre biura powstańcze posiadały, w pewnych chwilach letnich miesięcy, po kilka pokojów, w których pracowano z całym spokojem, chociaż bezpieczeństwo pracowników opierało się jedynie na przypadku. Jeden krok nierozważny, jeden wyraz, traf nieprzewidziany mogły wytworzyć wyłom w szeregach organizacyi i całe biuro oddać na pastwę zbirów. Pospolicie nad bezpieczeństwem biur takich, codziennie, w jednym miejscu regularnie przy licznych udziale pracowników funkcyjnych, lub nad spokojem posiedzeń Rządu Narodowego, czuwała jakaś jedna kobiecina, czy też służący, ludzie prości, ale wielcy swem poświęceniem.

## ROZDZIAŁ II.

Do największych ciosów, uderzających o powstanie ówczesne, ciosów tajemnych, na zewnątrz niewidzialnych, ale wstrząsających całą budową organizacyi, wywołujących w jej szeregach szczyrby dotkliwe, przedewszystkiem zaliczyć potrzeba kilkakrotne przewroty, obalające rząd powstańczy i wytwarzające nowy jego skład. Podczas każdego z tych przewrotów gmach organizacyi powstańczej zarysowywał się od góry do dołu pod naciskiem owych wstrząśnień wewnątrz-

karności w ludziach, składających nieraz wszystko w ofierze, oprócz swej próżności i doktrynerstwa.

Zjawisko to psychiczne nader ciekawe, z czasem do głębszych zapewne studyów da pole dla badaczy dziejowych tej pamiętnej chwili, którzy kiedyś na grobach owych pokoleń i dzisiejszych pokoleń urosną.

Obóz nieprzyjacielski cieszył się niezmiernie z posiadania wybornych sprzymierzeńców w opozycjonistach i spiskowcach, czyniących wciąż zamachy na sterujących władzą powstańcza, opozycjonistach dążących do rozsądzania machiny rządzącej powstaniem i walczącej z wrogiem. Każdy tajemny zamach na prawny porządek powstańczy, z trudnością sklecony, z wysiłkiem wielkim utrzymywany, wyrównywał wielkiej bitwie wygranej przez nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel każdy tryumf opozycjonistów mienił swoim tryumfem, i słusznie.

Pierwszym takim zamachem było wytworzenie dyktatury Langiewicza, która jedynie na dni, jeśli nie na godziny, liczyła swe istnienie, padając zaś pociągnęła do upadku cały ruch zbrojny. Pod naciskiem obalającej się budowy, rozpręgały się na prędcie sklecone zawiązki powstańcze, zagasiły promienie zapалу pierwszego, ruch w zawiązku został sparializowany. Co wówczas zachwiało się, spaczyło, nigdy już do zupełnej nie wróciło równowagi.

Późniejsze wznowienie powstania, po upadku Langiewicza, świadczyło wprawdzie, że żywioły ruchu objęły obszernie przestrzenie kraju, że odrębna walka nie została narzuconą narodowi, ale wypływała z ówczesnych usposobień społeczeństwa, niemniej jednak ruch stałby się szerszym i posiadłby więcej szans powodzenia, gdyby nie owe dwa zamachy, jeden po drugim spadające na powstanie: przyjęcie dyktatury przez Langiewicza i wnet potem wypuszczenie dobrowolne władzy dyktatorskiej z rąk dyktatora.

Pierwszy ten przykład zamachu nie przeszedł bez następstw: stał się niejako wzorem i zachętą dla innych kno-wań tajemnych, dążących do obalenia różnych składów Rządu Nar. — Po pierwszej próbie inne zamachy szły szybko jedne po drugich: przy końcu powstania liczone owych wstrząśnień wewnętrznych cały szereg.



stawali inni lub ich brakło; a szeregi im świeższe, im późniejsze, tem były słabsze męztwem, wytrwałością, uzdolnieniem, doświadczeniem. Zastępy ludzi bezbrzeżnego poświęcenia — ci co pierwsi ujęli pracę na barki swe, gdy padło hasło wybuchu — już od dawna legli w mogiłach; dosięgły ich kule, bagnety lub stryczek wroga.

Przerzedziły się znacznie w ciągu pierwszych kilku miesięcy walki zastępy najdzielniejszych, których widziały pamiętne dni styczniowe.. Owego całego zastępu młodzieży podniosłego ducha, który spotykał się również u lemiesza pracy organizacyjnej, jak i na polach walk, z pięćkroć liczniejszym wrogiem, nie widzimy nie tylko w dniach lipcowych, ale w dniach wcześniejszych już ich nie ma na arenie wypadków — wszyscy w mogile.. Stawali oni na polu pracy narodowej jako pierwszorzędni pracownicy, pracowali uznani za wielu, za tłumy, padli więc pierwsi..

Mówimy tu tylko o jednym zastępie z liczby innych licznych hufców tego rodzaju pracowników; i w innych szeregach spotykamy też same objawy: najlepsi, najgorętsi idą pierwsi w ogień, — idą na wyłom — i giną. Drugie, trzecie, dziesiąte może powołanie żołnierzy i pracowników ruchu, wezwanych do dźwignania tego, czego poprzednicy unieść nie zdołali, wytrzymałszem, silniejszym od pierwszych powołań nie było i nie mogło być... Coraz słabsze zastępy stają: rzecz to nader naturalna, i powszechna, wszędzie, wśród wielkich wysiłków spotykana..

Zamachy nasze domowe na Rząd Narodowy i jego kilkakrotne obalania przyczyniały się potężnie do przetrzebienia szeregów pracowników, do zmniejszania siły odpornej, ednem słowem do osłabienia i obalenia powstania. Sąd potomnych, pisarze z nieprzyjacielskiego obozu najzupełniej to zdanie podzielają..

Pewnego rodzaju zaciekość stronnicza, w szeregach ówczesnych opozycjonistów, odznaczała się siłą taką, iż dziesiątki lat najkrwawszej niedoli narodu nie zdołały oczy otworzyć owym resztkom, jakie z ich zastępu do dziś pozostały. Twierdzili i twierdzą — że czynili dobrze. Symptom to charakterystyczny, i w głębszej przeszłości narodu naszego spotykany, acz w każdej dobie nie przestanie być smutnem świadectwem małej politycznej dojrzałości i wielkiego braku

w szeregach opozycji ludzie miłujący bardziej dobro publiczne nad prywatę, nigdzie bowiem śladów opamiętania, nigdzie dobrowolnego cofania się ze ścieżek wydeptanych stopą opozycyjnych knowań. Cofali się oni jedynie wobec siły, lub też z obawy Moskwy. W nich samych zapewne nie istniało poczucie potrzeby, poczucie konieczności zaniechania czynów, które każda bezstronna dłoń potomności nie zawaha się zaliczyć do szeregu czynów ujemnych wobec kraju.

To trwanie stałe a nieugięte w kierunku niecenia knowań wstrząsających podstawą walki powstańczej przeżyło ową epokę. Ludzie wywołujący i tworzący opozycję nie żałowali, iż zajmowali rzeczne stanowisko, nie wahali się i w latach późniejszych, na grobach obficie zlanym krwią tej epoki, nie wahali się twierdzić, że dobrze i słusznie czynili... Zapisujemy fakt ten na karcie wspomnień ówczesnych, rys to bowiem charakterystyczny, dający dużo do myślenia, rzucający niemało światła na właściwości spotykane w charakterze naszego narodu. Dla ludzi przyszłości pamięć o przejawiających się i wciąż brudzących niesfornościach i rokoszach palących niejako strzechę nad własną głową, usuwających grunt z pod swych nóg — to ostrzeżenie i nauka na dn nieznanego, prawdopodobnie ciężkiego jutra.

Pomimo tylu niezaprzeczenie ważnych, smutnych wszakże prognostyków, wróżących zbliżające się upadku dni, nie dostrzegano prognostyków złowieszczych.

Wiara w mniej lub więcej pomyślny wynik walki, lecz zawsze dość pomyślny, nie upadała — jak to szerzej już wyłożyliśmy — owszem, wiara ta wzmacniała się, i nawet, wśród kół bardziej obojętnych, rozszerzała się, wzrastała. Trzydzieści tysięcy pod bronią stojących, walczących w jednej tylko Kongresówce (jak to miało miejsce w sierpniu 1863 r.) nie mówiąc o zbrojnych gromadach, obozujących w lasach Żmudzi, w ostępach i kniejach litewskich — nie mówiąc o zbrojących się, usztyftowanych i wciąż w pogotowiu będących oddziałach wschodniej Galicyi, na Wołyniu przeznaczonych — niemałą zdawały się być rękojmią, iż wyniki walki pomyślnemi się staną. Nie liczba wytwarzała podwalinę nadziei, bo liczba, zaiste, maluczką była w stosunku do sił nieprzyjacielskich, lecz samo wielomiesięczne trwanie powstania, wobec

Późniejsze zamachy na Rząd Nar, aczkolwiek na zewnątrz niewidzialne, nieznanie całemu krajowi, podkopywały stanowczo powstanie. Ten skład Rządu, który spotykamy w lipcu, chociaż był kombinacją szczęśliwszą od innych, bo dłużej i wytrwalej na swem stanowisku utrzymywał się, chociaż istniał za dni dość pomyślnych, nie zdołał poskromić owych zamachów, nie wytepił gniazda opozycji i knoń wewnątrznych przewrotów — sam nawet padł ich ofiarą. Wielka, nadmierna szlachetność, która jest bezzaprzeczenia jedną z cech wybitnych charakteru naszego narodowego, a niemniej pewna miękkość i słabość, wypływające również ze znamion usposobień naszych narodowych, przyczyniły się do tolerowania knoń zbrodniczych. Traugutt, objąwszy ster władzy pierwszym był występującym surowo wobec wszelkiego warcholstwa, wszelkich knoń i zamachów przygotowywanych przez opozycję. Zajął on stanowisko wobec opozycji pełne godności, patriotyzmu, ale też nieubłaganie surowe. Byстрыm wzrokiem żołnierza, umiającego się oryentować w każdej sytuacji, spostrzegał całą nicość opozycji; całą zaś jej szkodliwość należycie oceniał, i, stosownie do możności, wytepiać nie zaniedbywał. Nie chciał być i nie był rządem glinianym lub malowanym: nakazywał trzebić i naginać co było niesforem, spiskującym na zgubę pewnych organów władzy powstańczej, lub całości ruchu narodowego.

Na wszystkie te jednak wytepienia składała się działalność dni późniejszych, bo doba rządów Traugutta przypada dopiero na dni jesienne 1863 r. i całą zimę rozpoczynającą rok 1864; gdy tymczasem w lipcu, sierpniu, w epoce od której rozpoczynają się obecne wspomnienia nasze, tajemne podminowania wciąż trwały, i stanowiły jeden z pierwiastków przyspieszających upadek, bezwzględnie iż — jak to na pierwszej karcie pracy niniejszej zaznaczyliśmy — nikt jeszcze wówczas (w lipcu i sierpniu 1863 r.) zupełnego upadku powstania w bliższej, a nawet w dalszej przyszłości nie przewidywał. Jednym słowem nie było epoki, podczas kilkunastu miesięcy powstania, któraby wolną mienić się mogła od większych, czy też mniejszych knoń opozycji. Istniały one jak cień nieodstępny od dni walki i poświęceń, zarówno w chwilach pogodniejszych, jak i za dni największej grozy nieprzyjacielskiego terroryzmu. Niespotykali się widocznie

Gdyby w opowiadaniu o przeszłości pożytecznem było zwracać się ku zaszłym faktom z ubolewaniami, zaiste, przede wszystkim żałować by należało i mocno ubolewać nad brakiem takiego męża jak Traugutt, na stanowisku przewodniczącego powstaniu w pierwszych dniach po wybuchu. Opatrzność wprowadziła go na widownię wypadków; niestety — zapóźno.

Nie zdołał on ocalić sytuacji — a bezzapreczenia działałyby wiele, stojąc od początku u steru rządu powstańczego — lecz pracą swą i poświęceniem wytworzył kartę chlubną, zamykającą krwawe dzieje owej wielomiesięcznej walki.

Bez udziału postaci tej podniosłej, a czystej, oprócz gromu, niejeden srom uderzyłby prawdopodobnie o głowy nasze w ostatnich godzinach powstania. Od anarchii, któraby mogła podnieść swój sztandar sromotny — w dniach zamykających walkę — praca i ofiarność Traugutta ocaliły nas...

### ROZDZIAŁ III.

Na dobę lub dwie przed dniem 26. lipca, czy też może w tymże dniu 26. 1863 r. do mieszkania M... D..., Sekretarza Rusi, w Warszawie na Podwalu, w domu Zejdlera, wszedł sąsiadujący z nim wówczas lekarz, C.... M....., i wprowadził młodego człowieka, mocno ogorzałego, co dla każdego oka, za owych dni, niewątpliwą było wskazówką, iż przybyły wraca z powstańczego obozu <sup>1)</sup>.

— Przedstawiam mego gościa... nazywa się Kostecki, rodem z Brzeskiego, słuchacz medycyny... znam go oddawna, z moich okolic pochodzi; mówił lekarz, wprowadzając ogorzałego młodziana.

— ... Kostecki przybył z obozu powstańczego — ciągnął dalej rekomendujący — przybył ze swym pułkownikiem, Trauguttem, który pragnie poznać tu kogo z organizacyi... Wiesz, że nie mam żadnych stosunków w tych sferach, może więc ułatwisz Trauguttowi widzenie się z kim z wydziału wojny...

---

<sup>1)</sup> Cała niniejsza relacya, dająca zkadınąd nieznaną szczegóły o Traugutta pierwszym przybyciu do Warszawy, oparta na wskazówkach najwiarogodniejszych i naocznych świadków. (Prz. Aut.).

ciężkich warunków, samo poddawanie się kraju władzy tajemnej Rządu Narodowego i zainteresowanie się wszystkich rządów Europy walką i kwestyą polską, wywoływało i podniecało nadzieję pomyślnego wyniku walki... Dziś, po upływie prawie trzydziestu lat, niejedyn z ówczesnych działaczy, niejedyn o którym śmiało rzecz można, iż stał w szeregu tych, co *magna pars fuerunt* owych wypadków, woła: *speravi contra spem...* Tak jednak wtedy nie myślano, takich okrzyków nie wznoszono; zresztą, w chwilach wielorakiego ówczesnego znoju, na rozważanie dni najbliższego jutra nie było czasu, ani większej ilości zimnej krwi..

Od chwili wybuchu do końca lipca 1863 r. jedne i te same osoby, mniej więcej, biorą udział w naczelnem kierownictwie sprawami powstania.

Pojedyncze indywidua na różnych szczeblach organizacji zmieniają się, lecz do kierowniczych stanowisk zawsze idą ludzie z jednego zastępu, dobrze znanego tym, co mieli możliwość wtajemniczyć się w roboty przedpowstańcze i w kierownictwo podczas doby walki. Są to ludzie różnych odcieni, ale zastęp to jeden, z kąd wychodzili zarówno ci, co byli celem pocisków indywiduów krańcowych, jak i przewodzczy spisków i samobójczych przewrotów w łonie rządu.

Warszawa ówczesna posiadała kilka indywiduów, które wprawdzie nie brały udziału w pracach organizacyjnych, niemniej jednak były wybornie wtajemniczone w bieg rzeczy, częściej dokładniej niż niejedyn z urzędników wyższych organizacji. Zdaje się, próżniactwo, w połączeniu z pewnego rodzaju pyszałkostwem, źródłem tu stały się wszechwiedztwa w zakresie tajemnych działań Rządu Nar. i jego najbliższego otoczenia. Otóż, każdy z tych świadomych z łatwością mógłby wyliczyć zastęp ludzi, z którego wychodzili przewodzczy, główni pracownicy i członkowie Rządu Nar.

Było to wciąż koło jedno i tożsamo, z którego zarówno pracownicy jak i opozycja rekrutowali się: przynajmniej główne kadry wychodziły z owego koła. Okoliczność, raczej traf, przypadek, wprowadzający Traugutta do tych szczupłych szeregów, wprowadził temsamem żywioł najzupełniej nowy, żywioł dodatni, w niczem niepodobny do dotychczasowych czynników.

Powyższe wyrazy charakteryzowały poniekąd człowieka; wskazywały, że nowy okres życia, który bezzaprzeczenia wtedy właśnie przed nim otwierał się, chciał on od modlitwy i spowiedzi rozpocząć: był to więc człowiek głęboko religijny. Z całą prostotą ze swemi przekonaniem religijnymi występował; nie narzucał ich nigdy nikomu, nie polemizował w tej rzeczy wcale, ale w życiu, w czynie, w całej jego późniejszej, publicznej działalności przekonania religijne zarysowywały się w nim wyraziście. Wedle jego pojęć, idea chrześcijańska, zasady zawarte w Ewangelii powinny być przejść do dziedziny stosunków politycznych -- i w takim tylko razie szczęście ludów, szczęście świata utrwalać na zawsze być mogło.

Wpatrując się w tę postać, czytając to, co w sprawach powstania wyszło z pod jego pióra, zdawało się, iż widzimy urzeczywistnienie słów i nadziei autora „Przedświtu,” który spodziewał się, że przejęcie się ludzi stojących na stanowisku publicznem ideą chrześcijańską zdoła schrzęścianić stosunki między narodami i państwami.

Stało się jak pragnął Traugutt. Pierwsze dni kilka upłynęły bez żadnych wskazówek z wydziału wojny, on zaś, najzupełniej pozbawiony odzienia, nie wychylał się z hotelu.

Wciągu tego czasu zaszedł drobny wypadek, który omal nie oddał Traugutta w ręce policyi. O niewiele chodziło, iż powstanie mogło być pozbawionem najpiękniejszej swej karty. Tak wczesne ujęcie Traugutta unicestwiłoby temsamem całą jego późniejszą działalność.

Rzecz się tak miała... Przybyły z nim K., młody i nie-doświadczony chłopiec, korzystając z pobytu w Warszawie, rozpoczął odwiedzenie znajomych, i gdzieś natknął się na ludzi niesumienne, co wówczas było tam dziwnem zjawiskiem — a ci denuncyowali go jako powstańca, który legitymuje się innem nazwiskiem. Denuncyacya wywołała natychmiast swe następstwa: Kosteckiego w mieście uwięziono i zapytano gdzie mieszka. Odnaleść jego mieszkanie łatwem było, gdyż hotel go zameldował: wnet więc do hotelu, w którym mieszkał, udała się policya...

Traugutt z niemąłem zdziwieniem powitał niespodziewanego gościa — policyę, zamiast spodziewanego krawca

W kwadrans potem D.. wraz z ogorzałym młodzianem szli na ulicę Długa, do Drezdeńskiego hotelu, gdzie stał Traugutt, przybyły w tymże samym dniu dyliżansem, wówczas kursującym między Brześciem a Warszawą. Przybył on pod nazwiskiem i za pasportem jakiegoś Tołkacza. Towarzyszący mu Kostecki także był pod innym nazwiskiem.

Gdy weszli do izby hotelowej już zmierzch zapadał. W nieco zaciemnionym pokoju, którego okna zbliżający się zmierzch wieczorny i drzewa o bujnych konarach otaczały, zastano człowieka lat przeszło trzydziestu, wzrostu niskiego, szczupłego, prosto trzymającego się, twarzy na pierwszy rzut oka mało wyrazistej, chociaż, po pilniejszym wpatrzeniu się, uwydatniała się w niej energia i niezwykle skupienie myśli. Czoło niewyniosłe ocieniały włosy ciemne, krótko ostrzyżone a na owym czole ukazywały się często zmarszczki przecinające je od góry do dołu, świadcząc o nieustannej pracy myśli. Nosił on okulary, z poza których tryskały promienie oczu wyrazistych, przenikliwych, lecz nie surowych. W całym obejściu się uderzała prostota, połączona z pewną serdecznością, tak często spotykaną u Litwinów.

Był to Romuald Traugutt.

Poznanie się Traugutta z D... i pewnego rodzaju bliższe zestosunkowanie nastąpiło prędko Dwaj ci ludzie tak różni wiekiem, doświadczeniem, zbliżyli się przy pierwszym spotkaniu...

Traugutt żądał wskazania dróg do wydziału wojny; powtarzał mniej więcej to, co było już znanem. Przybyły obiecał rzecz tę coprędzej załatwić. W dalszej jednak rozmowie dowiedział się, że na dostarczenie żądanych wskazówek ma dni kilka czasu, bo Traugutt przybył z obozu najzupełniej bez ubrania; to bowiem co dostarczono mu na prowincyi, w Podlaskiem, wraz z pasportem, było takim, że jedynie od biedy jechać mógł, lecz dla rozmiarów zbyt obszernych, chodź w niem niepodobna było.

— Jutro rano wołam krawca — mówił Traugutt — każe robić ubranie... a zanim uszyją, muszę siedzieć w hotelu, na ulicę nawet pokazać się nie mogę... Potem zaś jeden dzień poświęcę modlitwie, spowiedzi i komunii... Macie więc ze trzy dni czasu do załatwienia mej prośby...

szawy jadąc, nie zdołał zdobyć żadnych wskazówek dokładnych, ani jednego adresu członków lub agentów organizacji. Widocznie iż już tam, na Zabuzu litewskiem (w Brzeskiem wojew.) sieć narodowych władz rwać się, płatać zaczynała, skoro tak wybitny dowódzca powstańczego oddziału, jak Traugutt, udając się do Warszawy, nie mógł być uprowadzony w żadne bliższe wskazówki i informacje, a nawet w żadne ubranie zastosowane do jego postawy i nierozpadające się. Relacja bardzo poważna i jedynie wiarogodna ś. p. Apolin. Hofmeistra, († 1890) ówczesnego naczelnika wojew. Brzeskiego, twierdzi, że Traugutt wyekwipowany był na podróż do Warszawy i wyprawiony nie z Brzeskiego, ale z Podlaskiego województwa; przez Brzeskie zaś, po porażce swej partyi, przesuwał się zbyt pospiesznie. Wszystko więc, co było zabaczeniem lub lekceważeniem w tej rzeczy, spada na barki podlaskiej organizacji, nie zaś litewskiej.

W szczegóły te wszystkie, nader drobne i mniej interesujące, wdaję się w celu wskazania, że Traugutt nie był z Litwy sprowadzony, jak mówią i piszą niektórzy. O nim nie wiedziano w Warszawie prawie zupełnie (jak wyżej wspominałem) i nie miano pojęcia dokładnego o wartości człowieka; on zaś również, jak przytoczone tu szczegóły wskazują, nic nie wiedział o organizacji i dróg do niej wcale nie posiadał Szedł jak wśród ciemności. Młodziutki akademik, a wówczas oficer z jego oddziału, Kostecki, człowiek bez szerszych stosunków towarzyskich, i bez żadnych stosunków w organizacji, miał być dla niego nicią przewodnią. Widzieliśmy, iż nią nie był i być nie mógł, bo sam najmniejszego pojęcia nie miał do kogo uderzyć Ów lekarz, C. M., któremu rzucił, jak to już wskazaliśmy, pierwsze zapytanie, jedyna to była Kosteckiego znajomość, którą uważał jako poważną, ale ta, wrzekomo poważna znajomość, nie posiadała ani jednego stosunku w organizacji, co w ówczesnej Warszawie taką odznaczało się wyjątkowością, jak wyjątkowymi ludźmi byli owi Kosteckiego znajomi, którym składał on wizytę — a oni denuncywali.

Na nazwiska tych ludzi rzucam zasłone niepamięci — byli to jacyś Niemcy spolonizowani i ze sferą policyjną rosyjską zestosunkowani -- a tu jedynie zaznaczam, iż dorywcze zapytanie, rzucone lekarzowi C. M., wywołało również na



z ubraniem, którego oddawna niecierpliwie oczekiwał, odsiadując przymusowe rekolekcje w wielkim negliżu. Policja oświadczyła mu, że przychodzi dla zrobienia rewizji rzeczy młodego pana, który z nim mieszka, i wymieniła nazwisko pod którym przybył Kostecki.

Zupełny spokój, przytomność umysłu ocaliły człowieka, który w chwili tak stanowczej dla powstania miał w nim odegrać rolę nader wybitną, miał je przydłużyć i od anarchii ocalić.

Wskazał on policyi z najzupełniej zimną krwią garstkę rzeczy Kosteckiego; i gdy policyant sięgnął okiem i ręką na piec, Traugutt z ubrania swego, w szafie wiszącego, wyjął jakiś certyfikat, mogący go skompromitować. Z wierzchołka pieca policja udała się do szafy, ale już tam nic nie było. Przepraszono więc Traugutta za mimowolny niepokój i policja odeszła, poprzestając najzupełniej na zapewnieniu danem od niechcenia, że rzekomy Tołkacz nie zna Kosteckiego... Przyjechali w jednym dylizansie, a zatem razem stanęli dla zmniejszenia kosztów lokalu... brzmiało tłumaczenie. — Uznano to wszystko za rzecz naturalną; wcale więcej nie badano; ale Kostecki raz wpadłszy do więzienia już z niego nie został uwolniony; na Syberyę go wysłano...

Po upływie dni kilku ubranie Traugutta było gotowe, ale jego przewodnik, a zarazem oficer z jego oddziału, Kostecki, zginął dlań bezpowrotnie; jedyna, i to bardzo słaba nić, która łączyć go mogła z drogami prowadzącymi do organizacji, byłaby najzupełniej przerwana, gdyby nie opowiedziana tu przed chwilą znajomość z D., z człowiekiem zestosunkowanym z organizacją, znajomość wytworzona w sposób przypadkowy, gdyby wreszcie owa znajomość nie starała się dorywczy z nim stosunek utrzymać, i wciąż wiedzieć i nadal, co się dzieje z tym samotnikiem, zamkniętym w hotelu.

Traugutt żadnych z sobą z Litwy nie przywiózł informacji, do kogo ma się udać w Warszawie; nie mogąc się przeto doczekać Kosteckiego, a z wizyty policyjnej domyślając się, iż on został ujęty, bliskim był zamiaru powrotu do województwa Brzeskiego, dla zasięgnięcia nowych informacji, co byłoby połączeniem z mnóstwem niebezpieczeństw i trudności, w rezultacie zaś niewiadomo, czy i o ile ów krok nader ryzykowny, doprowadziłby do celu: wszakże do War-

swę. Ku tym zadaniom zbliżał się świadomie, bo czuł w sobie siłę do ich podjęcia, wiedział, że brzemienia tego nie rzuci sromotnie na bruk, iż je uniesie, a złoży u tronu Przedwiecznego czystem, nieskalanem, jako jedną z licznych ofiar, które naród nasz od stu i więcej lat składa...

\*       \*       \*

Nazajutrz zrana D. zawiózł Traugutta na bardzo odległą ulicę, gdzieś ku końcowi miasta, do wydziału wojny. Pierwsze to było urzędowe jego zetknięcie się z wyższą sferą organizacji powstańczej. Wrażenie jakie wywarł na ludzi stojących blisko steru, lub u steru robót dodatniem było, i innem mienić się nie mogło; przy całej prostocie zachowania się uderzał bystrością oryentowania się, jasnym sądem, wytrawnością zdania. Najstarszym i najdoświadczeńszym był wśród całego grona stojących u steru robót powstańczych; energią wielką, zapałem, skupionym w sobie, na zewnątrz nieujawniającym się w słowach, przewyższał znacznie innych, przewyższał młodszych; to również pociągało ku niemu umysły rozważać lubiące.

Więcej niż dwa tygodnie od owej chwili bawił Traugutt w Warszawie, głównie, wyłącznie nawet, oddając się studjowaniu ówczesnego powstania, wychylając się mało na ulicę, nie tracąc już i wówczas wcale czasu na wizyty lub czcze gawędy. Zresztą bezcelowe przepędzanie czasu zawsze od niego stało zdala: wszystko co w ówczesnej Warszawie przykładało rękę do robót powstańczych — a kto do nich wtedy ręki nie przykładał? — pilnie krzątało się, tembardziej udziałem to stawało się tego czynnego umysłu. Niewychylanie się na ulicę pochodziło z ostrożności, aby nie poznano go, gdyż dawniej dobrze znał Warszawę; mieszkał w niej długo, jako wojskowy rosyjski; miał liczne stosunki w kołach rosyjskich wojskowych, i w kołach towarzyskich polskich; zetknięcie się ze znajomymi mogło go narazić na niemałe niebezpieczeństwo.

Jakimi były stosunki towarzyskie Traugutta w kołach rosyjskich wojskowych, możemy wytworzyć pewne pojęcie z przebiegu jego wojskowej kuryery, opowiedzianej przez pisarza rosyjskiego, Berga. Widzimy z tej relacji cudzoziemskiego pisarza, jeśli w innych rzeczach często zbyt niedo-

stępstwa bardzo doniosłe, zarazem i smutne, ale te następstwa znacznie później. po kilku miesiącach zaledwie, miały rozwinąć się i urosnąć na klęskę dla powstańczej organizacji. Brak wszelkich podstaw moralnych w owym lekarzu M. wywołał późniejsze jego zachowanie się. Przedtem był on zdaleka trzymającym się od wszelkiego stosunku z organizacją. To przypadkowe, natury zupełnie prywatnej, zetknięcie się z paru osobami, biorącymi udział w powstaniu, nasunęły mu możliwość bliższą zetknięcia się z organizacją, nie w tem wszakże znaczeniu, by tam coś chciał robić, lecz jedynie poznać parę osób — t. j. te osoby o których mówiliśmy przed chwilą — a później już, we wrześniu, tak zwany „Rząd czerwonych“ wciągnął go na nieszczęście do robót, dając mu urząd. Czasy to jednak znacznie późniejsze, o których mówić później zamierzam.

Oświadczenie Sekretarza Rusi na posiedzeniu Rządu N., że pułkownik Traugutt przybył z rozproszonego oddziału swego, z Polesia litewskiego do Warszawy, nie wywołało żadnego wrażenia wśród obradujących. Przyjęto wieść jako wiadomość prywatną, i odesłano sprawozdawcę do wydziału wojny, radząc, aby zawiadomił kogoś z rzeczzonego wydziału drogą prywatną.

Traugutt w pierwszych dniach po przybyciu do Warszawy tak dalece był zostawiony sam sobie, tak nikt o niego nie troszczył się, iż nawet Sekretarz Litwy nie zajął się przybyciem. — Zostawiono go jego losom, nie miano ciekawości by go zobaczyć. Potrzeba było czasu, aby poznano, przypatrzone mu się dokładnie, wysłuchano uważnie tego, co mógł im rzec, ale na to dopiero złożyły się późniejsze nieco dni rozpoczynające miesiąc następny — sierpień.

Zdaje się iż był to dzień 30. lipca, gdy Traugutt, mając możliwość wychylenia się z hotelu, bo mu ubranie wykończono, udał się do kościoła Kapucynów: odbył tam spowiedź, i długo modlił się w bocznej kaplicy, u sarkofagu, gdzie spoczywa serce Jana III. Modlitwa, jakby w przeczuciu, złożoną została u grobowca wielkich pamiętek narodu... Przeczucie mogło mówić temu niepospolitemu człowiekowi, że zbliżają się dla niego dni stanowcze. Obcując z cieniami wielkich ojców narodu, szukał w ich czynach, w ich głębokiej wierze sił do sprostania zadaniom ciężkim, które pragnął wziąć na barki

stracone; że drogą walki dużo można zrobić, byle wzięść w karby należyte organizację powstańczą, byle obalić opozycję, wytrzebić ją, wyrwać chwast ten niebezpieczny z korzeniem, byle wreszcie wyciągnąć z kraju wszystkie środki do walki, które wcale wyczerpanymi nie mogły się mienić.

W ciągu owych dni kilkunastu w Warszawie spędzonych, już tak dalece dał się on poznać ówczesnym członkom Rządu Narodowego, iż zapragnęli go mieć w swem gronie, dlatego głównie, iż sądzono go biegłym w sztuce wojskowej. Było niezbędnem takie powołanie wojskowego do składu Rządu Narodowego; i nawet jest rzeczą trudną do zrozumienia, dlaczego nie postarano się od dawna o kogoś wojskowego do zasiadania tam, gdzie jedynie widziano teoretyków rewolucyi, ludzi zapału, a nigdy nikogo bodaj nawpół wojskowego. Faktem bowiem niezaprzeczonem, że od chwili wybuchu powstania do rozwiązania ostatniego składu kolegijskiego rządu przez Traugutta dnia 17 października 1863 r. i objęcia przezeń dyktatury, nie zasiadał w żadnym składzie rządu ani jeden wojskowy, lub chociaż nawpół wojskowy. Jeśli spotykano wojskowych na wyższych szczeblach organizacji, to jedynie w wydziale wojny, ale nigdy u szczytu organizacji, w Rządzie Narodowym. „Nie mamy nikogo wpośród siebie, ktoby był z wojskowością obeznanym — mówił Rząd ówczesny — powołajmy do naszego grona Traugutta, lecz zanim to nastąpi, wyslijmy go na pewien czas za granicę, niech się przypatrzy naszym agencjom wojskowym i dyplomatycznym, wyższym i niższym, niech je zlustruje, a potem, po powrocie, z większą korzyścią weźmie udział w pracach naszych“. Tak wtedy rozumowano w sferach kierujących walką.

Myśl Rządu spotkała się z własnem pragnieniem Traugutta, który chciał przypatrzeć się wszystkim ludziom wybitnym, biorącym w walce udział chciał widzieć wszystkich i wszystko, co wspierało walkę ówczesną, co jej służyło, co było jej dźwignią lub jej klęską; bo i takich spotkać mógł poza miedzą zaboru rossyjskiego i poza kraju granicami.

Dnia 14. sierpnia 1863 r. otrzymał Traugutt nominację na generała i zarazem godność komisarza nadzwyczajnego poza granicami kraju z poleceniem i instrukcją, aby wnet wyjechał za granicę w celu zlustrowania wszystkich powstań-

kładnego, to w tem wiarogodnego, iż owe stosunki do sfer sztabowych sięgały i wśród nich jedynie rozwijały się. Stosunki dawniejsze polskie, o ile wiemy, zahaczały się o sfery kosmopolityczno-arystokratyczne; i jedne i drugie mocno niebezpiecznymi być mogły dla pracującego na polu powstanczem; unikał więc ich pilnie.

Parę tygodni przebył na początku sierpnia w Warszawie, ale wśród szczupłego zakresu ludzi z wyższej organizacji powstanczej, obcował z trzema czy czterema jedynie, innych nie znał, i na ulicach miasta nikt go nie widział.

Tak miało być i później.

Pierwsze kroki, postawione na ówczesnym, podminowanym przez powstanie, bruku warszawskim, orzekały nie jako o dalszych losach Traugutta. Przypatrywał się pilnie, przysłuchiwał się, o ile zdołał, w zakresie dostępnym wówczas dla siebie, t. j. w zakresie spraw wydziału wojny — i postanowił nie wracać do obozu, ale swe siły, uzdolnienie, całego siebie niejako złożyć w ofierze sprawie narodowej. Na czele malutkich oddziałów, rozproszonych po obszarach Litwy mogli stać inni, on był powołanym do szerszej działalności, na obszerniejszym widnokregu, niż dowodzenie małymi oddziałkami wśród puszczy i dżungli stepów litewskich. Sam zeznawał to wówczas wybornie, gdyż o kilka miesięcy później, podczas swej tajemnej dyktatury, rzekł raz poufnie do M. D., którego w ostatnich miesiącach życia zaufaniem wielkiem obdarzał: — Zauważyłem, iż po lasach Polesia może chodzić kto inny... Nie dodał wprawdzie: „ja zaś mogę się przydać gdzieindziej z większym pożytkiem“. — Konkluzya jednak sama przez się nasuwała się. On, widocznie, przede wszystkim niezbędnym był w głównem centrum robót powstanczych.

W słowach powyższych widzieć należy wyczerpujący komentarz genezy późniejszej dyktatury Traugutta. Nikt go do niej nie powoływał, nikt mu jej nie powierzał, sam po władzę naczelną sięgnął i umiał ją w dłoni silnej a umiejętnej utrzymać.

Parę tygodni spędzone wówczas w Warszawie wystarczającymi były dla Traugutta do zapoznania się z tamtoczesnym stanem rzeczy, w sferach kierujących powstaniem. Rozpatrzywszy się w pozycyi, spostrzegł, że jeszcze nie wszystko

Cichy i ciepły ten wieczór (14. sierpnia), przeddzień dnia świątecznego, mienić się może przełomem niejako w dziejach owych krwawych dni. Moskwa, która w głównym ognisku kierowników powstania, w Warszawie, terroryzmu brutalnego nie wywierała jeszcze, chociaż na prowincyi dymiły się zgliszcza wiosek i miasteczek, za chwilę rozpęta swe wszystkie instynkta barbarzyńskie; krwawą stopą stanie na piersiach dawnej siedziby królów naszych.

Jako lud najzupełniej orientalny, Rossyianie są bardzo przesądni, nawet w sferach rządzących; w kołach ich inteligencyi widywano przywiązywanie pewnego znaczenia do dni tych lub innych, do liczb. Wiara w fatum dla nich nieprzyjazne, do pewnych dni w roku przywiązane niejako, spotykana i dawniej, wówczas nieraz z niemałą mocą uwydatniała się. Przypominano, które dni w roku były ich większą lub mniejszą klęską, miano się więc na baczności w owe rocznice, bodaj bardzo dawnych wypadków. Zawsze im wydawało się, iż dni Wielkiego Tygodnia mogą sprowadzić wypadki, którym niegdyś Kiliński przewodniczył, i inne krwawe daty także, wedle ich pojęć, powtarzać się mogły. Iściło się ludowe przysłowie: „na złodzieju czapka gore”. Otóż przypomniano czasy dawne, rocznicę krwawych dni sierpniowych z r. 1831, acz ten ówczesny ruch ludowy pracował na korzyść wroga w ostatecznym wyniku, i zaczęto obawiać się wznoszenia czegoś podobnego. Na parę godzin przed zachodem słońca, dnia 14. sierpnia, jak lekkie musnięcie wiatru na spokojnej tafli wód, przebiegły piesze policyjne patrole, przez główne, tłumnie rojące się ludem ulice miasta, zabierając, więząc pierwszych lepszych spotkanych na ulicy. Uwięzionych zamykano do cyrkułów, gdzie ich pilnie rewidowano — i, albo napełniano nimi więzienia, w razie najmniejszego pozorów, usprawiedliwiającego uwięzienie, n. p. jakiś świstek papieru w kieszeni, nieporządek w legitymacyi itp., lub też wypuszczano. Tego rodzaju obława, podjęta w chwili gdy pogodny, ku zachodowi mający się wieczór przedświątecznego dnia wyprowadził na ulice tłumy ruchliwego miasta, rzuciła popłoch ogromny. Było to niby spadnięcie lawiny śnieżnej, nagłe, niespodziane na ciche górskie siedziby.

Po pierwszym tym ogólnym zamachu na swobodę ruchu, wśród spokojnych miasta mieszkańców, chociaż jue i przed-

czych instytucyj, t. j. agentur nabywających i dostarczających broń, amunicję, składów materiałów wojskowych; a wreszcie, aby porozumiał się z dowódcami oddziałów rozbitych i szukających chwilowego schronienia w Galicyi: a takich dowódców, i to wybitniejszych, nie mało wtedy widziano poza kordonem. Traugutt, jak później zobaczymy, niedość iż misję z całą ścisłością wykonał, lecz skorzystał z możności przypatrzenia się ludziom różnym, zestosunkowanym mniej lub więcej z ówczesną walką, skorzystał wreszcie z dróg spotkanych za granicą, które go doprowadziły do tych potęg, co łądziły interwencją i rzucały tajemnicze słowa zachęty by wytrwać długo, bardzo długo, co najdłużej: na wytrwaniu tem wznoszono pewną nadzieję interwencji obcych potęg w sprawie naszego wyzwolenia.

Polecenie lustracyi wszystkiego, co z walką związane, spełnił Traugutt z właściwą sobie szybkością. Nazajutrz o wczesnym poranku pędził on już koleją za granicę. Jedyną chwilą wypoczynku, jaką miał podczas tego kilkunastodniowego pobytu w Warszawie, to parę godzin popołudniowych spędzonych z M. D., który, jak widzieliśmy, wprowadził go w sposób przypadkowy do organizacyi powstańczej, a później jedynym był jego domownikiem, jedynym towarzystwem za dni tajemnej dyktatury, gdy podczas długich miesięcy zimowych (1863—64) nie wychylał się z mieszkania prawie zupełnie. Wówczas to powiedział młodzieńkiemu znajomemu swemu, iż za miesiąc najpóźniej wraca, że spodziewa się dużo korzyści ze swej podróży, iż po powrocie na inne pole działania wstąpi, w wyrazach tych przebiegała się już wyraźnie myśl służenia walce o niepodległość innemi środkami.

Nikt jednak w owym dniu nie przewidywał, że nim miesiąc upłynie wszystko rdzennie się zmieni: nie będzie już istniał ten skład Rządu Narodowego, który Traugutta wysłał z misją za granicę, nie będzie i Warszawa poniekąd szczerdzaną przez wroga. Burze wielkie wewnątrz i zewnątrz nadciągały; jeszcze chwila, a groźne chmury okryją horyzont i wątki. podstawy niejakiego bezpieczeństwa dla kierowników powstania znikną; pobyt w Warszawie dla wszystkich jej mieszkańców torturą się stanie; bezwzględny nacisk wroga znęka ostatecznie ludność stolicy; wyciśnie z niej wszystkie zasoby i zatruje jej ducha jadem z wątpienia

wego zostało postanowione w ostatnich dniach sierpnia. Opróżnione miejsce po nim miał objąć generał Berg.

Chwila więc w połowie sierpnia, gdy Traugutt udawał się za granicę, by tam rozpatrzeć się w ogólnej sytuacji na szerszych horyzontach, na wszystkich polach ówczesnych wypadków, stawała się nader stanowczą.

Z jednej strony wróg wyęźlał wszystkie swe siły i postanowił odtąd nawet pozornie niczem się nie kępować, interwencji nadzieje bladły coraz bardziej, owoce terroryzmu na Litwie szybko dojrzewały, tłumiąc wszelkie iskry walki; a z drugiej strony w powstańczym obozie, oko doświadczone dostrzedz mogło i dostrzegało niejakiemu znużeniu; siły, środki potrosze wyczerpywać się zaczęły; opozycja zaś, grzyb na drzewie nadziei naszych, wzmagająca się i rozwielała, zatrzymując żywotne soki owego drzewa i przyspieszając jego upadek. Właśnie chwila, o której mówimy, chwila zmiany systemu wroga, jest dniem jej wzrostu.

## ROZDZIAŁ IV.

O przeszłości Traugutta przedpowstańczej, o dniach jego młodości, niewiele powiedzieć możemy. Wystąpił on na widownię wypadków niespodzianie i, acz zajaśniał blaskiem wielkiej, obywatelskiej cnoty, cichem bohaterstwem, acz urasta ponad cały tłum kierowników powstania, lecz ginie w chwili tak wielkiego zamętu w Polsce, tak niezwykłego chaosu wśród ludzi, pojęć, dążeń, że nawet jego nazwisko, wśród powszechnego rozbicia prawie zostało zapomniane. Jeżeli tradycja nawet o jego działalności milkła, to napróżno szukalibyśmy, wśród naszych opracowań historycznych, wspomnień dotyczących się jego młodości. Rosyjskie jedynie źródła, relacje, zawsze pełne dla niego wielkiego uznania, szerzej rozpisują się, rzucając parę rysów z dni młodości. To uznanie wroga charakterystyczne — to hołd cnotcie oddany.

Do niewielu rysów znanych, dodajmy parę mniej znanych szczegółów. Może przyszłość zdoła z okruczeństwa odtworzyć rzeczywisty obraz przedniejszego wśród ówczesnych wodzów powstania.



tem liczne istniały przepisy policyjno-wojaskowe, terroryzujące spokojną ludność stolicy, nastąpił prawdziwy potop większych lub mniejszych zamachów, gnębiących mieszkańców, nieraz wstrzymujących nietylko wszelką możność załatwiania spraw życia codziennego, ale zamieniających to życie na torturę moralną. Stopniowo, od końca sierpnia, rzeczy tak się na gorsze zmieniały, iż miasto doznawało wrażeń miasta obleganego przez nieprzyjaciela; wróg pastwił się tysiącem egzekucyj, szykan, ciągłym terroryzmem żołdactwa, które rozstawione wśród ulic, pełniło funkcje stróżów porządku; właściwie zaś mieszkańcy najspokojniejsi wydani zostali na ich łaskę i niełaskę.

Wzmagający się szybko terroryzm w stolicy, bo na prowincyi, jak rzekliśmy, samowola żołdactwa oddawna już panowała, miał swe źródło w ogólnej zmianie systemu Rząd rossyjski, w ciągu wiosny i lata 1863 r., obawiając się interwencji obcych mocarstw, skrępowanym nieco mienić się mógł. Obawiał się kompromitacji wobec Zachodu, nie stracono wówczas jeszcze ostatecznie wstydu, zwlekał więc ze środkami stanowczej energii, by mieć czas przygotować się do walki. Nawet na dworze cesarskim, nawet wśród sfer rządzących w Petersburgu, wytwarzała się obawa stracenia, jeżeli nie całego zaboru polskiego (Kongresówki z Litwą, Wołyniem, Podolem i Ukrainą), to przynajmniej Królestwa. Gdy płomyki małowiczki powstania okazywać się zaczęły za Dźwiiną, na Inflantach Polskich, cesarzowa rosyjska błagalnym głosem mówiła do Murawiewa wysyłanego (w maju 1863 r.) na wielkorządcę Litwy: „Królestwo już dla nas stracone, oby ci się udało chociaż Litwę dla nas ocalić”. Skoro jednak kampania dyplomatyczna wzięła obrót dla Rosyan pomyślny, i obawa wojny w głąb dalekich przewidywań usunęła się, postanowiono rzucić coprędzej maskę obfudy, i zerwać ze wszelkimi dawnymi systemami, a drogą środków gwałtownej represyi skruszyć opór powstańców. Od początku więc jesieni 1863 r. system bezwzględnego terroryzmu zapanował, i im dłużej iskry walki powstańczej wybuchwały, tu lub ówdzie, tem bardziej stawał się ucisk gwałtownym, nieubłaganym, a na wiosnę 1864 r. dochodził do bezwzględności rzadko w dziejach spotykanej. Odwołanie w. ks. Konstantego ze stanowiska namiestnika Królestwa Kongreso-

Rodzina Trauguttów w Brzeskiem oddawna się spotyka. Kobryńszczyzna ich gniazdem. Ziemianie to pracowici, skrzątni, na własnych lub na dzierżawnych zagonach uprawiający glebę; na wyższych stanowiskach ich nie widzimy; Niesiecki o nich milczy; nie wiemy nawet dokładnie, czy są na Litwie od wieków zasiedziali, czy też dopiero w ubiegłym stuleciu, za dni saskich, osiedlili się a pochodzenie przedwiekowe czy nie jest obce. Bardzo być może, iż tak jak inne rodziny, spotykane na skraiskach Białowiezkiej puszczy, z nazwiskami cudzoziemskiego brzmienia, a z sercem ojczyźnie oddanem — jak Hofmejtrowie, Heltmanowie — i Trauguttowie też przybyli do Polski z pierwszym Sasem, w charakterze oficerów gwardyi królewskiej. Takim zasłużonym oficerom nadawano obszary leśne; później kolonizowane, uprawiane, zapobiegliwością, wytrwałą pracą na folwarki, na wioski zamienione. Brzeskie, ku Białowiezkiej puszczy posunięte, w jej obszarach ginące, widziało i chlebem obdarzało wielu takich przybyszów, którzy szybko assimilowali się z miejscową ludnością, i chociaż zaliczali się do tak zwanych ongi „wmieszkałych“ Polaków, wszakże całą duszę oddawali nowej ojczyźnie. Matki, których pochodzenie polskiem było, grały w procesie assimilacyjnym główną rolę.

Ojciec Romualda Traugutta ziemianinem był: spotykamy go około r. 1824, na północnych kończynach Brzeskiego województwa, na skraiskach Białowiezkiej puszczy; dzierżawił o miedzę od Wysokiego Litewskiego wieś Szostaków, od generała Stakelberga, i tam mu się urodził syn — Romuald<sup>1)</sup>. Wychowanie młody Traugutt otrzymał w rodzi-

---

<sup>1)</sup> Szostaków leży o 5 mil od Brześcia Litewskiego, a o 2 od Puszczy Białowiezkiej, od tak zwanej Stolpowiskiej Straży. Dom, w którym Romuald Traugutt urodził się, obecnie nie istnieje. Stakelbergowie, dawni dziedzice Szostakowa, dziadkami macierzystymi byli Apollona Hofmejstra, pamiętnego z uwłaszczenia włościan, jakiego dokonał w swym majątku, przed rokiem 1863, z udziału swego w styczniowym powstaniu i dwukrotnego syberyjskiego wygnania (w r. 1846 i 1864). Apollon Hofmejster również urodził się w Szostakowie, w rok po Rom. Traugucie. Posiadłość tę rząd rosyjski skonfiskował Apollonowi Hofmejstrowi, lecz pamięć tego ostatniego w sercu i czci ludu tamecznego pozostała żywą, pełną do dziś miłości i wdzięczności, a gdzieś stał dwór wiejski, w którym na świat przyszedł Traugutt, widziano już w r. 1863 kłoby drzew ogrodu Hofmejstrów.

Piszący niniejsze wspomnienia nie sięga do źródeł drukowanych lub rękopiśmiennych, nie z martwej litery odtwarza przeszłość, ale z własnej pamięci szkicuje ogólne kontury rysów, zacierających się już znacznie tej bez zaprzeczenia najpiękniejszej postaci w styczniowym powstaniu.

\*

\*

\*

Południowe okolice Litwy, tworzące niegdyś województwa Brzesko-Litewskie i Nowogródzkie, od półtora lat wydają mężów wybitnych na różnych polach pracy, ludzi słowa i czynu, ludzi hartu woli, poświęcenia i światła. Zjawisko to dziwne, a jednak przez wielu dostrzeżone, sprawdzone, iż duch narodu jak gdyby tam — zdała od ziem gniazdowych — założył swe główne siedlisko. Od epoki pierwszego rozbioru do drugiej połowy dzisiejszego stulecia bardzo wielu mężów mających wpływ, bądź bezpośredni, bądź pośredni, ale znaczny, na losy kraju, wpływ zbawienny, cnotą i poświęceniem, talentem i pracą znaczony, w tym to właśnie pasie południowej Litwy posiadało swe kolebki. Tadeusz Rejtan i ci nieliczni, co z nim starali się utrzymać sztandar cnoty obywatelskiej, w dniach kwietniowych 1773 r. pochodzili z Nowogródzkiego. Kościuszko przychodzi na świat w Brzeskiem, i kształci się w latach pacholęcych na najbardziej południowych kończynach Litwy — w Lubieszowskich szkołach, Pijarskich. Naruszewicza kolebką jest południowe Brzeskie; Jul. Niemcewicz również w Brzeskiem urodził się i pierwsze wrażenia życia tam mu upłynęły; Mickiewicz pochodzi z Nowogródzkiego i szum puszczy nad Niemnem niesie pierwsze natchnienia wielkiemu poecie. J. I. Kraszewski, acz przypadkiem ma kolebkę w Warszawie, z Brzeskiego wojew. pochodzi, i świat litewski, litewska przyroda, litewska szkoła w Świsłoczy, właśnie z owego południowego pasa, tak żyznego w zakresie naszej umysłowości, naszego moralnego rozwoju, pierwszymi byli jego piastunami. Wszystkich, którzy w życiu obywatelskim wysoko stanęli, a z tamąd pochodzili, wyliczyć niepodobna.

Z Brzeskiego również pochodził Traugutt. Ziemia południowych okolic Litwy, która, w chwilach krytycznych dla całości Polski, dostarczała ojczyźnie ludzi opatrnościowych, wydała go i wypiąstowała.

i Krasieńskiego czytano, deklamowano, a zagajeniem tych wieczorów literackich była zwykle modlitwa; na jej skrzydłach dusze młodociane, chociaż chwilowo, unosiły się ku sferom nieziemskim, zrywały z nizinami obcego otoczenia, przenosiły się myślą pod niebo zagonów ojczystych, pod dach strzechy rodzinnej.

Nie posiadamy wskazówek, czy Romuald Traugutt bywał na literackich wieczorach młodzieży polskiej, w północnej stolicy, niemniej jednak bardzo to jest prawdopodobnem, iż korzystał z każdej możności zapoznania się bliższego z dziejami i literaturą swego narodu, że pochłaniał jak inni, w owych czasach i w owych warunkach, utwory wielkich poetów naszych, które utrwały w umyśle młodzieńca ów wielki ogień miłości Boga i ojczyzny, co w nim wciąż płonął. Wspomnienia Rosyan mówią, iż za dni swych studyów akademickich był on pracowity, cichy, milczący, pilnie spełniający praktyki religijne, a ożywiał się dopiero wówczas, gdy kto z rosyjskich kolegów bodaj słowem zadrasnął uczucia jego religijne, bądź narodowe. Pilne spełnianie praktyk religijnych pozostało mu na życie całe: w ostatniem półroczu życia, codzień, rano i wieczorem, modlił się klęcząc. Znajac ogólny brak wiary wśród wykształceńszych nieco warstw społecznych narodu rosyjskiego, łatwo możemy odtworzyć w naszej myśli, na jak przykre szykany kolegów był wystawiony młodzian, który już wówczas zdumiewał stałością przekonań i odwagą w ich bronieniu.

Widzimy go później oficerem saperów; widzimy że szybko posuwa się na szczeblach stopni hierarchii wojskowej; widzimy w sferach sztabowych na polu walki, za dni wojny Krymskiej; widzimy długie miesiące w murach obleganego Sewastopola, a po wojnie ze sztabem w Charkowie i Warszawie. W owym okresie życia zdobywa szacunek zwierzchności wojskowej towarzyszy broni. Uczy się, kształci w chwilach wolnych, acz zamknięty w sobie, milczący, pracowity, poważny, unikający towarzystw: takim przynajmniej wystawia go nam pisarz rosyjski, Berg, który sam brał udział w wojnie Krymskiej, i w sferach wojskowych owej doby pamiętnej niemało stosunków posiadał. Świadectwo Berga, lubo w wielu razach wątpliwe i na chwiejnych oparte podstawach, w tym szczególe zasługuje na uwagę, nawet

cielskim domu bardzo staranne, a przedewszystkiem podstawę religijną troskliwie w nim ugruntowano. Babka piastunką tu była, i jej to podobno przeważnie zawdzięczał swe uczucia religijne nader głębokie, które w nim górowały od lat najmłodszych i stały się w dalszem życiu dźwignią wielu jego czynów. Pamięć babki tkliwą i wdzięczną zachował aż do zgonu, ona uczucia narodowe również w nim zaszczerpiła; z nią małym chłopięciem odbywał pierwszą podróż do Warszawy, gdzie mu wskazywała pamiątki dziejowej przeszłości narodu, w czasach kończących epokę królestwa kongresowego, gdy jeszcze istniało niejedno przypominające upadłą niepodległość. Z nią zwiedzał małym chłopięciem grób Staszycy na Bielanach, a ona mu tam mówiła o obywatelskich zasługach tego męża, zachęcała do poświęcania życia dla dobra ziomków.

Bardzo wczesnie kończy on szkoły w Świsłoczy i wstępuje na kursa Akademii Inżynierów w Petersburgu. Świsłockie szkoły miały właściwość, iż kształciły nietylko umysł, ale i serca młodzieży. Grunt religijny, uprawiany dłonią najbliższych, pod rodzicielską strzechą, nabral macy za dni czasów szkolnych w Świsłoczy, i już do Petersburga młody Romuald jechał pełen hartu, śmiało stawiając czoło wszelkim pokusom, wzbogaciwszy swą wiedzę niejedną wiadomością z zakresu dziejów, bądź literatury krajowej. Twarda epoka rządów Mikołajaja nie zdołała stłumić wyższych aspiracyj wśród dorastających pokoleń, pod berłem despoty. Pilnie strzeżone granice państwa stały się murem wstrzymującym wszelki blask światła, wszelką myśl wyższą. Młodziutkie pokolenia epoki polistopadowej, kształcące się w północnej stolicy carów, nie zatracaly głębokiego poczucia narodowości; owszem, miały one tam wówczas lepszą niż w kraju możność kształcenia się w zakresie historii i literatury polskiej. Sąsiedztwo morza ułatwiała nabycie celniejszych utworów poetów naszych. Z trudnością przedzierały się one przez granicę lądową, pilnie strzeżoną, droga morska była łatwiejszą; a liczny poczet młodzieży, zebrany dla studyów w stolicy, wzajemnie się wspierał na duchu i pomagał sobie w umysłowych pracach.

Istniały wtedy w Petersburgu, wśród grona akademickiej młodzieży, zebrania literackie, na których Mickiewicza

Śnieżków, krwawe wyziewy mordy tam spełnionego, przez moskiewskie wojska, z mgłami fenomenalnie ciepłej zimy płynęły ponad cichemi domostwy osad i zaścianków Brzesko-Litewskiego województwa, niosąc trwogę i budząc niespodzianie wielu z uśpienia. Najdalsze zakątki tej krainy nizin, w znacznej części nader odludnej, mało ze światem zestosunkowanej, już wiedzą o walce, już prądy obaw i nadziei, nieustannie zmieniające się, wstrząsają sercami, elektryzują mieszkańców, lecz pan dworu w Ostrowiu wciąż jednak, wciąż pozorny spokój okrywa jego oblicze. Zdawało się, iż cała długa, ciężka walka przesunie się wielką nawałnicą przez znaczną część ziem Polski, a on udziału w niej nie weźmie, by zaś wybitną rolę w wypadkach odegrać miał, o tem nikt nie myślał: zaliczano go do zbyt ważących swe czyny na szali rozwagi; acz owe czasy porywały, unosiły w wypadków wir umysły na pozór dalekie od chęci uderzenia w czynów stal. Nie znano go bliżej, odniedawna mundur rosyjski zrzucił, odniedawna osiadł na roli i wszedł do życia ziemiańskiego: sąd o nim przeto mylny wytwarzano.

Tak przeszedł luty i marzec, i część kwietnia: w Ostrowiu nic się nie zmieniało. Już Litwa przeżyła radosne chwile wieści o dyktaturze Langiewicza — na człowieka tego poważnie zapatrywano się i wiązano z tem imieniem wiele nadziei — już przeżyła i dni rozczarowań i ciężkiego bólu, gdy ta efemeryczna dyktatura stała się czemś niby epizod z wodewilu, a i wówczas jeszcze w dworze ostrowskim nie widziano ani przygotowań, ani gwaru, życie płynęło cicho i jednako. Po ciężkiej chwili upadku na duchu, ucieczką Langiewicza spowodowanej, po gwałtownem przecięciu ciągu zapału, wywołanego pierwszymi dniami walk bezbronnej młodzieży w Krakowskim i na Podlasiu, znowu w początkach kwietnia zaczął płomień powstania jaskrawszą rozżarzać się łuną. Cały horyzont polskiego nieba gorzał łuną krwawą od Kalisza po Dynaburg; ostrzono stare dziadowskie pałasze, kuto dzidy i dalej ku wschodowi, na najdalszych miedzach dawnej Rzeczypospolitej.

Zdarzyło się, iż w one dni rozpoczynanych na skalę szerszą walk na Litwie, gromadka powstańców, z różnych zakątków Kobryńskiego powiatu zebrana, przeciągała przez wioskę Traugutta; droga prowadziła przez groblę, na której

na bezwarunkową wiarę, bo uzupełniają i stwierdzają je świadectwa inne, a najzupełniej zgadza się to z owym obrazem Traugutta, z czasów nieco późniejszych, który w umyśle naszym jako naocznego świadka pozostał. Po Krymskiej wojnie wprędce usuwa się z pola wojskowej karyery — wraca do rodzinnej zagrody, do ojczystego majątku, nazwiskiem Ostrów, w okolicy Kobrynia, gdzie rozpoczyna zawód ziemianina. Zamyka ta chwila pierwszy okres jego życia; rozpoczyna zaś drugi, życie ciche ziemianina, okres trwający do połowy kwietnia 1863 r.

Przy końcu tego okresu pierwszego, zmiany szybko w jego życiu następują, jedna po drugiej. Tworzy ognisko rodzinne, córki dwie na świat przychodzą, ale żona umiera, i młody wdowiec z rangą pułkownika wraca do ziemianckiego zawodu. Wstępuje w Kobryńskim powtórnie w związki małżeńskie: druga żona z domu Kościuszkówna, wnuczka po bracie Tadeusza Kościuszki, przynosi mu dużo szczęścia domowego; u ogniska rodzinnego witają wprędce nowego przybysza — przychodzi na świat syn.

Takiem było życie Traugutta przed styczniowem powstaniem.

Czasy wstrząśnień moralnych, czasy tak zwanych manifestacyj, nie wywołały Traugutta na szersze pole; nie wychyla się on po za swą siedzibę wiejską i pędzi cichy żywot ziemianina, oddanego roli, obowiązkom rodzinnym. Do organizacyi przedpowstańczej wcale nie należał: miano go za człowieka bardzo umiarkowanych usposobień. Nawet chwila wybuchu powstania nie wywołała go wnet z domowego zacisza: pierwsze dwa miesiące, czy też nieco dłużej, ze swej siedziby przypatruje się i przysłuchuje na pozór obojętnie tym odległym szczekom oręża, których odgłos dobiega z Kongresówki. Wkrótce gwar bojowy zbliża się do owych nizin Brzeskich, gdzie była jego siedziba; od zachodu ku wschodowi płynie echo szczeku oręża; coraz rozgłośniej słyście je Litwa: -- Węgrów, Siemiatycze, to okolice niezbyt odległe od Brzeskiego. Od północy rozlegają się w głębinach puszczy strzały potyczek Narbutta. A poza odgłosem walki nader dobitnie rozróżnić można było jęki bezbronnych ofiar mordu spokojnych mieszkańców wiosek i miasteczek. I te odgłosy coraz to donośniejsze. Dym spalonego dworu

mniejszych oddziałów. Traugutta oddział, złożony przeważnie z mieszkańców Kobrynia, nie należał do najliczniejszych, był wszakże przy całym ubóstwie środków dobrze zorganizowany i odznaczał się niezwykłą karnością. Karność, ład, dyscyplina wojskowa nader ostra, którą Traugutt swą stanowczością wprowadzić umiał, wyróżniały ów oddziałek od innych. Taka karność spotykała się tylko u niego, lub u Różyckiego na Wołyniu, w pułku jazdy wołyńskiej: w obu też rzeczonych oddziałach dowódcy cieszyli się taką niezwykłą miłością swych żołnierzy, jak się to gdzieindziej nie spotykało. W latach późniejszych, na ziemi wygnania, żołnierze oddziału Traugutta na wspomnienie o wodzu swym odpowiadali łąą głębokiego żalu.

Chociaż w okolicy Kobrynia stawały, formowały się, lub z innych miejscowości przesuwały się inne oddziały, niemniej jednak tylko oddział Traugutta nosił nazwę Kobryńskiego. Ze względu zapewne na jego dowódcę, inne oddziały łączyły się z nim; on, pomimo swych sił liczebnie małych [nie przewyższał nigdy 200 ludzi], pozostawał zawsze jakby macierzą oddziałków z nad Muchawca, Piny, Jasiołdy; inne podlegały mu niekiedy, wspierały go czasem, on wciąż zachowywał swą samodzielność; i szczęście mu przytem sprzyjało.

Owa noc przerażającej ciemności, z d. 7. na 8. maja, która była chwilą wybuchu w prowincjach położonych na południe od Prypeci, patrzała na wystąpienie Kobryńskiego oddziału; miał nim Traugutt dowodzić. W głuchym, leśnym ostępie, nad brzegami rzeczki Temry, a na gruntach miasteczka Antopola, położonego o 4 mile na wschód od Kobrynia, zebrał się po raz pierwszy oddział Kobryński czyli Traugutta; liczył on 160 zaledwie ludzi, którzy chociaż zaliczali się do różnych zawodów, wszakże większość zaznajomiona była z myśliwstwem. Taki myśliwiec na Litwie — to pospolicie wyborny strzelec; znaczna więc część oddziału, lub jak wtedy nazywano „partyi“ Traugutta, liczyła w swych szeregach wielu wybornych strzelców. Wpředce po północy przybył dowódzca, i, w chwili gdy słońce miało się ukazać z poza błot i lasów ościennej Pińszczyzny, powitał tę garstkę zbrojnych, której miał przewodniczyć energiczną przemową.



wsparty o poręcz mostu stał dziedzic wioski z fajką w ustach, przypatrując się na pozór obojętnie ciągnącej na bój garstce młodzieży. Niejeden z tych zbrojnych okiem wyrzutu nań rzucił, że już trzeci miesiąc krew się leje na mnóstwie pobojowisk, a on nie niesie swej znajomości sztuki wojennej, swego doświadczenia w ofierze ojczyźnie.

W rzeczywistości jednak, poza tym spokojem pozornym, poza powagą nacechowaną obojętnością, serce gorące uderzało i umysł wciąż pracował, a w piersi człowieka o tak na pozór wątej budowie wrzała walka uczuć wielorakich.

Postanowionem już było w jego umyśle zbrojne wystąpienie i objęcie dowództwa nad garstką partyzantów rekrutujących się z niasta Kobrynia, lecz o tem postanowieniu nikt nie wiedział: prace gospodarskie ziemianina szły zwykłą koleją aż do ostatniej chwili.

Naczelnik województwa Brzeskiego, Apollo Hofmejer, prowadził z Trauguttem rokowania w sprawie objęcia dowództwa nad tak zwaną „partya“ Kobryńską. Prowincya tameczna tak wielką wagę przywiązywała, by coprędzej dowództwo miejscowej garstki powstańców spoczęło w dłoni Traugutta, iż organizacya rewolucyjna miejscowa z własnego popędu oświadczała gotowość złożenia sumy kilkunastu tysięcy rubli na rzecz jego dzieci; obawiano się bowiem, iż los rodziny, której zagrażał wówczas jakiś proces familijny, zaważy na szali jego postanowień<sup>1)</sup>. Ta gotowość wielkiej hojności, o której dała się słyszeć wojewódzka organizacya, pozostała w sferze zamiarów; urzeczywistnioną nigdy nie była, a nic nie zaważyło i zaważyć nie mogło w zakresie postanowień Traugutta: jak wtedy, w godzinę wystąpienia na arenę walki, oddawał on siebie na ofiarę bez żadnych zastrzeżeń, tak i później widziano go jednym z tych niewielu, którzy ani na chwilę nie pomyśleli by siebie ocalić.

\* \* \*

Brzeskie i przyległe mu Grodzieńskie posiadały od kwietnia do lipca 1863 roku całą plejadę większych bądź

---

<sup>1)</sup> Proces o część Ostrowis toczył się wówczas z księżną Szujką, krewną Traugutta.

ętność szybkiego orientowania się zdobyły te pierwociny powodzenia.

W pięć dni po pierwszej bitwie, w tejże okolicy, chociaż na innym stanowisku, znowu go nieprzyjaciel zaatakował, z większemi nawet nieco siłami: i tym razem cofnąć się musiał wróg, chociaż niewiele żołnierza stracił, obawiał się bowiem w głąb puszczy posuwać, pod której osłoną nasi działali. Trzecia z rzędu potyczka, po drugich pięciu dniach stoczona, już miała miejsce na pograniczach Pińszczyzny, blisko Porzecza Skirmuntowskiego, znowu dla partyzantów miała charakter odporny, ale też i nieszczęśliwy zarazem, nieprzyjaciel bowiem zebrał przeciw Trauguttowi siły stosunkowo bardzo przeważne: cztery rotы piechoty i dwie seciny kozaków, i z tem go atakował gwałtownie. Nasi z dwóch stron wytrzymywać musieli atak: walczono we dwa fronty, od godz. 3 po południu do wieczora dnia letniego: noc zaledwie położyła koniec strzałom. Trzykroć nieprzyjaciel atakował leśne gęstwiny i trzykroć zniewolony był iść do odwrotu, jednak nie poszedł w rozsypkę, i owszem, zdobył tym razem korzyści. Leśne mogiły nie pochłoneły znacznej ilości naszego żołnierza, wróg nawet o wiele więcej strat miał w ludziach lecz niemniej ulegliśmy wielkiej liczebnej przewadze: straciliśmy nasz obóz, złożony z dwudziestu wozów i pięćdziesięciu koni, a z nim żywność i nader potrzebne bagaże wojskowe. Dzielności naszego żołnierza, tak odniedawna w ogień wstępującego, i jego nieoszczędzania się, niech będzie to świadectwem, iż ci, co w uprzedniej potyczce otrzymali rany (jak Adolf Bogurski, Zan) i w tym nierównym boju walczyli, wcale siebie nie oszczędzając, i nie szukając chociaż dorywczej pomocy lekarskiej — nowe rany dobiły ich. Traugutt, jak zwykle, był pierwszym do zachęty, do wskazówki, daleki od szukania wygod, lub oszczędzania siebie: widziano go w największym ogniu i tym razem, i w każdej z walk następnych.

To śmiałe przodowanie w największym ogniu było zapewne dla nieprzyjaciela podstawą do wytworzenia legendy, która znalazła wprędce szerokie echo, że Traugutt zabity i nawet, jak się wróg wyrażał, „wbito mu okulary w oczy“.

Przemówienie krótkie, nacechowane siłą, wywarło wrażenie niezmiernie. Zapał tych ludzi, pełnych poświęcenia bezbrzeżnego, wzrósł do najwyższej potęgi. Poprzysięgli na owej leśnej polanie spełniać godnie obowiązek polskiego żołnierza i spełnili go, więcej niż ze ścisłością, z bohaterstwem.

Traugutt w swych przemówieniach publicznych, których zaledwie kilka słyszano, wywierał wielkie wrażenie; ani głos, ani postawa nie wskazywały mowcę, lecz prawda tryskająca z każdego słowa, prawdziwe uczucie, stanowczość, logika niczem nie przeparta, czyniła zawsze silne wrażenie. Tem jędrnym słowem rozpedził on — jak później zobaczymy, owo koło radykalistów, które wdarło się we wrześnie do steru spraw powstania. Tem jędrnym słowem, ba i przykładem własnym, prowadził na wroga swój oddziałik, i nauczył go wprędce zwyciężać, acz w nierównym boju.

Pierwsze dwa tygodnie swej partyzantki poświęcił Traugutt ćwiczeniu młodego żołnierza, ucząc przeważnie tyralierki dwójkami, co mu się w jego późniejszych potyczkach niezmiernie przydało. Ćwiczenie to oddziału odbywało się w Horeckich lasach, nieopodal Brzeskiego kanału (dawniej nazywanego „kanałem Rzeczypospolitej“), łączącego Muchawiec, dopływ Bugu, z Piną. Tam też odbyła się pierwsza z siedmiu potyczek, stoczonych przez Traugutta w puszczech i dzikich ostępach Pińskiego Polesia. Potyczka ta, stoczona na grobli pod Horkami, była trafnie obmyślana i wybornie wykonana zasadzką. Nieprzyjaciel ciągnął z siłą dwóch rot piechoty i z kozakami. Piechota na wozach dążyła; lecz Traugutt zamknął jej drogę ze strzelcami, i gdy nieprzyjaciel niezdoławszy sformować się, przerażony celnymi strzałami partyzantów, cofać się zaczął, rzucił swych kosynierów na nieprzygotowanych i w popłochu formujących się moskiewskich żołnierzy. Owo uderzenie „w kosy“ — jak się wyrażano — rozproszyło wroga. Po niedługiej walce, partyzanci stali się panami pobojowiska, łatwą ceną zdobytego: siedemdziesięciu zabitych, bądź rannych nieprzyjaciół wskazało nowozacieżnym partyzantom, że zwycięstwa mogą być ich udziałem.

Pierwsza pomysłość bojowa stała się zachętą dla młodego, polskiego żołnierza. Ufność w wodza wzmagala się, tembardziej, iż dobrze rozumiano, że tu nie męstwo walczących ale plan i śmiałość pomysłów wodza, jego energia i umie-

Nowy to niejako zwrot w niedługich dziejach tego oddziału: Wańkowicz, Kazimierz Narbutt, Strawiński (znany pod nazwą Młotka), Włodek, bądź się łączą z Trauguttem, bądź dążą do połączenia się, bądź wreszcie działają na własną rękę, ale są wszyscy zależni od jego naczelnego dowództwa. Wśród ciężkich działając warunków, dowódcy drobnych oddziałów z trudnością mogli utrzymać wojskową hierarchiczną łączność z sobą: tysiące trudności przecinało wciąż, pilnie nawiązywaną nieraz, sieć stosunku i zależności wojskowej. Trudności tem większemi się stawały, iż cała organizacja powstańcza na Litwie improwizacją była jedynie: cały ruch powstańczy tak nagle wytworzył się, urósł, rozwinął, iż prawdziwie zdumieniu opędzić się niepodobna, że zdołano wysnuć z siebie tyle zasobów energii, wytrwałości, przy niezmiernym braku wyćwiczenia i środków materialnych, przy braku broni, amunicji, pieniędzy. Pomimo braków tych wojskowej zależności, potrzeba było mieć u góry władzę naczelną silną, wolną od wszelkich wstrząśnień wewnętrznych. Z tego rodzaju rozumowań wyłaniała się myśl przypatrzenia się osobistego sterowi głównemu powstania, z którym Traugutt, jako stojący najzupełniej poza organizacją, aż do chwili wystąpienia czynnego, wcale był nieobeznany. Myśl ta jednak, zdawało się, iż nigdy nie urzeczywistni się. Szedł on wówczas w głąb Polesia Pińskiego, ku krańcom wołyńskich lasów, gdzie prawdopodobnie chciał podać swą dłoń pomocy wołyńskim powstańcom, nawiązać stałą nić stosunku między dwoma teatrami powstańczej walki, na północy i południu od błot Polesia. Szedł wśród warunków coraz cięższych, coraz bardziej naciskany przez nieprzyjaciela, który wreszcie dowiedział się, iż wódz kobryńskich powstańców nie poległ żyje, działa: usilnie więc pracowano w nieprzyjacielskim obozie, by szybkimi marszami doścignąć go, zgnieść, zniszczyć.

Takie posuwanie się w głąb Polesia najeżone było tysiącem niebezpieczeństw, trudności, prywatyj: śmierć poza każdym krzakiem wyglądała. przybierając różne postacie; jeśli nie od nieprzyjacielskiej kuli, to od znużenia, głodu, śmierć nieustannie groziła. W takich warunkach, dalszych, stałych projektów niepodobna było czynić.

Traugutt — nie zginął, ale kule nie oszczędziły ani jego czapki, ani poły surduta. Życie to jednak Opatrzność ocalała, chroniąc snąc je dla innych przeznaczeń <sup>1)</sup>.

\*  
\*

Ulegli tym razem Kobryńscy partyzanci, ale tylko na chwilę; po kilkunastu godzinach znowu grupują się pod swym sztandarem, wracają do obozowiska dawnego; nieprzyjaciel, acz przeważny, nie ośmiela się ich szukać wśród leśnych i bagnistych ostępów. Opatrują więc swych rannych, których pierwszym opatrzeniem i żywieniem zajęli się włościanie miejscowi, i czekają na posiłki, nadejścia ich bowiem dowódzca się spodziewał. Następuje tu dziesięciodniowa przerwa w działaniach. Oddział nieliczny potrzebował czasu, by na siłach się wzmódz: nieprzyjaciel pomaga mu w tem bezwiednie, bo sądzi, iż niedość, że pokonał partyzantów, ale położył na placu ich wodza — tak bowiem głosiła legenda przez Moskali wytworzona, a przez naszych chętnie podtrzymywana, nawet z rozkazu samego wodza.

Korzystając, iż nieprzyjaciel, stropiony nieco, fałszywą wieścią o zgonie Traugutta, mniema, że już najzupełniej skończył swe mocowania się z oddziałem kobryńskim, dowódzca „partyi“ chwilowo obóz opuszcza, by nie zerwać czucia ze słabemi niemi administracyi, jakie tam istniały; i, zostawiwszy rozkazy stosownego zachowania się w puszczy mocno przetrzebionego oddziału, wyczekuje posiłków. Nadchodzą one wreszcie, po dniach dziesięciu: z powiatu brzeskiego nadciąga w sto ludzi Leliwa, właściwie Jan Wańkowiec, który odtąd dzieli losy z Trauguttem w Pińszczyźnie i wielkiem cieszy się jego uznaniem.

Oddział Traugutta, wzmocniony zbrojną gromadą Leliwy [Wańkowiec], odbywa odtąd marsze znaczne w głąb Pińszczyzny, i ostatecznie sięga dłonią orężną do Polesia wołyńskiego, t. j. do północnych kończyn rówieńskiego powiatu.

---

<sup>1)</sup> Od wczesnej młodości posiadał Traugutt wzrok nader krótki i zawsze używał okularów. Te, które wśród jego partyzanckich bitew w nżyciu były, piszący niniejsze wspomnienia do dziś ma u siebie.

Budzie wolność prawdziwaja, Dać nam jeje Polszcz świataja...<sup>1)</sup>).



Ostatnim kresem posuwania się oddziału trauguttowskiego w kierunku południowo-wschodnim, ku Polesiu wołyńskiemu, był dolny bieg Horynia i miasteczka Stolín i Dąbrowica. W głębi Polesia jeszcze dopędzały go małe posiłki kobryńskie, lub łączyły się z nim miejscowe zbrojne gromadki. Do ostatnich zaliczyć potrzeba mieszkańców miasta Pińska, a wśród pierwszych wyróżniała się mała partya z kobryńskiego, której przewodniczył Domanowski, lekarz ceniony przez Traugutta, człowiek poświęcenia; ale niedługo nim się cieszo, wkrótce kula nieprzyjacielska zgon mu przyniosła.

Dotarwszy do m. Stolína, Traugutt zajął miescinę i oddział miał tam dobę odpoczynku, po którym przeprowił się przez Horyń. Ostatnie to jednak były dla owej partyi odblaski lepszego losu. Podjazdy powstańcze doniosły o zbliżającym się nieprzyjacielu. Traugutt, podobnie jak to kilkakrotnie już uczynił, postanowił go powitać zasadzką. Szybko obmyślany fortel wojenny wprowadził w zasadzkę, prawie o świcie, dość przeważne siły nieprzyjacielskie — z 3. kompanij piechoty składające się — i, zanim słońce nieco się wzbilo ponad leśny horyzont, rozbił je. Nieprzyjaciel po dwugodzinnej walce, straciwszy dowódcę, zostawiwszy nieco trupa na pobojowisku, a resztę swych zabitych i rannych z sobą uprowadzając, cofnął się. Pomimo jednak tego zwycięstwa, gdy bardziej ku południowi, w lasach wołyńskich, nie znajdowano żadnych sił powstańczych, na które liczo, postanowił Traugutt wrócić na lewy brzeg Horynia.

Kierunek dawny marszu nie mógł być użyty, nieprzyjaciel bowiem, obrawszy m. Stolín za podstawę swych działań, niezaprzeczonym był panem dolnego Horynia. Pozostawała jedyna droga przeprawy przez Horyń, pod miaste-

---

<sup>1)</sup> Przedłuższe ustępy owych pieśni powstańczych przytaczamy jedynie ku pamiętce czasów minionych i dla charakterystyki chwili, trzymając się tekstu umieszczonego w „Pamiętniku Ignacego Aramowicza“. (*Bendlikon*. 1865).

Nadchodził lipiec (now. st.) i ma'uczki tabor powstańców trauguttowskich przeprowiał się przez dolny bieg rzek wołyńskich: doszedł więc do kresu, do którego miał dojść; lecz od południa, od strony wołyńskiego Polesia, nie dobiegało echo trąbki powstańczej — tam walki wcale nie było. Pozycja stawała się coraz przykrzejszą; bo niedość iż, oddalając się od okolic głębszej Litwy, zerwano z podstawą działań; nie stosunku ze swymi wytężona pękała; lecz zagłada małego oddziału coraz bliższą stawała się. Wróg ścigał, osaczał.

W obozie powstańczym trwogi nie widziano, spostrzegano tylko znużenie. Ale i ono znikano, gdy strzał na placówce zwiastował zbliżanie się nieprzyjaciela, gdy w cichości przebiegł szeregi partyzanckie rozkaz ulubionego wodza, gdy wreszcie, w chwilach spokojniejszych, zabrzmiał w powstańczym obozie śpiew obozowy. Naprzemiany brzmiały śpiewy to polskie, to białoruskie wśród szeregów powstań kobryńskich, brzesko-litewskich, słonimskich, wołkowyskich; w party Traugutta również one brzmiały: chociaż, zużywając dużo czasu na naukę musztry żołnierza, na śpiew i odpoczynek bardzo mało dowódzca czasu udzielał. I tam jednak słyszano ową pieśń litewskich powstańców: „Młodzież nasza zawsze dzielna, Na moskali iść gotowa; Za to pamięć nieśmiertelna W pokoleniach się przechowa. Dalej bracia, dalej żwawo, I z nad Wisły i z nad Niemna, Już na świecie nie tak łzawo, Nasza przyszłość nie tak ciemna... Świetne boje nas czekają! Przyszłość świetna błyszczy w dali! Pieśń na naszą nutę grają! A więc hura na moskali. — Dalej bracia, dalej żwawo, I z nad Wisły i z nad Niemna! Już na świecie nie tak łzawo, Nasza przyszłość nie tak ciemna“...

A w innym końcu taboru brzmiała wśród kosynierów inna pieśń, białoruska, której dźwięki dziwnie zespały się z uczuciem litewskiego kmiecia; nucił on ją z całym zapamiętem, bo jej dźwięki to głos jego mowy ojczystej: „Hej-ha razem chłopci, Hu-ha my młodci! Hej-ha z Polakami, Hu-ha a Boh z nami! — I na Bożu zdajma wolu naszy slozy i niewolu... Hej-ha my paczuli, Hu-ha szto nas skuli! Hej-ha ciepier znajem, Hu-ha wyklikajem: Z ziemi naszoj won warohi! Moskalew złup won do nohi!.. Hej ha mai ludzie! Hu-ha dobre budzie! Hej-ha, oj radnyje, Hu-ha ma'lenkije!

Okolice nader trudna do przebrnięcia, nie dawała ani żywności, ani dróg, ani schronienia dla znużonych, chorych, których potrzeba było z sobą uprowadzać. Owe ujścia Horyniowe i ościenne im bagna — to pustynia pod każdym względem. Przechodząc przez nią odczuwano ogromną różnicę od okolic, które były dla partyzantów punktem wyjścia, od okolic kobryńskich, brzeskich i innych powiatów wyższej Litwy. Do warunków ciężkich, wypływających z samej miejscowości i braku pożywienia, zaliczyć trzeba ciąglą grozę pościgu nieprzyjacielskiego, który starał się oskrzydlić Traugutta, od rzeki odciąć. Zanim dotarli do przepraw pod Stolinem siły wielu upadać, niknąć zaczęły; sam główny dowódca, Traugutt, nie należąc do ludzi silnej budowy, czuł się mocno znużonym, prawie upadał z wyczerpania sił.

Przed Stolinem już napadani byli przez nieprzyjaciół, którzy im przejścia przecinali i niepokoili napadami w chwili gdy po długim głodzie znaleziono nieco pożywienia i gotowano się do spożycia. Ze stratą części szczupłego obozu potrzeba było cofnąć się. W dalszym marszu ku dogodniejszemu przeprawom, miano sześć dni zupełnego głodu. Jedyne ser, znaleziony w jakimś ubożuchym folwarku leśnym, starczył za całe pożywienie, i on w małych ilościach był rozdawany. Wreszcie i sera nie stało. Żywnie się serem niezbyt świeżym, brak innej żywności wywołał choroby, zużywał resztę sił partyzantów mocno już osłabionych. Po przeprawie przez Horyń nieuniknięto ścigań nieprzyjaciela, który tym razem sam urządził zasadki. W jednej z nich legł powszechnie ceniony lekarz Domanowski. Była to ostatnia bitwa oddziału Kobryńskiego: stoczono ją o kilometr od dworu wsi Kołodna, w Pińskim powiecie. Dowódca oddziału, Traugutt, tak się czuł osłabionym tysiącem prywacyj, głodem wreszcie, czuwaniem, znużeniem po tylu pieszych marszach, iż nie mógł się utrzymać na nogach; choroba go obalała, chwiał się a stał i przewodniczył przeredzonym znacznie swym szeregom. Gdy nakoniec o własnej mocy wcale utrzymać się nie mógł, trzymano go pod rękę, by nie runął na ziemię. Bitwa pod Kołodnem, 13. lipca stoczona, drugą była potyczką w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wśród okoliczności, o których mówiliśmy, pomyślnego jej wyniku niepodobna było spodziewać się: napadnięto na znużonych i odpoczywa-



czkiem Dąbrowicą, położonem już na terytoryum powiatu rówieńskiego, gubernii wołyńskiej. Tam, ponieważ nie widziano wcale powstańców, więc i od wojska miasteczko wolnem było. W rzeczywistości jednak przeprawa pod Dąbrowicą okazała się niemożliwą. Na czele władz moskiewskich obszernego powiatu rówieńskiego stał wtedy niejaki Hotz, exwojskowy, który jeszcze przed powstaniem, przewidując je, o stłumieniu marzył, wciąż o tem mówił i napełniał swe otoczenie odgłosem urojonych niebezpieczeństw i mniemanych zwycięstw. Była w tem znaczna doza policyjnej donkiszoteryi. Nie mając w swym powiecie powstańców, a zatem żadnych sił zbrojnych, regularnych, wytwarzał Hotz milicyę z wieśniaków; swych assessorów (t. j. zwierzchników obwodów policyjnych) stawiał na czele wieśniaczej milicyi, i w ten sposób dużo robił hałasu. Milicya i jej dowódcy, assessorowie, oprócz niepokojenja spokojnych przechodniów i znęcania się nad podróżnymi, nie mieli innego pola do działania i do zwycięstw. W Dąbrowicy pierwsze i jedyne pole po temu nadarzyło się. Skoro Traugutt zbliżył się ku przeprawie w Dąbrowicy, Hotza rozporządzenia zaczęto urzeczywistniać z szybkością i ścisłością niemałą. Powstańcy nie mogli korzystać z promu, bo go zatopiła policya, a gdy Traugutt chciał sforsować przeprawę i wpływ brnąć przez mielizny tworzące się podczas lata na Horyniu, rozległy się strzały od strony miasteczka. Policya, w myśl rozkazów Hotza, rozpoczynała kroki zaczepne z milicyą wiejską.

Było to jedyne zetknięcie się zbrojne Traugutta z terytoryum poza granicami w. ks. litewskiego: od Dąbrowicy bowiem na południe zaczynało się dawne województwo wołyńskie.

Nie odpowiedziano pod Dąbrowicą na strzały strzałami i, szukając dogodniejszej przeprawy, pociągnięto znowu ku kierunkom dawnych marszów, których uniknąć chciano. Przeprawiał się Traugutt przez Horyń, naciskany żelazną koniecznością, pod bokiem moskali, około Stolina, i odtąd rozpoczyna się stanowcze zniknięcie gwiazdy powodzeń jego oddziału. Powrót pod Stolin do łatwych przejść zaliczyć niepodobna: z wysiłkiem go dokonano. Głód, wyręczając nieobecnego nieprzyjaciela, ścigał cofających się partyzantów.

się w połowie sierpnia na inspekcję instytucyj powstańczych poza krajem, miało swe źródło w praktyce wielomiesięcznej. Mówiliśmy już wyżej, iż wewnętrzne przewroty, usuwające jedne grona Rządu Nar., a inny skład natomiast stawiające, powtarzały się wciąż i weszły w obyczaj. Były nawet pewne osobistości specjalnie niejako trudniące się tą pracą rozkładową, niszczącą.

Przed dniami październikowemi, t. j. przed objęciem tajemnej dyktatury przez Traugutta, spotykamy cztery większe przewroty: marcowy (t. j. wytworzenie podstępne, bez wiedzy Rządu Tymczasowego, powstańczego, dyktatury Langiewicza), majowy, czerwcowy i wrześniowy. Knowań, zamiarów, zabiegów, spisków, by wywrotów liczbę powiększyć, lub wykonanie takowych przyspieszyć, spotykano mnóstwo; a prawdopodobnie, pewna ich część, nieurzeczywistniona, nie doszła do wiadomości szerszych kół.

Pozorowano zamachy i przewroty ogólnem niby niezadowolaniem z kierunku, w jakim Rząd Narodowy prowadził sprawę powstania, w rzeczywistości jednak głównym bodźcem stawała tu ambicya chciwych władzy i rozgłosu indywidualów. Ambicya, tlejąca w piersiach pyszałków, posługiwała się zarówno zapalem niektórych żywiołów wśród organizacji miejskiej, jak i często figurami bardziej niż zagadkowemi, wprost lichemi, które w epoce ruchów rewolucyjnych zwykle na powierzchni wypadków fala wstrząśnień wyrzuca. Wyrzucała ona je i u nas. Obok głów łatwo zapalnych, obok ślepych naśladowców, bądź zagorzałych wyznawców wielkiej rewolucyi francuskiej, obok prawdziwie gotowych gwoli doktrynie poświęcić się, widzimy szumowiny moralności prywatnej i publicznej; i do tych ostatnich pośrednio, lub bezpośrednio ambicya sięgała, używając ich za narzędzia przewrotu. Tak, podczas majowego zamachu, użyto nięjakiego Jana Wernickiego, który, nadużywszy zaufania dawnego składu Rządu, w służbie jego pełniąc pewne funkcye, fortem zdołał przenieść władzę do rąk innych. Fortel był wcale nie skomplikowany, a pożałowania godny. Zajmując stanowisko urzędnika ekspedycyi druków, Jan Wernicki posiadał w swem ręku przez pewien czas potrzebną mu do ostemplowania niektórych papierów, pieczęć Rz. Nar., która była widomem symbolem władzy: Kto ją posiadał dzierżył władzę

jących, co wywołało zamęt; ochota bojowa, jeżeli wśród licznych prywacyj nie stępieła, w każdym razie żołnierz był już sterany, i to mocno, oporu wielkiego tymrazem nie stawił i stawić nie mógł.

Chociaż rozproszeni pod Kołodnem, traugutowscy żołnierze nazajutrz znowu stanęli pod swą chorągwią, ale wódz był chory i warunki dalszego marszu przez Polesie tak trudnemi się okazały, iż Traugutt podzielił oddział na dziesiątki i ku Kobryńszczyźnie zalecił im oddzielnemi gromadkami dążyć, trzymając się różnych dróg i ścieżek. Sam zaś z dwudziestu najdzielniejszymi czas jakiś posuwał się za nimi; lecz choroba zniewoliła go szukać wypoczynku. Żołnierze jego pod innem dowództwem dalej dążyli, lub szukali dla siebie później innych oddziałów, a Traugutt, w bezpiecznem schronieniu nieco wypocząwszy, wyleczony i z siłami wzmocnionemi, podążył przez Kobryńskie i Podlasie do Warszawy, gdzie widzieliśmy go w ostatnich dniach lipca.

## ROZDZIAŁ V.

Przebiegliśmy w krótkim zarysie główne wypadki z życia Traugutta i przypatrywaliśmy się jego działalności na stanowisku naczelnika oddziału powstańczego; obecnie znowu zwracamy się ku Warszawie, ku sferom kierującym ówczesną powstańczą organizacją.

Traugutt — jak widzieliśmy — opuścił Warszawę na czas krótki; miał w ciągu miesiąca, lub sześciu tygodni, odbyć poruczoną sobie lustrację różnych agentur i komisij narodowych, funkcjonujących za granicą, tak w innych zaborach jak i w innych krajach Europy, poczem oczekiwano jego powrotu; Rząd Narodowy zachował dla niego jedno z krzeseł w swem gronie.

Zanim wszakże czynności lustracyjne zostały ukończone, upadł wskutek wewnętrznego przewrotu ów skład Rz. Nar., który Traugutta wysyłał.

Rzeczy zmieniły się nagle, a rdzennie.

Wstrząśnienie, które obaliło we wrześniu Rząd Nar. znany Trauguttowi i będący jego mocodawcą, gdy udawał

niby w lesie wypadków i interesów sobie nieznanymi: po pierwszych paru dniach swego funkcjonowania dowodnie się przekonali, że samo rozprawianie nie wystarcza, że potrzeba pracy żmudnej, wytrwałej, wyrobniczej niejako, potrzeba mieć ludzi znających się na interesach i umiejących pracować, wdrożonych uprzednią praktyką do znoju ciągłego. Pragnąc przeto, by wstrzymana machina rządowa nadal funkcjonowała, zniewoleni byli powołać kogoś z dawnego składu Rządu do swego grona. Powołano najbardziej obeznanym z biegiem wypadków i interesów powstania: Awejdęgo i Janowskiego. Stał więc Rząd koalicyjny niejako, acz wytworzony dłonią opozycji i rodowód swój od krańcowych żywiołów i aspiracji wyprowadzał. Nazywano go Rządem adwokatów, gdyż z nich przeważnie go złożono. Działo się to w pierwszych dniach czerwca. — Pokój w łonie wicherzących zdawało się iż zapanował. Niedługo on trwał. Ilekroć ludzie bardziej rewolucyjni garnęli się do steru, odsuwało się od nich instynktowo wszystko, co było poważniejszym, światlejszym, doświadczeńszym i zasobniejszym w środki materialne. Wytwarzała się więc pozycja dziwna: żywioły umiarkowane narażane były nieustannie przez opozycję na wstrząsania gruntu, na którym stały, żywioły zaś bardziej rewolucyjne, gdy ujmowały ster, nie znajdowały nigdzie i znikąd poparcia.

Otoż i tym razem, skład majowego Rządu, acz w pierwszych dniach swego funkcjonowania od tego rozpoczął działanie, iż zasilił swe szeregi paru osobistościami z poprzedniego składu Rządu umiarkowanego, nie budził zaufania w poważniejszych kołach, obawiano się jego teroryzmu, od którego w rzeczywistości był daleki, i jeno w słowach umiał się przejawiać.

Nim miesiąc upłynął od przewrotu majowego, nadszedł nowy przewrót ku końcowi czerwca. Z dwóch stron, jeśli nie z więcej, naciskano na nowy ten skład ludzi u steru stojących. Obalenie poprzednich do obalenia nowych zachęcało. Z dwóch stron, jak powiedziałem, naciskano. Z organizacyi miejskiej wysnuł nić istnienia swego jakiś Komitet Bezpieczeństwa, który miał czuwać nad Rządem, by nie zбочzył ze szlaków rzeczywistej rewolucyi, przynajmniej jak ją rozumiały niektóre głowy teoretyków, zasiadające w za-

najwyższą w swej dłoni. Tajemnica, którą Rząd Nar. był okryty, wytwarzała taką anormalną sytuację. Otoż J. Wernicki, w znowę wszedłszy z opozycją, która, za kulisami krwawej walki i klęsk kraju, hałasowała, w maju, w łonie organizacji miejskiej w Warszawie, przeszedł do obozu opozycjonistów i zamachowiczów wraz z pieczęcią, której całości strzegł.

Tak się odbył zamach majowy.

Ludzie, wypływający wskutek tego zamachu na widownię stojących u steru kierującego wówczas powstaniem, mienili się ludźmi ruchu, a więc nawskróś rewolucyjnym stronnictwem, tych zaś, których strącano, uważano za krańcowych konserwatystów, w najlepszym razie za żywiół umiarkowany.

Ustąpili wówczas ludzie, na których wykształceniu polegać można było, jak Karol Ruprecht, Edward Siwiński; lub też tacy, którzy od dłuższego czasu pracowali w sprawach organizacji, jak Agaton Giller, Oskar Awejde, Józef Janowski. Weszli natomiast do Rządu i wytworzyli nowy jego skład: Tadeusz Bąkowski, Piotr Kobylański, Erazm Malinowski i Franciszek Dobrowolski. T. Bąkowski po kilku dniach zachorował i ustąpił. Pozostali reprezentowali żywiół rewolucyjny; tak przynajmniej trzymali o sobie, i tak o nich trzymała opozycja: właściwie jednak było to koło ludzi związanych z sobą stosunkami osobistymi, dawnym koleżeństwem, na studiach w jednym z uniwersytetów, w głębi Rosyi, byli to teoretycy, ludzie rozległego umysłu, wszyscy prawnicy z powołania (Kobylański był mecenasem przy senacie, Franciszek Dobrowolski, sekretarz senatu)<sup>1)</sup>.

Nowi ci działacze, nieobeznani z biegiem spraw, których cały rozwój wstrzymał rzeczony zamach, znaleźli się

---

<sup>1)</sup> Jak w r. 1831, kawiarnia, „Honoratką“ zwana, była w Warszawie siedliskiem żywiółów gorących a wichrzących, tak w r. 1863 winiarnia Wolfina, na rogu placu Krasieńskich i ul. Długiej, wciąż widywała owe opozycyjne żywioly, które wytworzyły przewrót majowy. Kobylański chętnie tam też uczęszczał. Był to człowiek wyższej wiedzy, krańcowych przekonań, ale jeno w słowach, i należał wreszcie do niewielu tych, z łona gorętszych rewolucjonistów, którzy później spożywali gorzki chleb wygnania. Mecenas Kobylański zmarł w katordze w Ussolu, na Syberji, około r. 1866.

stronnictwa; owszem, żadnych stronnictw zdawał się nie znosić, a wyłącznie stał pod sztandarem Polski. Wszelkie barwy — białe lub czerwone — wszelkie hasła — republikańskie, mniej czy też więcej demokratyczne, lub inne — stanowiły dla niego rzecz podrzędną: barwa — Polska, nasło — jej wyzwoleń, to jedyne zrozumiałe dla niego godła. Rozum, którym bez zaprzeczenia nad tłumami młodzieży górował, i którym wpływ nad nią zdobywał, znamiętem był jego głównem, rozum też nakazywał mu zwracać się ku bardziej umiarkowanym, nie zrywając wszakże czucia z innymi obozy. Dlatego też widzimy go, przy końcu r. 1862, w obozie tak zwanych białych, a nawet zasiada czas pewien w ich tak zwanej Dyrekcyi obywatelskiej. Dopiero po wybuchu, gdy wszyscy, bez różnicy odcieni przekonań, łączyć się zaczęli z powstaniem i Karol Majewski stanął pod tym sztandarem walki, bo to był ówczesny sztandar Polski całej. Do udziału jednak czynnego musiał z konieczności późno przystąpić; wprzódce bowiem po wybuchu, gdy ludzi wpływowych z murów miasta usuwano, Edward Jurgens uwięziony był w lutym, i już go z cytadeli, w sierpniu, w trumnie do grobu wywieziono; J. I. Kraszewski otrzymał od władz rosyjskich *consilium abeundi* z paszportem zagranicę i z naciskiem, by wnet wyjeżdżał. Karol Majewski został uwięziony i zaledwie w początkach czerwca uwolniono go.

Takim był ten, któremu przypadł udział wytworzenia nowego składu Rządu ku końcowi czerwca, i który w tym składzie przewodniczył.

Z zadania swego, iż dobrze wtedy wywiązał się — świadectwem chwila ówczesna. Rząd czerwcowy był najdłużej trwającym ze wszystkich tamtoczesnych składów Rządu zbiorowego, i najlepiej funkcjonujący, jak to już zaznaczyłem na pierwszych kartach niniejszych wspomnień.

Przewodniczącym niejako w owym Rządzie — niby pierwszym ministrem — był Karol Majewski. Porozumiał się on z ludźmi reprezentującymi pewną ciągłość prac — i najbardziej obeznanymi z bieżącemi sprawą — z Józefem Janowskim i Oskarem Awejdą: obaj oni przyjęli propozycję Majewskiego wejścia do składu Rządu Nar., którego skład dobierał starannie Majewski. Rząd „adwokatów,” unormowany w ostatnich dniach maja, przed końcem czerwca pada,

radzie organizacyi miejskiej; a jakieś indywidua nieznanego miana grupowały się około anarchistycznej osobistości niejakiego Ignacego Chmielińskiego, którego rzemiosłem było burzyć wszystko. Sam on nigdy i nigdzie siebie nie narażał, a wszędzie z bezpiecznych kryjówek wysuwał się tam, gdzie było co do zburzenia, lub przynajmniej zachwiania. Wszystkie burzenia i obalania, jeżeli były połączone z niebezpieczeństwem, dokonywały się nie jego dłońmi, ale jego zwolenników, którym z ukrycia przewodniczył.

Do wymienionych nieprzyjaznych żywiołów, przybyła pewna okoliczność, dla ówczesnego steru powstańczego nader groźna: stała się ona skałą, o którą rozbiła się nawa Rządu majowego. Poza zakresem rozporządzeń i działań Rządu zwierzchniego, kilku z miejskiej organizacyi, a głównie Aleksander Waszkowski i Zygmunt Laskowski, zabrawszy znaczne sumy z kasy głównej Królestwa, oświadczyli, że temu składowi Rządu oddadzą owe pieniądze, w którym zasiadać będzie Karol Majewski.

Ostatecznie losy sum zabranych takimi poszły drogi, iż żaden skład Rządu z nich nie korzystał; ale, w pierwszej chwili, organizacya miejska, opierając się na milionach, uważała siebie za górującą nad całą sytuacją i ster spraw powstania oddała Karolowi Majewskiemu, który miał dobrać czterech członków dla utworzenia nowego składu Rządu, gdyż na mocy jakiejś tradycyi, wytworzonej przez praktykę uprzednich robót konspiracyjnych i pierwszych kół kierujących powstaniem, każdy z kompletów Rządu zbiorowego składał się z pięciu członków.

Karol Majewski wśród zastępów młodzieży, wywołującej ruch narodowy, posiadał zaufanie niezmierne, wziętość już kilkoletnią; w kołach konspiracyjnych, lub sprzyjających tylko ruchom przedpowstańczym, imię to brzmiało na szerokich kraju przestrzeniach. W chwili powstania liczył on już lat przeszło 30 (ur. 1830); wyróżniał się wielką i zimną rozwagą, niemałym taktem w postępowaniu, spokojem, który go nigdy nie zawodził. Może za lat dawnych widziano zapał w jego oku, może ogień bezbrzeżnych, młodzieńczych uniesień płonął wielkim płomieniem na jego czołe, lecz w epoce, o której mówimy górował w nim jedynie spokój, zimna rozwaga. Nie przywiązywał się zbyt mocno do sztandaru tego lub owego

chwile wielkiego kultu gen. Mierosławskiego<sup>1)</sup> później z tego się otrząsnęli; i gdy stali u steru, w lipcowych dniach powstania, usuwali się daleko od tego kultu, chociaż na generała Mierosławskiego nie zapatrywano się jeszcze z rzeczywistego punktu widzenia; jeszcze nie wiedziano powszechnie, iż postać to kochająca przedewszystkiem siebie, a więc przy swej niezmiernej popularności, szkodliwa dla kraju. To stawianie na pierwszym planie owego generała, jeżeli nie w czynie, w myśli swej przynajmniej, w pojęciach, zamiarach, stawianie przez odegrywających w okresie spisków niemałą rolę, rzuca na zawiązek wypadków dużo światła: w robotach przygotowawczych, w ich kierunku, w przyspieszeniu wybuchu uwydatnia się tu wpływ Mierosławskiego; wszędzie rozlega się jego głos, acz osoby nigdy i nigdzie nie widzimy.

Ster powstańczy, wytworzony przez Majewskiego w ostatnich dniach czerwca, patrzył, jak wiemy, na dzień największego rozwoju i stosunkowo największej pomyślności powstania, trwając prawie trzy miesiące. Powaga, znaczenie, ogólne uznanie Rządu nigdy tak wysoko nie stały jak w owych miesiącach.

Osobistości w jego składzie zmieniały się, chociaż niezbyt, (Majewski, Gołembowski i K... S... stale wytrwali na stanowisku, aż do ustąpienia całego składu) ale kierunek owego składu był jednaki. Kierunek ten miał głównie na celu zjednanie i zużytkowanie wszystkiego dla sprawy narodowej, bez względu na barwę polityczną jednostek. Od pierwszej chwili stanął na najszerszem stanowisku i niezaprzeczenie wielką energią, czynność rozwinął, wnet też uwydatnił się w jego działaniu kierunek jednoczenia i zużytkowania stronnictw; wrzęgano przeto do pracy, jeżeli dali się i chcieli wprzódz, ludzie najrozmaitszych odcieni, zarówno mierośławczycy, jak i biali; opozycyjne żywioły pociągano

---

<sup>1)</sup> Sklanianie się stanowcze ku Mierosławskiemu zasiadających w pierwszych Komitetach Centralnych i później w chwili wybuchu (a takimi byli: Józef Janowski i brat jego Władysław Janowski, który zginął pod Krzywosącem, w lutym 1863 r., wreszcie Oskar Awejde) wywołało mianowanie Mierosławskiego Dyktatorem przez Komitet Centralny. Dyktatura ta wszakże nie urzeczywistniła się: Mierosławski wcale nie myślał o narażaniu swej głowy na kulę moskiewską, lub stryczek.



Fr. Dobrowolski, Piotr Kobylański usuwają się, znikąd nie widząc poparcia; zewsząd zawady przed ich każdym krokiem **piętrzą się**; zaufanie od nich odbiega, raczej go nie posiadali **wcale** w poważniejszych kołach. Majewski wychodzi wówczas na widownię kierując powstaniem, prowadząc za sobą wspomnianych już dwóch członków Rządu. W pierwszych dniach po tym nowym przewrocie, który echem jakiejś dobrej otuchy odbił się w Warszawie, za wspólną zgodą wymienionych dwóch, powołuje Majewski dwóch nowych członków, wytwarza się komplet pięciu; w tem gronie przewodniczy głównie myśl, wola Majewskiego.

Nowopowołanymi wówczas członkami byli: Gołemberski Władysław i K.... S... Pierwszy z nich — to uzdolniony młody dziennikarz, a zarazem pedagog, człowiek zapału, pracy, ukształcenia, przekonań umiarkowanych, przechylający się przeważnie ku tak zwanym „białym“ i biorący niejaki udział przedtem w pracach tego stronnictwa; a że i inni wyżej wymienieni członkowie K. Majewski, J. Janowski i O. Awejda — podzielali też poglądy, więc główną cechą owego składu było umiarkowanie, rozwaga. Drugi z nowopowołanych to również literat, ale bardzo młody, młodszy latami od innych swych kolegów, znacznego zasobu zapału, umysł ukształcony, dusza pełna poezyi, skłaniający się ku wzorom przeszłości z dni wielkiej rewolucyi francuskiej, pragnący jej metodę działania na nasz grunt przeffancować, zwolennik generała Mierostawskiego nader gorliwy. Czas, stosunkowo niedługi ostudził w nim szowinistyczny kult generała; nastąpiło to jednak nieco później: wtedy gdy wstępował do Rządu wierzył jeszcze mocno w wojskowy geniusz tego wodza, który innych w bój wyprawiał a siebie chronił, od prochu i wszelkich niebezpieczeństw trzymał się zdala. Jeżeli jednak K. S. uważał owego generała za potęgę, której potrzeba usłać drogę do działania, to nigdy zwolennikiem mienić się nie mógł jego stronnictwa, posiadającego charakter w znacznej części anarchiczny. Wpatrując się pilniej w usposobienia, poglądy ówczesnych członków Rządu Nar., dostrzeżemy, iż oprócz Gołemberskiego i Majewskiego (choć co do ostatniego nie posiadamy wyczerpujących danych) inni trzej, tu wymienieni, posiadali w życiu swem

abdykował. Do obalenia zaraz po jego ukonstytuowaniu się przystępowała opozycja złożona z najbardziej anarchicznych żywiołów, mając wodza w smutnej pamięci Ignacym Chmieleńskim, punkt oparcia się w Krakowie, dokąd w razie niepowodzeń cofano się, jako do bezpiecznej przystani; sprzymierzeńców zaś zarówno wśród upadłego kompletu rządu, gdzie Dobrowolski rej wodził, jak i wśród różnych żywiołów młodych a energicznych stolicy, mniemających, iż czynią co może być najlepszego, gdy bruźdzą, spiskują przeciw sterowi powstania i wstrząsają ówczesnym sterem.

Pewnego rodzaju dobroduszość ówczesnych funkcyjnaruszów Rządu, daleka od wszelkich praktyk rewolucyjnych, spowodowała, iż dopięły celu machinacje, chociaż może nie tak prędko jak zamierzali i pragnęli owi zamachowicze. W lipcu już, grupa zamachowiczów i różnych warcholów, w znacznej części z Krakowa przez opozycjonistów sprowadzona, wpadła, z rozkazu Naczelnika miasta Warszawy, w ręce policji powstańczej, która naładowała nimi cały furgon kryty i przywozła ową budę do zwierzchnika swego Rząd powstańczy ówczesny dość był silny, by to gniazdo domowego niepokoju, wydając z lekkim sercem na niebezpieczeństwa całą podstawę walki, zgnieść, zdeptać i niezmogliwić ich knowania. Nic jednak stanowczego z nimi nie uczyniono. Oprócz podróży niedługiej, w tej budzie zamkniętej, innej przykrości nie doznali: kazał im Naczelnik powstańczy miasta opuścić Warszawę, co, zaiste, nie mogło mienić się dla nich nieszczęściem; opuszczając stolicę, usuwali się dalej od Moskali, z którymi zawsze starali się nie spotykać, gdyż z nimi żartów nie było. Wogóle opozycja wybitnie wyróżniała się ocalaniem swych osób: opierając się jako o szaniec niezdoyty, o zagranicę, wpadała ona dorywczym czambułem do stolicy i, przyłożywszy dłoń do tej lub innej miny, wstrząsającej istniejący ster powstańczy, uciekała znowu za kordon, gdzie była bezpieczną.

Podobnie się stało i za dni ujęcia zamachowiczów do owej budy przez pacholków Naczelnika miasta: uszli cało niebezpieczni pokoju burzyciele. Ówczesny Naczelnik miasta, Wacław Przybylski, bardziej niż inni dalekim był od wszystkiego, co trącić mogło nietylko uciskiem, ale nawet bodaj najblahszym naciskiem. Z natury usposobień pojednawczych,

też, jeśli wśród nich pewne jednostki na prawdę chciały pracować, a nie rozprawiać i w krytykę czynności, w narzekania i insynuacje jedynie bawić się.

Programat tego składu Rz. Nar, oprócz, jak wskazaliśmy, zużytkowania żywiołów szczerze uczciwych i prawdziwie polskich, zasadzał się również na staraniu się o rozwój powstania co najszerszy, na zdobywaniu środków co największych, na wejście w stosunki ze wszystkimi czynnikami za granicą, mogącymi przysparzać pewne korzyści toczącej się walce. A zatem, nawiązywano stosunki zarówno z rządami za granicą, jak i z przewodzcami kół rewolucyjnych na obczyźnie; dla nadania zaś większej jednolitości i spójni w działaniu wewnętrznem, przekształcono zarządy w zaborach pruskim i austriackim, w duchu większego zespolenia z władzą centralną, powstańczą, i wprowadzono do stałego zasiadania w Rządzie Narodowym sekretarzy Rusi i Litwy z głosem doradczym, aby w ten sposób i tym prowincjom nadać charakter jednolitego działania sfer rządzących.

Trzej przed chwilą wymienieni członkowie, stale zasiadający od końca czerwca do połowy września, stanowili główne jądro ludzi kierujących. J. Janowski bowiem pełnił czynności Sekretarza Stanu, stanowisko to więc było bardziej władzy wykonawczej niż kierującej, (acz Sekretarz Stanu miał głos jednaki z innymi członkami Rządu, przynajmniej tak było za dni kombinacji czerwcowej); Oskar Awejde zaś w sierpniu wyruszył do Wilna, na niebezpieczne stanowisko Komisarza nadzwyczajnego Litwy, i już go w sferach rządzących powstaniem odtąd nie widziano.

Ten szczupły komplet skłaniał Majewskiego, do szukania ludzi, którzy by powiększyli owo grono naczelnie kierujące. Traugutt był jednym z tych, których miano na widoku, jako postać wielce pożądaną dla ukompletowania Rządu, od chwili gdy ukazał się w Warszawie. — Po powrocie z owych zagranicznych inspekcji miał w nim — jak wiemy — zasiadać; okoliczności wszakże sprowadziły taki stan rzeczy, iż nie zastał on już owego składu najbardziej ustalonego, najroztropniej ze swych czynności wywiązującego się, najdłużej ze wszystkich kompletów zbiorowych funkcjonującego. Podminowano go podkopami opozycyi, obalono wreszcie, chociaż wszystkie zewnętrzne zachowano pozory dobrowolnie

stępowwały niektóre osobistości, których rozsyłano na różne zagrożone posterunki prac powstańczych, gdzie potrzebę uczuвано ludzi największego zaufania, a więc, jak widzieliśmy już, Awejde do Wilna podążył, Wład. Gołęmberski znacznie później do południowych województw Królestwa; miał go zastąpić Józef Grabowski, ale wyruszył do Paryża, gdzie miał być Komisarzem R. Nar. przy Organizatorze Generalnym; na jego miejsce powołano Mieczysława Chwaliboga, naczelnika cywiln. wojewódz. Krakowskiego, który wszedł do Rządu dopiero w pierwszej połowie września. Na miesiąc przedtem chciano mieć w Rządzie Włodzimierza Milowicza, którego Rząd sprowadził sobie z Galicyi, lecz on zaledwie dni kilka gościł w Warszawie, śnać nie czuł się na siłach stać tam w tak trudnych warunkach — wrócił przeto natychmiast do Galicyi i ani na polu walki, ani na żadnem innem polu służby narodowej już go odtąd nie widziano.

Uzupełnianie się coraz naglejszem stawało się, gdyż i K... S... miał zamiar opuścić ławę rządową, na której wytrwale z rzeczywistym dla podejmowanych prac pożytkiem, prawie trzy miesiące przebywał, łatwo jednak nie szło owo uzupełnianie się. Tak przeto mogło się stać, iż Karol Majewski jeno sam pozostanie w kole rządzącem, wraz z trzema Sekretarzami (Stanu, Litwy i Rusi), bo i Chwalibóg zdaje się też chciał się po parudniowej próbie wycofać. Oglądano się wciąż szukając kandydatów dla dokompletowania ławy rządowej, spotykano atoli trudności, bądź zawody. Były liczne projekty kandydatów, które to pomysły głównie w głowie Majewskiego powstawały: od pomysłu wszakże do urzeczywistnienia przestrzenie z wielu względów dziwnie były dalekie. Jedna tylko kandydatura była taka, na którą liczono z pewnością, i do której z otuchą zwracała się myśl: był to zapewniony udział w Rządzie Traugutta: lecz dni e tygodnie płynęły, a on nie wracał, i śnać nie posiadano bliższych wskazówek czy prędko wróci. Mówiono o wielu poważnych kandydaturach, których wszakże wcielania w czyn z trudnością dokonywano: bądź czasu, bądź możliwości nie było, i zanim dalekie mogły w dziedzinę rzeczywistości przejść, znalazł się projekt blizki. Opozycja znalazła się pod ręką — gotowa do objęcia nietylko jednej lub dwóch ław w Rządzie, lecz wszystkich, całej spuścizny Rządu i całej odpowiedzialności.

przez opozycję lżony jako wstecznik, reakcjonista i t. p., miękką dłońią kierował kilku wówczas wydziałami biur insurrekcyjnych (Sekretaryat Litwy, Wydział Prassy, Naczelnictwo miasta — to były instytucje powstańcze, którym jednocześnie jakiś czas przewodniczył) więc i z tej zawilosci wyszedł ścieżką dyplomatyczną. Nawet oszczędził burzycielom napomnień ojcowskich. Nazajutrz widziano jak ręce zacierał pocziwiec, opowiadając o owej budzie naładowanej warcholскими żywiołami i szczerze się ciesząc, że rzecz cała przeszła szczęśliwie, i nikt w tej przygodzie poszkodowanym nie został.

Łagodne to usposobienie graniczyło wreszcie ze słabością, rozzuchwalając i do nowych prób, wstrząśnień i zamachów zachęcając. Twierdzić można śmiało, iż raz należycie poskromieni zamachowicze, nie targnęliby się po raz drugi i wielokrotny, iż nie byłiby zachętą dla organizacji miejskiej do różnych wstrząśnień i minowań.

Tego rodzaju ciągnięcia pojedyncze i masalne, z Krakowa do Warszawy, różnego rodzaju i stopnia gotowych na wszystko zamachowiczów i ich pacholków, bezwiednie szeregujących się pod chorągwią opozycji, w których to ciągnięciach dostrzedz można było zawsze dłoń Ign. Chmielińskiego, powtarzały się, zanim przyszło do zamachu nowego na innem polu, na polu rokowań z Rządem. Wstrzymano snąć w obozie opozycji knującą dłoń Chmielińskiego, która mogłaby ukuć krwawy nawet przewrót; lecz niemniej na drodze spokojnych, cichych, że tak rzeke, przyjaznych, minowań dążono do celu. Ścieżki takie zwykle nie zawodzą... Nie zawiodły i tym razem.

---

Zaszyły wkrótce okoliczności pomocne bardzo tajemnym aspiracyom opozycji. Rząd sam osłabił siebie, udzielając swym członkom różnych misyj; dekompletował się, a uzupełnienie trudnem było. Wytwarzały się w ten sposób niejako szczeliny, niczem niezapełnione, przez które mogły się do nawy, wciąż zagrożonej, wciskać fale opozycji i dzień zupełnego zatonięcia zbliżał się z dziwną szybkością, acz nie dostrzegając tego podobno załoga statku. Z Rządu Nar. wy-

widział, iż się zbiera na horyzoncie wielka nawałnica nowych nieszczęść, niedość iż wprowadzająca powstanie w okres ostatecznego upadku, ale budząca obawy, że kraj skazany na ostateczną zagładę. System moskiewski zmieniał się, wchodził w fazę przed nikim i niczem niecofających się okrucieństw. Dnia 8. września, w trzydziestą drugą rocznicę zajęcia Warszawy przez Moskali, właśnie w chwili gdy podminowywały dłonie ziomków Rząd Nar., w imię zasad ultrarewolucyjnych, mających doraźnie kraj zbawić, widziano w przedpołudniowych godzinach powóz w. ks. Konstantego, z jego rodziną, przebiegający Miodową ulicę. Opuścił w. ks. Konstanty Warszawę nazawsze. Nadzieje, że nasze prawa narodowe będą uznawane — zniknęły z nim razem.

Było to hasło zmiany systemu wroga: postanowiono już wtedy w Petersburgu nieodwołalnie w żadne paktowania nie wchodzić; wydać na łup zniszczenia Kongresówkę, jak już Litwa pod pięścią Murawiewa była zmiażdżona.

Majewski, wobec tej zmiany sytuacji, nie czuł się snąc na siłach do dłuższego stania u steru; siły jego moralne, jak przyszłość miała wskazać, wcale wielkimi nie były. Stawił czas krótki opór bijącej o ster fali malkontentów i opozycjonistów różnego miana, wreszcie nagle opór słabnąć zaczął. Jako ostatni środek ocalenia sytuacji, Majewski, wedle obyczaju swego — gdyż lubił sprzeczne kierunki jednoczyć — odwołał się do środków pojednawczych; postanowił wezwać do Rządu kogoś zestosunkowanego z opozycją (a przynajmniej z jej najwybitniejszym przedstawicielem Fr. Dobrowolskim), chociaż stojącego zdala od opozycji i nauką swą i przeszłością wielce wśród jej członków wyróżniającego się. Wezwano przeto wspomnianego przed chwilą St. Ł., by wszedł na opróżnione ławy rządowe i w drodze polubownej porozumiał się z poważniejszymi członkami opozycji. — St.. Ł. przyjął mandat na członka Rządu, podjął się misji polubownego konferowania z opozycją; daleko jej szukać nie potrzebował — była ona tuż obok Rządu, w umyśle najcelniejszego z funkcjonaryuszów swych — Dyrektora spr. wewnętrznych, sam Ł. może tajemnie jej sprzyjał, poszedłszy bowiem na rzeczoną konferencję, którą prawdopodobnie z jednym tylko Dobrowolskim odbywał, w ręce owych malkontentów złożył swą władzę, a przynajmniej za-

Roboty jawne opozycji od czerwca paraliżowane były, również przez Dyrektora wydziału policyj, Adolfa Pieńkowskiego, człowieka o jasnym umyśle i czujnym oku, jak i dzięki energii jednego z jego podwładnych, inspektora policyj w Warszawie, Jana Karłowicza, nazywanego Jankiem Białym, a niemniej dzięki czuwaniu Wacława Przybylskiego, na stanowisku Naczelnika miasta: wobec ich pilnej straży, wóz knował opozycji włókł się chyłkiem, a z zółwią szybkością. Uwięzienie chwilowe jakichciś śmiałków — o czem wyżej wspominaliśmy, — którzy dążyć chcieli do obalenia Rządu bodaj zbrojną dłońią, niemniej ostudziło część znaczną zapału w szeregach opozycji. Ale natomiast przybyły do Warszawy i rozpoczęły swe działania tajemne osobistości poważniejsze z owego obozu. Przedewszystkiem przybył znany nam już członek dawnego składu Rządu — Franciszek Dobrowolski, który w Warszawie spotkał dawnych swych współtowarzyszy z majowej kombinacji steru rządzącego. Za nim ciągnął człowiek zacny, charakter wzniosły, poświęcenia niezmiernego, jak cała patryotyczna rodzina Frankowskich, ale pełen dobrej wiary, że potrzeba stać wciąż w obozie narzekających i mocno krytykujących kierunek robót powstańczych, Stanisław Frankowski, i wreszcie szereg osobistości takich, jak Ignacy Chmieliński i tego ostatniego nieliczni, wszakże mocno krzykliwi zwolennicy.

Wśród zmian, jakie na ławie rządowej zachodziły, w pierwszych dniach września, widziano, iż powołany na Dyrektora wydziału spraw wewnętrznych, po Rafale Krajewskim, który ustąpił, S... Ł... prawnik wysokiego wykształcenia, należący do koła bliższych stosunków Fr. Dobrowolskiego, podał się do dymisji, a opróżnione po nim miejsce zajął tenże Franciszek Dobrowolski, jeden z bardzo niewielu, którzy w łonie opozycji reprezentowali żywioł poważniejszy. Nie była to ława w kole rządzącem, ale, otrzymując rzeczoną tekę, stawało się temsamem o krok tylko od niej: opozycja przez szczeliny wpływać zaczęła do nawy rządzącej.

Fr. Dobrowolski w ciągu dni niewielu tak rzeczy poprowadził, iż Majewski prawie odosobniony pozostał; nie posiadał narazie ludzi chcących z nim w Rządzie dzielić władzę, lub ich nie pragnął szukać, co zdaje się prawdopodobniejsze. Niepodobna by praktyczny Majewskiego umysł nie

owych sfer wyższych organizacyi wiadomość o przejściu władzy do rąk kół o kierunkach krańcowych — odpowiedziano niechęcią głosem. Wydziały wprost odmówiły posłuszeństwa. Wydział wojny szczególnie nie chciał wcale słyszeć o tym nowym składzie rządzącym; gdy zaś przypomnimy, że nici całej walki miał ów wydział w swej dłoni, że wszyscy dowódcy bezpośrednio od niego zależeli i swe instrukcye otrzymywali, to stanie nam przed oczyma cała trudność położenia wrześniowego Rządu. Stał on u steru, nawa wszakże prysnęła mu pod stopami. Miał w ręku rudel, nie posiadał okrętu. Z prowincyi, z województw Kongresówki, dochodzić zaczęły wieści alarmujące, wypowiadające posłuszeństwo nowemu Rządowi; co zaś do dalszych prowincyj — Rusi i Litwy — to te wielkie składowe części Polski walczącej najzupełniej można było w danej chwili uważać za odpadłe od zależności od wrześniowego Rządu. Tak zwani Sekretarze rzeczonych prowincyj, jedyne ogniwa łączące wydziały prowincjonalne z władzą najwyższą, stanęli na uboczu, nie mieli z nową władzą najmniejszej styczności, a zatem wszelkie nici stosunku zostały stargane.

Ścisłość kable zaznaczyć o znacznej różnicy zapatrywań się obu Sekretarzy, Litwy i Rusi, na ich stanowiska ówczesne i pozycyę prawną. Pierwszy, abdykowałszy wraz z Rządem, mniemał się być zwolnionym najzupełniej od wszelkich swych obowiązków — słowem, przestał być Sekretarzem Litwy, gdy tymczasem Sekretarz Rusi, patrząc z niezmiernem ubolewaniem na przewrót wrześniowy, nie uważał siebie za zwolnionego od obowiązków: nie otrzymał ich od rządu centralnego i przewroty w łonie rządu nie mogły go usunąć z zajmowanego stanowiska, nie mogły odebrać danego mu mandatu od organizacyi tej dalekiej prowincyi. On na nią wciąż oglądał się, i, przez nią postawiony na trudnem, nader odpowiedzialnem stanowisku, od niej tylko zwolnienie, zdjęcie z posterunku mógł otrzymać. Na samą zaś abdykacyę Rządu czerwcowego zapatrywał się jako na rzucenie na bruk władzy, którą pierwsi lepsi podnosili; odwołał się więc do swej prowincjonalnej władzy — co czynić? a sam wstrzymał się od wszelkiego stosunku z Rządem wrześniowym, ani na jedne z jego posiedzeń nie poszedł, przez cały, przeszło trzytygodniowy czas jego istnienia.



pewnił ich, acz ku temu mandatu nie posiadał, że i reszta członków Rządu pójdzie za jego przykładem. I rzeczywiście, po pewnem wahaniu się, Karol Majewski zgodził się na to; z zastrzeżeniem jednak, że nie w inne ręce, tylko Fr. Dobrowolskiego, władza ma być złożona, jego bowiem tylko z całego obozu opozycjonistów uważano za człowieka najodpowiedniejszego do oddania mu steru. Obalenie czerwonego Rządu odbyło się zatem na pozór drogą polubownego układu, lubo w istocie zamach to był, acz ubrany w formy dobrowolnej abdykacji.

16. września, ku wieczorowi, zebrani na posiedzeniu Rządu Nar., w owym dniu na ul. Niecałej obradującego, zebrani wszyscy, acz już bardzo nieliczni, członkowie, wraz z Sekretarzami Litwy i Rusi, wysłuchali Majewskiego krótkiej przemowy. w której oświadczył, że cały skład Rządu władzę swą oddaje w ręce Franc. Dobrowolskiego. Spisano rezygnację na piśmie, który to akt zaopatrzone w pieczęcie Rządu Nar. i pieczęcie Sekretarzy Litwy i Rusi. Obecny na posiedzeniu Fr. Dobrowolski, z twarzą poważną, nader zimną, ubrany w surdut ciemno granatowy, na wszystkie guziki szczelnie zapięty, co nadawało jego osobie i wyglądowi coś więcej jeszcze sztywnego, otrzymał pieczęć Rządu Narod., jako symbol władzy, i nim ostatnie promienie jesienno słońca oświeciły elegancki salonik, w którym posiedzenie odbywało się, i zagasły nad murami miasta, opozycya, wsparta szeregiem różnych burzliwych żywiołów, świeciła swój tryumf, dzierżyła władzę, do której osiągnięcia zużyła niezliczoną ilość usiłowań.

Dzień następny stał się dniem paniki niezmiernej wśród wyższych sfer organizacji powstańczej, a nawet i organizacji miejskiej. Ze zdumieniem dowiedziano się, lecz i z trwogą niemałą zarazem, o abdykacji Rządu na rzecz tak zwanych czerwonych. Imię Chmielińskiego nie tylko iż nie budziło żadnego zaufania, lecz wywoływało wstręt, inne imiona ludzi z obozu opozycji nie cieszyły się też sympatya, a tu tymczasem wszystkie te postacie miały zasiąść u steru władzy. Władza wprawdzie tajemnicą była okryta, imiona jednak ją piastujących z konieczności znanymi być musiały szerszym kołom osób zasiadających w wydziałach, poczęści i w organizacjach miejskiej. Otóż, skoro nazajutrz rozbiegła się wśród

skład. Stanąwszy u szczytu swych pragnień, nieznalazłszy u wielu posłuchu, a nigdzie prawie nieodzownego poparcia, zobaczyli jego członkowie, że i niebezpieczeństwa w owym czasie ze strony Moskwy nietylko są wielkie, ale wzmagają się, licząc wzrost grozy nie na tygodnie, lecz na godziny; że kto na owym szczycie staje powinien nie ambicję, ale poświęcenie z sobą przynieść, zaczęli przeto umykać za granicę. Pierwszym, który już ku końcowi września umknął — był Ignacy Chmieliński; po nim wyruszył Stan. Frankowski, któremu dano jakieś za granicą polecenia, Chmieliński wprowadził na miejsce swe Adama Asnyka i Józefa Narzymskiego — wówczas młodych bardzo, później zaszczytnie na polu literatury znanych. Wyjazd Chmielińskiego za granicę połączony był z niemałą szkodą dla dalszego prowadzenia powstania i dla powagi Rządu, bezzaprzeczenia wówczas mocno zachwianej. Uwiózł Ig. Chmieliński z sobą do Galicyi pewną ilość opatrzonych już pieczęcią Rządu blankietów, na których później pisał wszystko to, co mu podyktował jego niczem niepowściągniony animusz i dorzucał temsamem nowy chaos do wytworzonego już zamętu z powodu przewrotu wrześniowego. Tak więc do dezorganizacyi, którą Rząd wrześniowy w Warszawie wytworzył, dodano dezorganizację w Galicyi, a części i w Poznańskim. Ufność ku Rządowi Narodowemu poraz pierwszy zachwiała się wtedy, i to zbyt mocno.

Terroryzm Moskali, właśnie w owe dni, wzrastał ogromnie w Warszawie i na prowincyi; liczne egzekucye przeszły ze stoków cytadeli do środka miasta, wbijano pale na placach stolicy i u tych pali wśród miasta tracono. Coraz bardziej ponure obrazy roztaczają się dokoła...

## ROZDZIAŁ VI.

Prawie dwa miesiące trwała zagranicą podróż inspecyjna Traugutta. Zwiedził on nietylko to wszystko, co było jakąś instytucją powstańczą, jakąś agencją wojskową, powstanie wspierającą, do czego powoływał go obowiązek z jego misyi, z tytułu Komisarza Nadzwyczajnego Wojskowego, który mu przysługiwał, wypływający, ale niemniej miał możność przypatrzeć się ludziom i rzeczom niezwiązanym

Wszystkie żywioty, które wyszły z kół przed wybuchem grupujących się niegdyś pod Jurgensa sztandarem, a były to żywioty ukształcone, pełne poświęcenia, żywioty rozważne, nader pożyteczne później na różnych stanowiskach organizacyi — jak Rafał Krajewski, Henryk Wohl, Roman Żuliński — usunęli się od prac i stanowisk swych.

Wrześniowy przewrót stał się więc zupełnym paraliżem władzy centralnej, który przez samego pacyenta musiał być uznany za nieuleczalny. Rząd wrześniowy, ukazując się na widowni wypadków, przynosił z sobą śmierci zarody.

Masalnie, całą ciżbą opozycya zwykle występowała do boju domowego, gdy chodziło o brużdzenie i zamachy, tłumnie też święciła tryumf, tłumnie zasiadała ławy rządowe, skoro doszła do władzy. Nie widzimy tu doboru ludzi, ale wszyscy, jak ku władzy gromadnie dążyli, objęli tłumnie opróżnione miejsca u steru. Widziano tam: Fr. Dobrowolskiego, Stan. Frankowskiego, Ignacego Chmielińskiego, Kokońskiego i Józefa Piotrowskiego (który był zarazem naczelnikiem miasta), a Wojciech Biechoński pełnił obowiązki sekretarza owego składu, wszakże bez prawa głosu, które to prawo uprzednim Sekretarzom Stanu przysługiwało. Z wymienionych osób, o kilku wspominałem tu wyżej, z niewspomnianych imię Józefa Piotrowskiego godne zaznaczenia i pamięci chlubnej. Nie z szeregu zamachowiczów on wyszedł, wyszedł z zastępu krwawego trudu i, ujęty 8. października przez Moskali, w kilka tygodni później (21. listopada) na szubienicy żywot swój dał. Postać to czysta, wplątana snąc przypadkiem do zastępu krzykaczy i burzycieli<sup>1)</sup>.

Chociaż trzytygodniowym tylko był żywot Rządu wrześniowego niemniej z dziwną szybkością zmieniał on swój

<sup>1)</sup> Józef Piotrowski, rodem z Płocka (ur. 1839 r.) z inteligencyi miejscowej, ubogiej pochodził. Wyróżniał się hartem woli i poświęceniem wolnym od wszelkich przymieszek doktryn krańcowych. Dusza czysta, daleka od wszelkiej ambicyi, umysł niewysoko wykształcony, pełen skromności, dążący do urzeczywistnienia jednej idei z całą prostotą, zaparciem się zupełnem. W czasach przedpowstańczych widziano go w szeregach organizacyi ruchu; po wybuchu zaś sprawował urząd Komisarza województwa Augustowskiego, wciągu kilku miesięcy; wreszcie powierzono mu w Warszawie stanowisko pomocnika organizatora a Rząd wrześniowy mianował go naczelnikiem miasta w stolicy. Na tem stanowisku ujęty i stracony.

Ostatnim podróżą jego kresem na Zachodzie była rozumiem się stolica ówczesna Europy — Paryż, z kąd w owej epoce płynęły nadzieje dla ludów ujarzmionych. Chwila przydłuższa pobytu Traugutta w Paryżu jest dziś dla nas kartą z jego życia wydarta. Nie umiemy wskazać z czyich ust mianowicie padły tam nadziei pewnej słowa, nadziei rychłej pomocy dla Polski walczącej, pomocy Francyi i mocarstw z nią sprzymierzonych: w każdym zaś razie przynajmniej Francyi pomoc obiecaną mu była uroczyście, w sferach rządzących wtedy nietylko Francya, ale wpływających przeważnie na losy całej Europy.

Pospolicie w niektórych opracowaniach o powstaniu styczniowym — również polskich jak rosyjskich — Księżę Wład. Czartoryski wskazywany jako inicjator dyktatury tajemnej Traugutta. Legenda ta, zbyt długo trwająca, zbyt uporczywie powtarzana, najzupełniej mylna.

Traugutt, docierając do wszystkich źródeł podsycających, wspierających walkę powstańczą, nie zaniedbał i do Hotelu Lambert — rezydencji paryzkiej ks. Czartoryskich — zakochać. Zdaje się, iż Dr. Seweryn Gałęzowski wprowadził go tam, jak wogóle Seweryn Gałęzowski wraz z Ordęgą ułatwiał Trauguttowi zdobywanie stosunków w kołach naszej emigracji w Paryżu. Wówczas to poznał i księcia Wład. Czartoryskiego, co wszakże wcale nie było w związku z wkrótce mającą nastąpić jego tajemną dyktaturą. O swych zamiarach objęcia rządów powstańczych nie zwierzał się on wcale księciu, aczkolwiek parę razy z nim wówczas widział się, i z owych dorywczych widzeń się powstały zawiązki tego wysokiego szacunku, który żywił odtąd dla Księcia za jego prawdziwie obywatelskie zachowanie się na swem stanowisku. Uczucia owego szacunku wzrosć miały wprędce w piersi Traugutta za dni jego rządów, gdy nader ożywiona nastąpiła wymiana depesz między tajemnym dyktatorem a dyplomatycznym Agentem powstania w Paryżu i Londynie, jakim, jak wiadomo, był Ks. Wład. Czartoryski. I ta korespondencja z Księciem niejedną pociechę, pokrzepienie przyniosła Trauguttowi, za dni dla niego tak znojem krwawym złanych, jak dni jego dyktatury.

Nie hotel Lambert był wówczas opoką, na której Traugutt budował wielkie nadzieje ziszczenia naszych pragnień.

ściśle z ówczesnymi sprawami wojskowymi. Starał się o możliwość tę pilnie; niczego nie zaniechał, co by mu to ułatwiało, z każdej chwili korzystać nie zaniedbywał; obyczajem jego było zużytkowanie każdej minuty dla dobra tej sprawy, której się poświęcił.

Przebiegł więc Galicyę, gdzie zapoznał się z ówczesnymi funkcjonarzami powstańczymi, gdzie miał możliwość zbliżyć się do wielu dowódców, chwilowo bawiących poza kordonem, i ocenić stosunek tej prowincyi do powstania: stosunek ten mienił on ujemnym; sąsiedztwo Galicyi nazywał rzeczą demoralizującą powstanie w Kongresówce. Dla czego tak sądził, będziemy mieli możliwość później wskazać.

Oprócz różnych funkcjonaryuszy, dowódców, komitetów galicyjskich spotykał za kordonem niemało i tych, co z litewskich powstań szukali tam schronienia; namawiał ich do powrotu do kraju, zachęcał by powracali do szeregów, by zwątpieniu nie poddawali się. Wśród litewskich powstańców spotkał Leliwę, z którym, jak wiemy, walczył w Pińszczyźnie; namawiał go również do powrotu, może więcej niż innych, cenił bowiem w nim zacność nieskazitelną, ową litewską prawość, na której, jak na opoce, można wiele budować; a przytem już i wówczas, kto wie, czy Traugutta nie nawiedzały przecucia, iż brak ludzi, gdy wstąpi na szerszą arenę działania, na każdym kroku ścigać go nieomieszka: pragnął ich przeto co największą liczbę około siebie zgrupować.

W czasach tak ruchliwych, jak ówczesne, dużo ludzi wybitnych poznać, było rzeczą łatwą: poznał też ich niemało w Galicyi, zatrzymując się czas nieco dłuższy w Krakowie i Lwowie. W ostatnim z miast tych, jadąc z Kongresówki, a więc w dniach kończących sierpień, kiedy represya wszystkiego co polskie w każdym zaborze wzmagała się, omal nie wpadł w ręce austriackiej policji, gorliwie szukającej śladu bliższych stosunków z powstaniem. Wobec zbliżającej się rewizyi do domu oznaczonego numerem 15, przy ulicy dziś nazywanej Długoszową, Traugutt szukał schronienia w ogrodzie. Dotąd istnieje drzewo, które było jego schronieniem, a tak skutecznem, iż go nie niepokojono.

mała ilość naszego żołnierza złe pojęcie o siłach powstania może dać, powiększyć zaś liczby nie mogłem, bo skłamałbym, a nigdy nie kłamię i fałszem brzydzę się. Po przerwie kilku sekund — odpowiedziałem z całą ścisłością jak rzeczy się miały“... Przez głębinę myśli księcia może przebiegły jakie wrażenia zdziwienia, lecz na twarzy spostrzedz się nie dały... Chwile tych audyencji są bardzo ważną kartą w dziejach działalności Traugutta, na nich bowiem oparła się jego późniejsza czynność za dni dyktatury: z rzeczy pod sklepieniem gabinetu w *Palais Royal* omówionych wysnuwał on pewność, która za ciężkich dni późniejszych nie miała dźwignia, otucha mu się stała. Na nieszczęście, oprócz przytoczonych tu szczegółów, innych nie posiadamy; dla sądu przyszłości, dla badaczy owych czasów chwile te pozostaną nazawsze kartą wydartą z działalności Traugutta. Ze śmiercią Seweryna Gałęzowskiego i Ordegi świadectwa wiarogodne a jedyne, mogące o owych chwilach rzec, bo oni torowali Trauguttowi drogę do *Palais Royal* i do rządu francuzkiego — zeszyły do krainy ciemności i zapomnienia.

Książę Władysław Czartoryski do tej chwili ciekawej, jak nam sam oświadczył, żadnych wskazówek nie posiada, ani w swej pamięci, ani w zabytkach archiwalnych; może przyszłość z innych stron nasunie możliwość zdobycia nowych źródeł pracownikom, którzy po nas nadejdą na niwę zgromadzenia materyałów i orzeczenia bezstronnego sądu o wypadkach. My poprzestać musimy na tem, co dzisiejsza chwila posiada, na naszej własnej pamięci, a dla przyszłości zostawiamy przestrożę, by bardzo oględnie na listę pewnych faktów wpisywano to, co nieznanne jutro jako pewne źródło przyniesie.

Znamieniem to przedniejszem owej epoki — brak wielki materyałów; na każdym prawie kroku widzimy, iż ludzie i wypadki okryci mgłą i nieprzebytymi mrokami, wśród których dziwnie trudno wynaieść ścieżkę wiodącą do prawdy, do trybunału sprawiedliwości.

---

Jeżeli należy szukać tej opoki w Paryżu, to z podwoi innego gmachu Traugutt ją wyniósł, z podwoi *Palais Royal*, z rezydencji księcia Napoleona Hieronima Bonapartego, synowca Napoleona III.

Podczas audyencji, jaką miał on u księcia Napoleona, zapewne padły słowa wielkiej zachęty i wielkiej nadziei dla nas; zachęty do wytrwania, do przetrwania zbrojnie przez zimę, której koniec miał być początkiem interwencji orężnej rządu francuzkiego. Czy oprócz audyencji w *Palais Royal* miał jeszcze inną audyencyę, w *Tuilleries* — nie wiemy: można jednak przypuszczać, iż najpoważniejsze i najuroczystsze zapewnienia czynione były Trauguttowi, i na nich to on oparł znaczną część swej pewności, jeżeli nie całą pewność zwycięstwa, pewność wreszcie, iż pomocna dłoń rządu francuzkiego wyciągnięta jest ku nam, że wkrótce ta dłoń zaciąży na głowach wrogów naszych.

Sprawa polska w owych pamiętnych latach zajmowała tak żywo umysły panujących, iż nietylko ci, którzy dawali słowa otuchy, i ją stwierdzali czynami, w podejmowaniu dyplomatycznej kampanii na naszą korzyść, ale i inni, jak n. p. Karol XV, ówczesny szwedzki król, pragnęli widzieć się i mówić z uczestnikami powstania naszego. Jeżeli Karol XV nie pogardzał sposobnością widzenia się z młodziutkim Feiksem Zienkowiczem — wyrzuconym na skandynawskie wybrzeża, wraz z całą upadłą wyprawą Demontowicza, dążącą z Londynu na Żmudź, tembardziej dla Napoleona III. błądą nie mogła się zdawać możność widzenia się i osobistego poinformowania się o powstaniu z ust tak poważnych, jakimi były Traugutta.

Audyencya w *Tuilleries* wskazana jest tu przez nas jako przypuszczenie, co zaś do widzenia się z ówczesnym ministrem spr. zagranicznych, p. Drouyn de Lhuys i z księciem Napoleonem, to opieramy ową wiadomość na własnych słowach Traugutta.

— „Książę śnać wybornie obeznany był z ruchami oddziału kobryńskiego, którym dowodziłem — mówił Traugutt piszącemu te wyrazy — cytował mi bowiem miejscowości potyczek, kierunek naszych marszów po błotach Pińskich, i wreszcie wprawił mnie w kłopot prawdziwy, rzuciwszy pytanie: jak licznym oddział mój był?... Cóż mu odrzec, pomyślałem;

dużo alarmu i groziły miastu zniszczeniem. Dotąd widziano, w ciągu ośmiu miesięcy, walkę w lasach i na polach jedynie, los boju tylko przerzucał niekiedy walkę do miast i wiosek, za dni rządów wrześnieowych, które wtedy rządami „czerwonych” nazywano, usiłowano zarzewie, jeśli nie walki, to zamachów, wprowadzić na ulice Warszawy. Zamach na generała Berga, namiestnika Królestwa, na ulicach Warszawy, palenie ratusza warszawskiego, to były dwa celniejsze wypadki, które w epoce kilkunastodniowych rządów „czerwonych” wstrząsnęły stolicą i wywołały represję wroga nie w jednym czynie przejawiającą się, ale długą, groźną. Zamach na Berga przygotowała policja powstańcza, jeszcze za dawnego składu rządzącego, bez wiedzy tego składu, który nie wiem czy pozwoliłby na urzeczywistnienie zamachu wśród miasta: ale ster „czerwonych” nie czynił temu tamy; owszem, jak każdy czyn alarmujący chętnie pochwałał.

Dzień przybycia Traugutta do Warszawy był dniem gdy ratusz gorzał palony z polecenia organów owego rządu „czerwonych,” który już na godziny liczył swe istnienie.

Opozycja, osiągnawszy swój cel, zdobywszy władzę, spostrzegła, że tylko poświęceniem może utrzymać się na stanowisku — zadanie było przytłumione: zaczęto się więc oglądać, ażali kto z dawnych, usuniętych z szeregów nie zastąpi ich w pracy, ażali na czyje barki nie można zrzucić tego co długo było celem zabiegów i knowań. Pierwszym, który umknął, był Ignacy Chmieliński, po nim inni kładli już w swej myśli nogę w strzemie, by pójść temiż ślady. Dla upozorowania wszakże tego wymykania się, odwołano się do ludzi dawniejszych, do tych których niedawno potępiano: prawdopodobnie miano na celu jakieś przekształcenie swego składu, czy też obawiano się, że wśród zastępów własnej chorągwi nie znajdą wystarczającej liczby prawdziwych pracowników. Widzimy więc, że Fr. Dobrowolski, postać we wrześnieowym składzie najpoważniejsza i najruchliwsza zarazem, (bo mecenas Kobyłański bardziej nadawał się do dysput powolnych, niż do wszelkich zajęć wymagających czynnych zabiegów) wprowadza na stanowisko przewodniczących w wydziałach spraw wewnętrznych i wojny Józefa Janowskiego i Józefa Gałgowskiego, gdyż uprzedni wielomiesięczny dyrektor wydziału wojny, Eugeniusz Kaczkowski,



Już wracając z Paryża spotkały Traugutta na gościńcu prowadzącym do kraju wieści o zmianie Rządu powstańczego w Warszawie. W Galicyi nietylko z głuchą wiadomością spotkał się, ale zobaczył na własne oczy następstwa owej zmiany, której nie spodziewał się, opuszczając w połowie sierpnia Warszawę. Następstwami były głównie objawy dezorganizacyi, które Ign. Chmieliński wywołał swemi rozporządzeniami, pisaniami na wywiezionych z Warszawy blankietach powstańczego Rządu.

Traugutt z przerażeniem spostrzegł już w Galicyi, iż coś dziwnie stanowczo popsuło się u steru powstańczego; jego prawa, szlachetna natura wzdrygała się na samą myśl jakichś knowań; dzieje uprzednich zamachów, walki drobnych ambicyi, które toczyły się poza kulisami władz powstańczych, nie były mu znanemi; nie wiedział w jaki sposób wytworzył się chaos, lecz następstwa chaosu boleśnie go raziły, i o tych objawach dezorganizacyi pisał do Rządu Nar., ostrzegając. Wprędce po piśmiennych przestrofach i sam przybył do Warszawy. Dążył do niej z misją, której ciężar sam włożył na swe barki, dążył ze spokojem, z wiarą w jutro, które, jak wówczas sądził, posiadało wszystkie warunki zwycięstwa. Do pewności tej nie mało pomagały zapewnienia z Paryża wywiezione.

Co ma czynić w Warszawie, jak przystąpić do rzeczy, by wstrząśnioną znacznie powagę Rządu Nar. ustalić, by równowagę wprowadzić w fermentujących żywiołach organizacyi miejskiej w myśli swej już był ułożył: sprzymierzeńców nie szukał, wiedział bowiem że wszystko co było najważniejszym, świadomem swych celów, co zaliczało się do żywiołów dodatnich, a temsamem usunęło się od Rządu wrześnieowego skupiać się zechce około niego. I, jak wnet zobaczymy, stało się wedle jego przypuszczeń. Przybył więc do Warszawy z planem gotowym, i, chociaż widział niemały ciężar zadania, wierzył w swe siły a przede wszystkim w Opatrzność, która mu pozwoli spełnić co zamierzał, tchnąć nowe życie, wprowadzić ład i moc tam, gdzie siły zniknęły, a chaos powstał na ruinach ładu.

Rząd wrześnieowy, nie wiemy, czy stosownie do swego programu, czy bez takowego, wprowadzał na porządek dzienny w stolicy zamachy gwałtowne, które wywoływały

z rzeczonych biur ład na nowo tam wprowadzić. przypa-  
dło na parę dni zaledwie przed przybyciem do Warszawy  
Traugutta.

Przybył on za pasportem kupca galicyjskiego, Michała  
Czarneckiego, i pierwsze dni kilka spędził w Saskim hotelu.

W pierwszych niemal godzinach po przybyciu, skomu-  
nikował się z tymi, którzy wchodzili do dawnego składu  
Rządu, a szczególnie z tymi, którzy na nim zrobili lepsze  
wrażenie, podczas jego pierwszej w Warszawie bytności.  
Nietracenie napróżno czasu, co mienić można jego zasada,  
sprawiło, iż to porozumienie się z ludźmi znanymi nastąpiło  
tak szybko, że już w dobę później lub półtora wszystkie  
osobistości bardziej czynne w organizacji, a znane mu, wi-  
działy się z nim, bądź były uwiadomione o jego przybyciu,  
z tym dodatkiem, iż przybył on w celu objęcia władzy  
i wyrwania steru z rąk tak zwanych „czerwonych.“

Owa wiadomość, a szczególnie jej druga część, wy-  
warła wrażenie dziwnie radosne. Żywioty dalekie od krań-  
cowych przekonań, i niestojące uprzednio wcale w szeregach  
opozycji, a obecnie od udziału w pracy stroniące, odetchnęły  
wolniejszą pierśią i postanowiły znowu do przerwanych prac  
wrócić, jeśli Traugutt swe zamiary urzeczywistni.

Urzeczywistnił on je prędzej niż się tego można było  
spodziewać. W parę dni po jego powrocie nadszedł dzień  
17. października i ów dzień stał się chwilą zamierzonego  
przez niego usunięcia Rządu wrześniowego.

Dobrowolski w owym Rządzie był, jak widzieliśmy,  
postacią z którą rachować się lubiono, czy też uważano za  
rzecz potrzebną; dla tego też, przy zmianie we wrześniu,  
Majewski z nim tylko konferował i w jego jedynie ręce wła-  
dzę złożył. Traugutt, nie wiemy, czy wchodził z nim w jakie  
rokowania lub nie. Prawdopodobnie rokowania nie miały  
miejsca, ale oświadczył mu z całą żołnierską stanowczością,  
że powziął zamiar usunąć to wszystko, co było rządem opo-  
zycji i ująć w swe ręce wyłącznie ster władzy. Opozycja  
— czyli Rząd wrześniowy — wciągu dni kilkunastu już się  
władzą dość nasyciła; nie starano się więc przy sterze utrzy-  
mać, a nawet czyniono, rzec można, ułatwienia, by wyjść  
z pozycji, do której zdobycia wdzierano się niedawno tak  
natarczywie. Dobrowolski wyjechał z miasta na dni parę,

(czyli Dembiński) długo się opierał wrześnieowemu Rządowi, nie chcąc go uznawać, jako uzurpatora wprowadzającego rozstrój, wreszcie podał się do dymisyi. „Czerwoni“ sprowadzili sobie kogoś z Krakowa, który tylko jedną dobę w Warszawie zabawił, i, wobec niebezpieczeństw, wrócił zagranicę. Wówczas to powołano Józ. Gałęzowskiego. J. Janowski znany nam, jako Sekretarz Stanu upadłego, czerwcowego składu, Józ. Gałęzowski zaś (rodem z Podola ros., synowiec dra Seweryna Gałęzowskiego) był już uprzednio długie miesiące referentem w wydz. wojny, oznajomiony wybornie ze stanem rzeczy w tej gałęzi pracy, i do stanowiska, na którym go postawiono bardzo się kwalifikował, ze względu na swą przeszłość w Petersburgu wojskowo-naukową. J. Janowski w pierwszej chwili na propozycję odparł, że nie przyjinie ponownego udziału w pracach pod sterem, gdzie zasiada Chmieliński. Zapewniono go, że Chmieliński już zagranicą, a Stan. Frankowski też Warszawę opuścił. W ten więc sposób, chociaż dwa wydziały zreorganizowano i osadzono ludźmi wdrożonymi do pracy, co było chwilowem polepszeniem stosunków, gdyż wszystkie wydziały wraz ze swymi sekretarzami i referentami, jak wspomnieliśmy w ogólnych wyrazach, odmówiły były posłuszeństwa Rządowi wrześnieowemu i jedynie na przedstawienia usilne dawnego składu, i gwoli dobru sprawy, zgodzili się pozostać na swych stanowiskach, acz niechętnie, i zastrzegając sobie swobodę dalszego postępowania. Wydział spraw zagranicznych można rzec, iż wtedy nie istniał; bo ten, kto był jego siłą główną, o Rządzie wrześnieowym nie chciał słyszeć; wydział skarbu również upadł, gdyż dyrektor wydz., Dyonizy Skarzyński, podał się do dymisyi. Dobrowolski przeto, niezbyt snąc kolegom swym ufając, w swej osobie skupiać się starał wszystkie teki: spraw wewn., zagranicznych i skarbu; a że wszystkiemu nie mógł podołać stagnacya zapanowała zupełna tam, gdzie niedawno praca wrzała. Wszystko robiło wrażenie tymczasowości. Wszędzie i zawsze tymczasowość, w zakresie każdej administracyi, jest zgubna, w zakresie zaś tego rodzaju prac, prowadzonych tajemnie, i pod grozą ciągłych niebezpieczeństw, tem zgubniejszą mienić się może.

Wejście Janowskiego i Gałęzowskiego do wydziałów spraw wewnętrznych i wojny i usiłowania, by wyrzucony

domowych, wzniecanych przez opozycję. Bolał sam mocno nad tym stanem rzeczy, pragnął więc innym tej boleści oszczędzić. Na Litwie miały się rzeczy nieco inaczej: częsta kolejowa z Wilnem komunikacya — acz z powodu zarządzeń Murawiewa mocno utrudniana — przyspieszała dochodzenie wieści dobrych i złych nad Niemem i Wilię; wiadano tam po części coś, ale nie wszystko, i pełen poświęcenia a idealnie usposobiony umysł Litwina niedawał wszystkiemu wiary<sup>1)</sup>.

---

Październikowa zmiana Rządu, wytwarzająca tajemną dyktaturę Traugutta, nie może się mienić ani zamachem, ani przewrotem, wpływającym z knowań spiskowych, było to jawne, przyjęte z oklaskiem przez wszystkich, rozpędzenie żywiołów, które długo bruździły a nikt nie ośmielił się stać im czoła i ich usunąć bodaj brutalnie. Dokonał tego mąż niepospolity, który prawdziwie opatrnościowo staje na zachwianym gruncie władzy, aby podnieść jej moc i urok — i gdy nie stało dla niej miejsca na ziemi, oddać ją czystą i ofiarną Bogu... Postannictwa tego podjąć się mocen on był jedynie, podjął się i spełnił je pobożemu, gdyż zaiste postać to wśród przedniejszych najprzedniejsza, wśród czystych górująca...

Data przybycia do Warszawy Traugutta jest 10. października, a dniem objęcia władzy, wedle wskazówek pamięci mojej, 17. października; inni naoczni świadkowie podają tę samą datę; zdaje się więc, iż co do dnia błędu tu niema. Chwilę usunięcia dawnego, t. j. „wrześniowego“ Rządu naoczny a wiarogodny świadek opisuje temi krótkimi słowy,

---

<sup>1)</sup> Jak srogimi na drogach i kolejach żelaznych na Litwie były zarządzenia Murawiewa, przez ile smutnych wrażeń przejeżdżało się, chcąc przebyć przestrzeń bodaj najkrótszą, dowodów dużo można przytoczyć. Zapisujemy tu tylko fakt, iż wysłany z poleceniami z Warszawy do wydziału Litwy, do Wilna, Leon Gł..., zanim przebył przestrzeń dzielącą Wilię od Wisły dostał pomieszania zmysłów. Wrócił do Warszawy, ale już sprawy zdać nie zdołał z tego co mu polecono: myśl jego splątała się na zawsze. Po dwudziestu latach jeszcze żył, ale rozum zatracony za dni wielkiej grozy już ani na chwilę nie dał znaku istnienia.

jakby dla uniknięcia widoku zmiany, która lada godzina miała nastąpić. Zaproponował on nawet Janowskiemu, by zajął stanowisko Sekretarza Stanu, gdyż Woj. Biechoński nie może sobie dać rady<sup>1)</sup>). Usuwali się więc wszyscy i z rąk swych wypuszczali władzę, niby w przeczuciu, że ona im wnet z rąk się wyslizgnie, a dążyli do szerszych obszarów, za kordon, gdzie większe znajdowano bezpieczeństwo.

Jeżeli śmiało twierdzić nie można, że Traugutt porozumiewał się z Dobrowolskim, to natomiast jesteśmy w zupełnej możności twierdzenia, iż odwołał się on do Józefa Janowskiego, do Sekretarza Litwy i Rusi, i do Józefa Gałęzowskiego, jako do ludzi którym ufał bezwarunkowo, w tajemnicząc ich w swe zamiary stanowczej zmiany, mającej się dokonać ręką twardą, acz nie zbrojną. Z pierwszym mówił i żądał jego czynnego poparcia; gdyż, zdając sobie wybornie sprawę z pozycji ówczesnej, widział w nim i nic do spraw wszystkich, i człowieka, który na stanowisku Sekretarza Stanu przez nikogo nie mógł być zastąpiony: oddawał mu już przeto z góry niejako to stanowisko w dyktaturze, którą miał wytworzyć. Józefa Gałęzowskiego cenił wielce i miał go z Paryża sobie poleconego przez jego stryjca, Seweryna Gałęzowskiego. Z innymi dwoma mówił w celu zapewnienia się, że prowincye Rusi i Litwy uznają jego władzę; o czem, rozumie się, powątpiewać nie można było. Prowincye rzezione, na szczęście dla nich, nie wiele wiedziały, lub tak jak nic, o przewrotach zakulisowych Rządu w Warszawie; ceniły one ideę rządu jednolitego dla całej Polski walczącej i, wystawione na najbrutalniejszy ucisk wroga, nie wystawiały sobie nawet wśród przypuszczeń pesymistycznych, że tego rodzaju walkę domową toczyć są zmuszeni w stolicy. Sekretarze prowincyj — jedyne łączniki Warszawy z wydziałami prowincyj — przeważnie z tych złudzeń ich nie wyprowadzali. Sekretarz Rusi szczególnie, sam mocno bolejąc nad stanem rzeczy, co przed okiem jego przesuwiał się, dalekim był nadzwyczaj od chęci komunikowania naczelnym władzom powstańczym swej prowincyi (pod tem mianem rozumiano Wołyń, Ukrainę i Podole) o przewrotach i burzach

<sup>1)</sup> Opieramy się w tym szczególe na rękopiśmiennej, niewydanej dotąd relacji Józefa Janowskiego.

Do przytoczonej tu relacji dodać możemy ze sprawozdania Fr. Dobrowolskiego, umieszczonego w jego bezimiennym artykule p. t. Dwie chwile z istnienia rządu narodowego...<sup>1)</sup>, tę jeszcze wzmiankę o pamiętnym owym dniu, którą autor, jako nieobecny na posiedzeniu i w mieście, spisał wedle czyjegós opowiadania. Zamieszczamy w naszych wspomnieniach i rzeczoną relację dla uzupełnienia obrazu... „Wszyscy zgodzili się bez najmniejszej opozycji... jeden tylko naczelnik miasta (a był nim Pełowski) odezwał się w te słowa: „Generale, pamiętaj, że bierzesz wielką odpowiedzialność przed krajem“... Asnyk był milczący a Kobyłański, Gałęzowski i Janowski wieszowali Trauguttowi jego postanowienia“...

Jeżeli przytoczona tu relacja wiernie odtwarzała wypadki owej chwili, to rzekome słowa naczelnika miasta świadczyłyby, iż ci ludzie ustępujący nawet instynktownie nie odczuwali wartości moralnej Traugutta — zwykłą miarą miarzyli ową postać, tak ich bardzo przerastającą.

Porównywając pierwszą z przytoczonych relacji z następną, pierwszej pierwszeństwo przyznać musimy, do czego, oprócz innych powodów, skłania nas i ten wzgląd przeważny, iż zgadza się ona z tem, co tegoż dnia słyszeliśmy od naczynych świadków. Traugutt, oprócz wskazanych już paru osobistości sobie oddanych, którzy byli na posiedzeniu, miał tam jeszcze parę innych, również szczerze mu oddanych z koła niegdyś Jurgensa. Od tych ostatnich więc mieliśmy wrażenia natychmiast nam zakomunikowane, które głosiły, iż przemówienie Traugutta długiem nie było, ale odznaczało się mocą niezwykłą, i ta moc, ta prawda, co nietylko z ust jego płynęła, ale z oblicza jaśniała, wywarły wrażenie stanowcze: odeszła opozycja niedawno tryumfująca bez protestu, odeszła w milczeniu. I już odtąd nie słyszymy jej głosu.

Prawda dziejowa gwałtownie domaga się od piszącego wspomnienia owych chwil, by zaznaczył, iż ci przedstawiciele opozycji, którzy „w milczeniu“ odeszli, mienić się mogą jedynie kozłami ofiarnymi swych bezpośrednich na ławie rządowej poprzedników, tej rzeczywistej opozycji, która psociła i do domowego boju podlegała.

---

<sup>1)</sup> Dziennik Poznański — rok 1868.

którymi tu posługujemy się: „...Dnia 17. października, około 10 godz. rano, zebrał się Rząd Nar. (wrześniowy) na posiedzenie w komplecie, oprócz Dobrowolskiego (o którym wiemy, jak wyżej tu już zaznaczono, iż wyjechał w przeddniu chwili stanowczej z miasta). Wpędce po rozpoczęciu posiedzenia przyszedł Traugutt... Byli zatem obecni: Józef Narzymski, Adam Asnyk, Piotr Kobylański, (rzeczywści członkowie owego „Rządu wrześniowego“) a oprócz nich Józef Gałęzowski, Józef Janowski“...

Tu przerywamy świadectwo wiarogodnego świadka, aby zaznaczyć, że ostatni dwaj obecni przybyli zapewne bardziej dla wspierania Traugutta, gdyby zachodziła tego potrzeba, niż z powodu swych obowiązków: nie wchodzili oni do Rządu „wrześniowego“, i zaledwie przed kilku dniami Gałęzowski wszedł do wydziału wojny, w charakterze dyrektora, a Janowski otrzymał godność Sekretarza Stanu przed doba dopiero i na to odebrał w dniu poprzednim, z rąk Wojciecha Biechońskiego, pieczęć rządu — symbol władzy najwyższej — by ją obecnie oddać Trauguttowi.

Dając znowu głos relacyi naocznego a wiarogodnego świadka, słyszymy w dalszym ciągu takie sprawozdanie: „...Traugutt, w krótkich, energicznych słowach wypowiedział („Rządowi wrześniowemu“) gorzką prawdę; wskazał im na jak wielkie niebezpieczeństwo narazili sprawę powstania, całą winę postępowania Chmielińskiego i Frankowskiego im bezwarunkowo przypisał, gdyż ci działali za ich zezwoleniem i w ich imieniu i krótko zakończył, że mogą rozporządzać swemi osobami zupełnie swobodnie.. lecz przestają w tej chwili być Rządem Narodow., a on sam ster tegoż Rządu Nar. obejmuje.... Pamiętam tę chwilę — kończy narator — jakbym ją wczoraj widział.. Nikt ani słowa więcej nie powiedział, tyle było stanowczości, siły, a przede wszystkim prawdy w całym przemówieniu Traugutta... Milcząco wszyscy się rozeszli — bez słowa protestu.. a może nawet z wewnętrznym w głębi duszy zadowoleniem, iż przyszedł ktoś, co dobrowolnie brał na siebie ciężar, i to ciężar wielki, i bardzo niebezpieczny“....<sup>1)</sup>.

1) Z rękopismu J. J. .o.

Żadnego koła rządzącego on nie zawiązał. Od pierwszej do ostatniej godziny swych rządów, w ciągu sześciu miesięcy, sam był wszystkim: był dyktatorem tajemnym, o dłoni więcej niż sprężystej, o dłoni żelaznej, o takiej dłoni jaka zawsze potrzebna dla polskich usposobień.

Dyrektorowie wydziałów zmieniali się, stosownie do okoliczności różnych, ale on wciąż, w ciągu owego ciężkiego półrocza rządów swych, był jeno sam, sam dźwigał na własnych barkach ciężar władzy i ciężar odpowiedzialności; z nikim troski niesienia brzemienia tego nie dzielił; współrządzących nie miał; obok niego ani też nad nim nikogo nie było. Ci, których później, z nim jednocześnie, Moskwa traciła, których nazwała Rządem Narodowym, żadnego rządu, ani pojedynczo, ani też razem, w żadnej z chwil powstania, nie tworzyli; żadnym rządem nie byli, acz zajmowali różne stanowiska, różnemi czasy, w organizacji powstańczej.

Nazwała ich tak moskiewska inkwizycya, dla pewnych swych celów, i w ten sposób wytworzyła się legenda, iż czterej zacni ludzie, straceni jednocześnie z Trauguttem, tworzyli Rząd Nar. i, rzecz dziwna, legenda, urodzoła w kancelaryach przewrotnej inkwizycyi rosyjskiej, tuła się do dzisiaj u nas jako fakt; tuła się w ciągu trzydziestu prawie lat i, dzięki nieznamości naszej dziejów onych dni, dzięki obojętności naszej, dzięki, zresztą, jakiejś próżności niektórych rodzin, ustaliła się i zakorzeniła niejako u nas. Czas i wielki już, by mgłą mylnej legendy rozwiały promienie prawdy... Prawda przedewszystkiem powinna być celem badań i znamieniem każdej dziejowej tradycyi...

## ROZDZIAŁ VII.

Wieczorem, w dniu pamiętnym objęcia władzy, krzątał się już Traugutt około spraw publicznych i odtąd ani na chwilę nie spoczął: powołał na stanowisko dyrektorów wydziałów ludzi oddanych sprawie narodowej a, o ile okoliczności ówczesne pozwolić mogły, poważnych. Czasy już zaczęły się wprawdzie znacznie cięższe, coraz mniej było ludzi uzdolnionych, przejętych zapałem, niż przed dwoma, trzema miesiącami, niemniej jednak odszukiwać on jeszcze mógł żywo



Jeśli mówimy, że opozycja już odtąd wcale głosu nie podnosiła, to ta cisza nie wypływała wcale z braku żywiołów ochoczych do bruzdzenia; ale okoliczności znacznie się zmieniły: bezwzględny terroryzm Moskwy z jednej strony odbierał wichrowatym umysłem chęć do wicherzenia, co łatwo można było głową przypłacić — trzymali się tedy zdala od niebezpieczeństw — a z drugiej strony sprężyste rządy Traugutta stanowiły tamę trudną do przebycia; wiedziano, że żadne zachcianki przewrotów nie będą płazem puszczone. Zdarzało się niekiedy, że skupiały się nanowo opozycyjne żywioły, ale trwało to krótko; czujne oko naczelnika miasta Warszawy, Aleksandra Waszkowskiego, zdołało wszędzie dojrzeć bodaj małe zadki domowych wicherzeń i je rozpraszać. Nie mogąc nic zdziałać w Warszawie, chwyтали się środków nowych niecenia zarzewia waśni i nieposłuszeństwa w obozach powstańczych, w styczniu 1864 r., kiedy żołnierz długim bojem wycieńczony, znojem i niewygodami a zimnem sterany, zdawało się, iż da ucho powolne zamachowiczom: stało się inaczej, oparł się pokusom rzekomych apostołów prawdziwej wolności. Oko Traugutta i tam czuwało, i do obozów biegły raz poraz odezwy budzące czujność dowódców i wstrzymujące zawsze jeszcze dość wcześnie wszelką katastrofę.

Lecz nie uprzedzajmy wypadków, a zwróćmy się raczej ku owej pamiętnej dobie objęcia rządów przez Traugutta. Wieczorem tegoż dnia już dyrekcye wydziałów były obsadzone, o ile możność pozwalała najlepiej. Przewodniczący w nowej tej kombinacji, która miała trwać najdłużej, ze wszystkich przedtem zawiązujących się, oświadczył dyrektorom wydziałów, że Rząd Nar. to on, że z nim tylko bezpośrednio komunikować się będą, że on, wreszcie, stosownie do własnego uznania, bądź zawiąże pewne koło rządzące, bądź nie, z ludzi mu wiadomych, w sposób jemu jedynie wiadomy, lecz i w takim razie całą odpowiedzialność wzięłby na siebie; wszystkie zaś najwyżej stojące czynniki od niego jedynie rozkazy brać, jemu być postusznymi być mają.

Rzecz tak postawiona w pierwszym dniu rządów Traugutta, nie była zmienioną aż do ostatniego dnia jego władzy i prac, który to dzień był już zarazem ostatnim dniem jego wolności (10. kwietnia 1864 r.).

siadali na posiedzeniach zbiorowego rządu, bo tych posiedzeń zbiorowych rządu i samego rządu, jak wskazaliśmy, wcale nie było. Traugutt, jako dyktator, porozumiewał się z każdym dyrektorem wydziału i z sekretarzami prowincyj oddzielnie, w pewnych wskazanych lokalach; u siebie zaś oprócz kilku osób zaufanych, o czym powiemy niżej, nikogo nie przyjmował<sup>1)</sup>.

Rząd „wrześniowy“ był pozbawiony, jak to już wyżej zaznaczono, wszelkiej pomocy sekretarzy prowincyj: usunęli się oni obaj; z tą wszakże różnicą, iż Wacław Przybylski miał się za zwolnionego zupełnie od obowiązków, podczas gdy sekretarz Rusi, M. D., za uwolnionego wcale się nie miał, ale nie uznając owych wrześniowych uzurpatorów, wstrzymał się od wszelkich z nimi stosunków. Z tego rodzaju stanu rzeczy wytworzyły się pozycje różne: rządcy wrześniowi zostawili sekretaryat Rusi jego losom, a na stanowisko sekretarza Litwy powołali lekarza Cezarego Morawskiego, osobistość nową, człowieka przedtem niebiorącego udziału w sprawach organizacji. Ten *homo novus* w organizacji był nie o wiele lepszej moralnej wartości, jak powołujący go do prac powstańczych — Ign. Chmieliński. Same zaś doraźne z ramienia rządu obsadzenie tej posady, nieporozumiewawszy się z wydziałem Litwy, mienić się powinno pogwałceniem praw prowincjonalnej autonomii Litwy; lecz rząd wrześniowy, szczególnie zaś Chmieliński, przed niczem się nie cofał, nie badając czy komu jakie prawa przysługują lub nie. O Morawskim jeszcze tu wkrótce słówko objaśniające dorzucimy.

Co się zaś tycze stanowiska naczelnika miasta, to zostawił je Traugutt na pewną chwilę w rękach Józefa Peplowskiego; później, prawie wnet, oddał Aleksandrowi Waszkowskiemu, który aż do końca trauguttowskich rządów, a więc do końca powstania, chlubnie wywiązywał się ze swego niewypowiedzianie trudnego, a najeżonego najwyższymi niebezpieczeństwami zadania. Dyktator zawsze z zupełnem

---

<sup>1)</sup> J. Janowski, na którego relację rękopiśmienną powoływaliśmy się, i która w wielu szczegółach bardzo jest cenną, myli się stanowczo, twierdząc, że dr. med. i prof. Szkoły Głównej, Dybek, kierował wydziałem spraw zagranicznych. Tego wcale nie było. O dra Dybka czynnościach, które stały poza zakresem spraw zagranicznych, później powiemy.

poważniejsze, lepsze, jeszcze ich nie zabrakło; nie zabrały wszystkiego więzienia, inkwizycye, nie zabrały liczne wynoszenia się z kraju, nie przynębiły wszystkiego terroryzm, panika, paraliżujące, obezwładniające ducha, i mniej, i więcej wybitnych ludzi. Garnęły się do Traugutta umysły wyższe, charaktery wznioslejsze. Poznano się na nim prędko, ufano mu: ułatwiało mu to poniekąd pracę; a ułatwień mocno potrzebował ten, co stanął do lemiesza dziwnie wyczerpujących robót w dniach stosunków zewsząd znacznie pogorszających się.

Na razie, w zupełnie odpowiedni sposób, wydziałów ster nie mógł być obsadzonym, wszakże już w pierwszym dniu rządów swych tajemnych dyktator znajduje takich ludzi, których w znacznej części nie potrzebuje zmieniać. Dyrektorów wydziałów praca zmniejsza się przy nim znacznie; on sam bowiem wciąż pracuje za wielu, niemal za wszystkich; pracuje od wczesnego poranku do późnego wieczoru, codziennie, bez wypoczynku, pracuje w różnych działach pracy organizacyjnej. Wszystkie prawie prace wydziału wojny i spraw zagranicznych, znaczna część wydziału spraw wewnętrznych, przez jego ręce przechodzą, chociaż w każdym z tych wydziałów posiada biegłych pracowników, uzdolnionych dyrektorów i referentów. Do każdej jednak rzeczy swą dłoń przykładą, każdej ważniejszej sprawie stara się pilnie spojrzeć w oczy: nic się bez niego nie załatwia — jest duszą każdej ważniejszej roboty, wchodzącej do zakresu działalności najwyższych władz powstańczych.

Dyrekcye wydziałów narazie rozdane były w sposób niejako prowizoryczny; wprędce bowiem, przypatrzwszy się bliżej pracom i ludziom, Traugutt wprowadził zmiany co do kierownictwa w niektórych wydziałach, w pierwszym jednak dniu jego rządów dyrektorami wydziałów byli: Józef Gałęzowski wydziału wojny, Rafał Krajewski wydz. spraw wewnętrznych, Józef Toczyński skarbu, Wacław Przybyłski wydz. prasy, X. X. spraw zagranicznych, (której to pracy przewodniczył on i za dni rządu czerwcowego, chwilowo tylko oddając kierunek wydziału Andrzej W...), Adolf Pieńkowski policji, Józef Janowski pozostał sekretarzem stanu, a dawni sekretarze Litwy i Rusi również pełnili swe funkcje jak uprzednio, z tą jedynie różnicą, iż za dni dyktatury nie za-

się dyktatorowi niezupełnie odpowiednim na stanowisku, jakie mu powierzał, dyrektora spraw wewnętrznych; zdaje się, że dopatrywał w nim nieco doktrynerstwa, przychylenie się ku jakimś teoryom, mogącym stać w sprzeczności z duchem bezwarunkowego posłuszeństwa, lub pogląd na nakazane czynności inaczej. Oddaje przeto wnet jego czynności człowiekowi wielce poważnemu i światłemu, księciu Y...; ale ten, zanim je objął, wraz z wielu innymi, których — acz ludzi nieskompromitowanych wobec władz najazdu — Moskwa w owych czasach masalnie zabierała i wywoziła, został ujęty i wywieziony na daleki Wschód. Dyrektorstwo księcia Y... nie wiemy czy miało parę dni istnienia, lecz dobrze pamiętamy, iż książe podziwiał przenikliwy umysł dyktatora, jego bezbrzeżną ołiarność z siebie dla dobra sprawy narodowej, jego charakter znamionujący męża rycerskiego i chrześcijańskiego zarazem. Po wywiezieniu ks. Y... sprawy wewnętrzne przeszły do rąk dra Dybka, pełnego uzdolnień profesora wydziału medycznego, w Szkole Głównej, w Warszawie, i pozostały w tych rękach aż do końca.

Dr. Włodzimierz Dybek, postać nader piękna, szlachetna, światła, jakże bardzo odbijała od osobistości różnych, nawpół zagadkowych, lub bardziej niż wątpliwych, które poza burzycielami wrześnieowymi na powierzchnię zdarzeń wypływali. Dr. Dybek, nie przypuszczamy, by miał dość czasu poza swą pracą naukową do oddawania się obowiązkom nowego rządu; dzielną mu pomocą był sam dyktator, który do wszystkiego dłoń niestrudzoną przykładał; ale niemała korzyść z obecności Dybka w organizacji spływała na Traugutta, który korzystał niekiedy z obcowania z tym człowiekiem pełnym wszechstronnej wiedzy, acz nie zwykł był jej ujawniać. Główne uzdolnienie dra Dybka było matematyczne. Pochodząc z poznańskiego, odbywał studia w Berlinie, gdzie, jako matematyk, zdobył doktorat; wypadki zaś 1848 roku, w których udział miał, zwichnęły jego matematyczną karierę; oddał się więc później medycynie, i na tem nowem polu również zdobywał laury, które z czasem zaprowadziły go miały na katedrę uniwersytecką medycyny.

X. X. który pełnił obowiązki dyrektora wydziału spraw zagranicznych, dalekim był stale od wydziału swego. Wpływało to ze stanowiska, na jakim XX. pragnał zostawać do

uznaniem patrzył na prace A1. Waszkowskiego, jako naczelnika miasta, który lepiej od innych rozumiał i spełnić umiał jego rozkazy, lepiej od wielu wcielał się w przewodnią myśl dyktatury...<sup>1)</sup>).

Sprawowanie dyktatury, praca nad rozwiązywaniem ciężkich zadań, wynikających z brzemienia, które na swe barki dyktator tajemny wziął, odrazu, omal nie od pierwszego dnia, weszło w karby porządku, systematyczności wojskowej, od której nie odstępowano aż do końca, bez względu na trudności, piętrzące się coraz bardziej, bez względu na przerzedzające się szeregi pracowników, na grunt z pod nóg usuwający się, niemal codziennie, opadający niżej i niżej. Zapadano w przestrzeń bezdenną, ale dyktator stał u steru, wciąż spokojny, wciąż jednak, bez wytchnienia, pracujący. Nic go nie trwożyło, nic nie osłabiało wiary w jutro, które umysł jego widział pomyślniejszem. Przetrwac, przetrwac bądź co bądź — to jego hasło... „Umieliście pracować w warunkach lepszych, przyzwyczajcie się do gorszych, ucicie się pracować i w najgorszych“ — mawiał on do tych których ciągle przeciwności przerażała zaczynały, wytrącały im z ręki oręż, a z serca wiarę w przyszłość.

Pragnął kierownictwo wydziałów powierzać ludziom, o ile możność pozwalając najświetlejszym, najpoważniejszym, najdoświadczeńszym. Rafał Krajewski, dusza idealnie bez skazy, umysł rozległy, skłonny do marzeń i poezji, wydawał

<sup>1)</sup> Aleksander Waszkowski, syn oficera b. wojsk polskich, odbywał studia uniwersyteckie w Petersburgu. W organizacji miejskiej, w Warszawie, zwracał na siebie uwagę energią i gotowością do hazardownych przedsięwzięć. Energia jego, przed niczem nie cofająca się, głównie uwidoczniła się gdy został naczelnikiem miasta Warszawy, za dni Traugutta dyktatury. Dyktator cenił go wysoce, i Waszk. był niemalą dźwignią jego rządów. Po ujęciu i zgonie Traugutta, Waszk. nie opuszcza stolicy; lecz wreszcie ujęty, i w rękach komisji śledczej, zarówno jak w pracach nieugięty, stracony został, d. 17. lutego 1865 r.

Ojciec Waszkowskiego, sędziwy starzec, acz do organizacji zupełnie nie należał, poszedł na wygnanie, do gub. Orenburskiej; snąc za to, że miał tak niepospolitego syna. Oddał starzec Bogu ducha znużonego, w drodze na wygnanie, w m. Czystopolu, w gub. kazańskiej, w r 1865.

ostatniego dnia dyktatury. W. Przybylski i M. D. wynaleźli mieszkanie i stosownymi warunkami zabezpieczyli je, o ile się dało.

Część pierwszego piętra domu starego, o jednym piątrze, oznaczonego Nr. 1., przy ul. Smolnej „dolnej,” w części miasta cichej, wówczas prawie zamiejskiej, wynajęta została na mieszkanie dyktatora. By zabezpieczyć się bardziej od wszelkich podejrzeń, postawiono, jako firmę wynajmującą, kobietę, która miała niby zamiar urządzić tam rodzaj *chambres garnies*; właściwie jednak o żadnych *chambres garnies* nie myślano. Wynajmującą była pani Helena z Majewskich Kirkorowa, żona Adama Honorego Kirkora, znanego redaktora Kuryera Wileńskiego i literata wileńskiego, kobieta lat średnich, z matką. p. Majewską, liczącą przeszło 60 lat i z małutkim synaczkim, Władysławem, zaledwie sześciolatnim. Dwie te kobiety, dziecko, kucharka, młoda mazurka, Maryanna Dąbrowska i ich lokator Traugutt, mieszkający za galicyjskim pasportem, pod imieniem Michała Czarneckiego, agenta handlowego—to jedyni mieszkańcy lokalu tego odosobnionego.

Dom samotny, na odludnej przecznicy, od ulicy nie posiadał wejścia; obok niego, i za nim, i przed nim nie było wcale domów. Patrzał on dużemi, ponuremi, podwójnemi tafłami swych okien na tylne dziedzińce jakichś fabryk na Solcu; dziedzińiec brukowany, czysty, lecz cichy, o bramie w parkanie, szczelnie pospolicie zamkniętej, strzeżony przez stróża kalekę, człowieka fizycznie złamanego, i jego żonę, tworzył jedyną drogę do domostwa. Wejście do mieszkania Kirkorowej znajdowało się przy końcu domostwa długiego u węgła, dokąd żadne oko nie sięgało, przyparte do muru sąsiedniej posesyi, składającej się z ogrodu bardzo obszernego, który raczej pustkowiem mienić się mógł, niż ogrodem: nikt doń nie zaglądał<sup>1)</sup>. W głębi dziedzińca stała oficynka i go-

<sup>1)</sup> Dom ten jest podobno obecnie szkołą weterynaryi; w czasach o których mówimy jedynym on był na Smolnej (dolnej) nlicy. Ciaszy zaułka żaden turkot wozu nie zakłócał a i przechodzień pieszy rzadko się zdarzał. Właścicielem był p. Aug. Wolkiewicz, pragnący przedewszystkiem spokoju, miejski obywatel zdala stojący od wszelkich głośniejszych wypadków świata. O powstaniu dowiadywał się chyba z *Gazety policyjnej*, świstka nędznego, w którym pilnie rozczytywał się, szukając nowych rozporządzeń władz moskiewskich; do spełniania ich, bowiem, jako właściciel domu, obowiązany był.

wydziału, na co zgodzić się należało, chcąc ową znakomitą siłę posiadać. Przyjął on bowiem swe stanowisko na takich jedynie warunkach, że oprócz dyktatora i osoby zaufanej, stojącej między nim a dyktatorem, nikogo ani znać, ani widzieć z organizacyi nie będzie, lubo znaczna część depesz i odezów ważniejszych, przeznaczonych dla zagranicy, z pod jego pióra wychodziła, i on w pracy około wydziału swego zawsze niezmordowanym mienić się mógł. Drobniejsze sprawy, instrukcye, korespondencye z rozmaitymi agentami Rz. Nar. stale redagował, przepisywał, rozsyłał sam dyktator. Jako oddzielne biuro zatem wydział spraw zagranicznych wcale w owej epoce nie istniał. Zaufaną osobą, pośredniczącą między dyktatorem a dyrektorem spraw zagran. wciąż był sekretarz Rusi, M. D., nawiązujący swą nieustanną czynnością nici stosunku między owymi pracownikami: osobiście zaś bardzo rzadko oni z sobą się widywali.

Doktora Dybka i XX. należy uważać za przedniejsze niejako filary Trauguttowskich rządów, nie ze względu wszakże na wpływ, jaki wywierali na dyktatora, wcale o wpływ oni nie ubiegali się: dyktatura Trauguttowska posiadała w swych czynnościach wszystkie znamiona samodzielnego kierunku, pochodzącego bezpośrednio z umysłu samego dyktatora, ale mienimy ich filarami, bo były to postacie niezwykłej miary, które w każdym rządzie, w każdym gabinecie pierwszorzędných mocarstw Europy zajmować mogły przodujące stanowisko.

. . . . .

Wynalezienie stosownego mieszkania dla Traugutta i urządzenie takowego w sposób zabezpieczający od czujnego oka władz najazdu, który z Warszawy ówczesnej wytworzył jedno obszerne więzienie, stała się troską dni pierwszych po objęciu władzy przez dyktatora, troską ludzi, którzy byli najbliższem jego prywatnem otoczeniem. M. D., sekretarz Rusi, Wacław Przybylski, sekretarz Litwy, i Józef Gałęzowski, dyr. wydz. wojny — to ludzie, którym Traugutt ufał najmocniej i którzy, w pierwszych chwilach jego zamieszkania w Warszawie, tworzyli jego najbliższe otoczenie. W kilka tygodni później opuszcza W. Przybylski kraj, Gałęzowski coraz więcej kryć się zniewolony, M. D... przeto jedynie tworzy domowe otoczenie dyktatora, od pierwszych dni do

lem Kirkorowej, przez tę izbę do pokoju dyktatora pospolicie wchodziło się: niekiedy jadalnią ona była. Wedle opisu Berga jakaś tam miała być umieszczona szafa olbrzymia, od mieszkania Kirkorowej oddzielająca, a zarazem, wedle fantastycznych pojęć rosyjskiego monografisty, odgrywająca pewną rolę w tajemniczych dziejach powstańczej organizacji. Wszystko atoli fałszem i fantazją tu jest pisarza rosyjskiego, którego często w błąd wprowadzali różni opowiadacze z szeregu bohaterów rosyjskiej policji, żandarmeryi, oficerowie gwardyi, zaciągający się wówczas do służby policyjnej, na ochotnika. Żadnej olbrzymiej szafy tam nie widziano, tembardziej takiej, któraby maskowała inne mieszkanie, i służyła za schronienie lub drogę do przechodzenia z lokalu do lokalu. Wogóle, po uwięzieniu Traugutta, chętnie Moskale rozprawiali o owem mieszkaniu, dziwiąc się, że zbyt skromnie wygląda, i wreszcie, że nie spotykali tam żadnych nadzwyczajności, przejść ukrytych, podziemnych, tajemnicami, w sposób cudowny odmykających się bram do wspaniałych pałaców, które, wedle naiwnych mniemań tej zgrai policyjno-żandarmsko-wojskowej, były rzeczywistym mieszkaniem dyktatora polskiego powstania. Rzeczywiste zaś mieszkanie, znalezione przy ulicy Smolnej — jak fantazja Moskali roita — maskowało jedynie wejście do prawdziwej siedziby, może podziemnej i zapewne podziemnej, lecz świecącej od wszystkiego co cenne i wyglądającej zupełnie tak jak zamek czarodziejski w bajkach piastunek.

Nie krążyły te bajki wśród gawiedzi rosyjskiej — nie. Słyszano je w sferach wyższych najazdu, w sferach prowadzących indagacye i sądzących więźniów, a tak dalece one tam się upowszechniły, iż wydały pewne owoce. Rozkazy wyszły z komisji śledczej, opierające się na tych bajkach, by ponownie zrobiono przetrząśnienie nieszczęsnego domu i, bądźco bądź, aby wynaleziono tajemne przejścia do pałaców wspaniałych dyktatora. Robiono parokrotne poszukiwania, omal w perzynę domu nie obrócono i, ku wielkiemu zdziwieniu naiwnych poszukiwaczy, pałacu nie znaleziono... Widocznie na ścieżki do niego wiodące nie wpadliśmy — mówili Moskale — i pozostali w tem złudzeniu, że Rząd Nar., który zdobył posłuch w całym kraju, zapewne posiada stosowną a wspaniałą siedzibę. W ich biednych głowach nie



spodarskie budynki. W oficynie, lokalik jedyny, składający się z trzech pokoiów, zajął sekretarz Rusi, M. D., by w ten sposób być tuż obok Traugutta, ale oddzielnie. Do oficynki z obcych także nikt prawie nie zaglądał, podobnie jak do mieszkania dyktatora. Gospodarz domu i jakaś miłująca spokój pani, w bliższym bramy skrzydle pierwszego piętra domu, rodzina Anglików, z kobiet zdaje się wyłącznie złożona, na parterze, coś wspólnego mająca z fabrykami na pobliskim Sółcu — uzupełniali niewielką liczbę mieszkańców tej posiadłości, dalekiej od gwaru miejskiego, jakby zapomnianej od miasta, ale co ważniejsze zapomnianej od rygorów ówczesnej polityki najazdu. Wogóle całe obejście czyniło wrażenie dziedzica klasztoru o regule surowej.

Do lokalu Kirkorowej wchodziło się przez schody zewnętrzne, u węgła domostwa, jak wskazano, umieszczone. Sienie szczupłe prowadziły na lewo do mieszkania wynajmującej lokal; na prawo do dyktatora, wprost również do niego, ale to był pokój środkowy, do którego z sieni wejście wciąż zamknięte widziano.

Wejdzmy na prawo. Pokój dość obszerny, zaciemniony w lęcie od zaglądających do jedyne go okna wielkich gałęzi drzew, zimą zaś brak większej światła ilości czynił go ponurym — tworzył on rodzaj przedpokoju, oprócz dyktatora nikt nie przekraczał jego progu, nikt tem wejściem do niego nie wchodził, jedynie on sam; jak w ogóle, wprost, bezpośrednio, nikt do niego wstępu nie miał: jedynie przez mieszkanie Kirkorowej wchodziły do Traugutta te nieliczne, które z nim widywać się mogły osoby. Przekraczamy szybko pierwszą izbę nieco zaciemnioną, w drugiej, jasnej, znacznie weselszej, widzimy skromne umeblowanie, złożone z komody, kilku krzeseł, obitych ciemną wełnianą materyą, niewielkiego biurka pod jednym z dwóch okien i kanapy między oknami. Wprost kanapy łóżko, u którego dyktator dwakroć dziennie, rano i wieczorem, klęcząc, modlił się..

Pokój ten, jak widzimy, wszystkim mienić się mógł, i rzeczywiście wszystkim był: sypialnym, pracownią, salonem. W tym pokoju wyłącznie spędzał dnie i noce Traugutt w ciągu sześciu miesięcy; spędzał przeważnie samotnie, a bardzo pracowicie. Następny pokój do niego należał, ale w nim on nigdy nie przebywał, to izba łącząca jego lokal z loka-

swego lokatora domyślała się ta inteligentna, i sprytem niepospolitym obdarzona kobieta, to chyba już znacznie później, w ostatnich tygodniach jego i swej zarazem wolności; w każdym jednak razie owo domyślanie się bardzo ogólnikowem być musiało. Wiedziała p. Kirkorowa, że postawiono ją na straży czegoś dla powstania nader ważnego — to w bardzo ogólnych wyrazach zakomunikował jej Wac. Przybylski, wówczas gdy lokal dla Traugutta wynajmował — ale o co mianowicie chodziło, nie wiedziała w szczegółach. Pilnowała jednak owego „Pana Michała“, strzegła gorliwie jak oka w głowie, zabezpieczała jego spokój, i chroniła od wszystkich, by najmniejszych niebezpieczeństw... A gdy wybiła godzina jego więzienia, kiedy i ona uwięziona została, i sędziwa, siódmy dziesiątek lat kończąca jej matka i sześciolatekni synek również stanęli wobec moskiewskiej kaźni, kiedy za nimi wszystkimi podwoje ciężkiego więzienia indagacyjnego zamknięto — Kirkorowa stawiała z męstwem prawdziwie kraj swój kochającej Polki, by od wiadomości Moskali wszystko ocalić, co najwięcej ocalić...

Pospolicie była ona wszystkim, gdy chodziło o tę lub ową domową posługę w mieszkaniu dyktatora. Prace domowe dzieliła ze swą sędziwą matką, i oprócz niej do pokoju „pana Michała“, nikt nie miał wstępu. Służącej, acz poczciwej i wiernej, wstęp zupełnie prawie był wzbroniony. Kirkorowa więc, gdy modlitwy poranne dyktatora ukończone zostały, wchodziła do niego z kawą. Witał ją dość lakonicznie, nie była to jego chwila rozmowy. Spiesznie spożywał przyniesioną kawę i gorączkowo zasiadał do pracy. Każda noc szczęśliwie przebyta, bez wpadnięcia w ręce moskiewskie, za cud wówczas się uważała. Życie każdego było pod grozą niebezpieczeństwa nieustannego; tak przeto i Traugutt, widząc że poranek nie wita go w ciemnicy, w przedsiönku grobu, korzystał z dnia jeszcze jednego, którego mu Opatrzność udziela by służyć ojczyźnie, ze zwiększonym przeto zapałem do pracy się rzucał..

Przy pracy, około małego, ubożuchnego biurka spędzał cały czas przedpołudniowy. Przykuty niejako do biurka nie opuszczał go aż około drugiej godziny po południu, która obiadową była godziną. Obiad odbywał się, bądź w owej izbie środkowej, bądź w mieszkaniu Kirkorowej,

mogła powstać myśl, że ta władza, uznaniem całej Polski otoczona, jest aktem poświęcenia, jest ofiarą z życia własnego.

Nie rozumiano tego, i, uporczywie swych pojęć trzymając się, wierzone w niedorzeczne przypuszczenia, a nawet generał rosyjski Lebediew, wizytator więzień przestępców stanu, odgrywający rolę anioła opiekuńczego Polski i walczących za nią, człowiek o formach towarzyskich nader wykwintnych, typ wyborny moskiewskiej przewrotności, udawał się do cel więziennych Traugutta i M. D., zapytując o ów pałac Rządu Nar., dodając wszakże, iż on w wiarogodność pogłosek nie wierzy...

Jak skromnem było mieszkanie dyktatora, tak skromne warunki życia, tak twardym i surowym sposób spędzania czasu. Czas pracą wyłącznie zapełniał; praca żmudna, zdaje się, że dodawała mu sił do przetrwania tego ciężkiego półrocza.

.....  
 Porządek dnia Traugutta był tego rodzaju.

Modlitwa dłuższa lub krótsza, a zawsze korna, odbywana klęcząc, dzień zaczynała. Leżąca przy łóżku książka do nabożeństwa widocznie w częstem bywała użyciu, gdyż stopniowo kartki jej wyszarżaną przybierały postać. Niekiedy wpadający do niego wczesną godziną M. D., najbliższy domownik i jedyny gość, który o różnych chwilach doby nawiedzał, zastawał go przy modlitwie. Czekał więc cierpliwie wertując jaką książkę, lub przyniesiony z sobą referat z tego lub owego działu prac, przygotowany i dany mu wieczorem do odrobienia, który opracowawszy w ciągu nocy, teraz przynosił. Przedłużało się czasem zbyt długo to oczekiwanie, i zbliżała się godzina wykładów szkolnych, na które musiał spieszyć M. D., wykładający w jednej ze szkół publicznych ówczesnej Warszawy; w cichości więc książkę zamykał i na palcach ustępował z pokoju, w następnej zaś izbie, spotkawszy p. Kirkorową, szeptał jej, o której godzinie wróci z wykładów, i znowu stawić się będzie mógł u „pana Michała“ — tak bowiem nazywało Traugutta to nieliczne koło znajomych i wyższej organizacyi, z którymi zmuszony był mieć stosunki. P. Kirkorowa o prawdziwym nazwisku dyktatora i jego rzeczywistem stanowisku w pracach powstańczych nie była świadomą. Jeżeli jakiego wysokiego stanowiska

dużo posiadał, więc Wacław P. brata zaznajomił z organizacją. Zapoznał go z Trauguttem, przy którym miał go zawiesić do dorywczych czynności. Nie szło to jakoś. Karol posiadał dość mierną głowę i nie budził zaufania dyktatora, który przestał nim posługiwać się, ale to nie zamknęło drogę Karolowi, z początku przynajmniej, do zaglądania pod dach domostwa, gdzie mieszkał dyktator.

Co do innego, bywającego tam czasem lekarza, Cez. Morawskiego, była to znajomość dyktatora z czasów przedpowstańczych. Dyktator ku niemu również nie posiadał wiele zaufania, wszakże tolerował go dość, tembardziej, iż Morawski, człowiek zręczny, uniał akomodować się i stawać się potrzebnym. Tak n. p. starał się sprowadzać jakieś wiadomości z kobryńskiego, o losach rodziny Traugutta, i unikał tego wszystkiego, co mogłoby temu ostatniemu odemknąć głębie jego moralnej istoty, gdzie, niestety, próżnia zupełna istniała. Rządy wrześnieowe, a mianowicie Ign. Chmieliński, wyciągnęły Morawskiego na widownię, nie można rzec — ale względów organizacyi. Za takich rządów Cezary Morawski z całą lekkomyślnością został przez Ign. Chmielińskiego kreowany na sekretarza Litwy. Kilkanaście dni nosił on ten tytuł, urzędu nie sprawował, bo nie był to człowiek pracy, ani też człowiek znający stosunki kraju bądź organizacyi, nie był człowiekiem pragnącym w czemś krajowi usłużyć. Traugutt, po przybyciu do Warszawy, zaraz go usunął, tem skwapliwiej usunął, iż przyjęcie tytułu było uzurpacją, bo takie narzucenie Litwie jej reprezentanta sprzeciwiało się przyjętym i zachowywanym zasadom przez wszystkie uprzednie składy Rządu Narodowego. Pomimo jednak swego szybkiego usunięcia, lekarz C. Morawski nie przestawał zachowywać z Trauguttem stosunków, jako osobisty znajomy; jego miłość własna dymisją nagłą wcale dotkniętą nie była; a sprawy organizacyi, w gruncie rzeczy Morawskiego, człowieka dziwnie lekkiego charakteru i dziwnie zmateryalizowanego, nie obchodziły. Obaj ci ludzie, C. Morawski i Karol Przybylski — co do głowy i charakteru stali nader nisko; ostatni może niżej od pierwszego: pozbyto się ich prędko z szeregów organizacyi, lecz chętnie zawisali u progów domostwa dyktatora, w mieszkaniu Kirkorowej.

w pokoju, do którego oprócz obiadujących nikt nie wchodził. A liczba obiadujących z początku z trzech złożona — dyktator, Gałęzowski i M. D. — w prędcie spadła tylko na dwóch: dyktator i M. D...i tak do ostatniej utrzymała się chwila. Podczas obiadu była krótka, ale niezbyt swobodna dla dyktatora chwila wytchnienia. Myśl jego wciąż pracowała: układał plany tego co miał rzec, lub uczynić podczas popołudniowej konferencji z dyrektorami wydziałów, która się odbywała nigdy inaczej jak w mieście. Konferencyj, narad żadnych nie było w mieszkaniu dyktatora.

To wszystko, co w tym względzie twierdzi Berg, w swem rosyjskiem dziele, jest fałszem zupełnym, z relacyj mylnych różnych członków komisij śledczych zaczerpniętym. Nigdy, ani razu, podczas całej półrocznej dyktatury, narady w mieszkaniu dyktatora nie miały miejsca. Traugutt zawsze na nie udawał się do miasta, codziennie w godzinach zmroku zimowego, bez względu na pogodę, na zwiększającą się, lub nie, grozę niebezpieczeństw.. Nic go wstrzymać nie mogło od dokonania tego, co za obowiązek uważał.

Po obiedzie niekiedy przyjmował tych parę osób, które tworzyły jego prywatne otoczenie; ale zdarzało się to jedynie w pierwszych dwóch miesiącach dyktatury — wprędce ta mała liczba prywatnych stosunków wyczerpała się — przychodził niekiedy Wacław Przybylski, przybiegał, ale jeszcze rzadziej, brat jego lekarz, Karol Przybylski, nadchodził czasem lekarz Cezary Morawski, który znany był Trauguttowi, jeszcze dawniej, jako z Brześcia pochodzący, z czasów przedpowstańczych. Wszyscy ci panowie byli znajomymi Traugutta z zakresu jego prywatnych stosunków, oprócz rozumie się Wacława Przybylskiego, który miał urzędowe stanowisko, i dużo posiadał zaufania dyktatora. O tych paru ludziach, którzy wciskali się pod dach dyktatora, i mieli z czasem wpłynąć na przyspieszenie tragicznego rozwiązania jego losów, pragnę tu rzucić bodaj słowo objaśnienia.

Lekarza Karola Przybylskiego do Warszawy ściągnął brat jego, znacznie starszy, Wacław. Karol, człowiek młody, świeżo opuścił ławę akademicką w Petersburgu, i otrzymał patent na lekarza. W Warszawie pragnął Karol zdobywać pierwsze sukcesy na drodze praktyki lekarskiej, że jednak pierwsze kroki trudnemi się okazały, a czasu z tego powodu

dyktatury. Oto Dr. J. Łukaszewski, komisarz pełnom. w zaborze pruskim, pisząc o swej audyencji, jaką miał u Traugutta, tak się wyraża: „Traugutt zawezwał mnie na konferencję w cztery oczy... Dla większego skupienia ducha konferencya odbyła się wieczorem, w ciemnym pokoju, przy zamkniętych drzwiach"... Nie o większe skupienie ducha tu chodziło, ale była to jedna z licznych ostrożności przedsiębranych w celu zabezpieczenia się od różnych, drobnych niekiedy wypadków sprowadzających wielkie następstwa, brzemiennie klęskami.

Po ukończeniu konferencyj codziennych, około 7, lub 8 godziny wieczorem, wracał do swego zacisza dyktator strudzony, i wówczas to miał jedyną chwilę wytchnienia, trwającą dwie godziny, czasem nieco dłużej. Wtedy przybywał do niego M. D..., zdający sprawę z udzielonych mu poleceń, przeważnie dotyczących ciągłych stosunków z Z., dyrektorem spraw zagranicznych, i następowała długa rozmowa, która po ukończeniu urzędowej wymiany myśli — a sprawy z nim załatwiał różnorodnie, bo polecenia udzielał mu najrozmaitsze z wielorakich gałęzi interesów powstania — wchodziła na tory przyjacielskiej zaiste pogadanki, podczas której dyktator zażywał prawdziwego wytchnienia. Z młodym tym swym domownikiem, z nim jednym tylko, obcując wciąż, przyzwyczaił się do niego i miał go za stosunek najbliższy w Warszawie. Zapewne go i dawniej cenił, gdy polecił mu obok siebie, w olicynie swego lokalu zamieszkać, by nieustannie pod ręką go mieć; lecz półrocze stosunków ciągłych wytworzyło serdeczniejsze zbliżenie na wzajemnym oparte szacunku. D... nigdy nie zapominał o różnicy lat i doświadczenia, jakie stanęły między nimi, dla tego też dla Traugutta miał on coś z uczucia synowskiego; ostatni zaś odpłacał mu zaufaniem i szczerą przyjaźnią tę cześć synowska.

Wśród poufnych rozmów, w których dyktator zawsze okazywał się człowiekiem pełnym wiary w swą misję, kończył się dzień w cichej izbie samotnego domostwa na ulicy Smolnej. 10-ta godzina wieczorna była hasłem rozejścia się... Niekiedy, gdy naglącej pisaniny nie miał, Traugutt, gdy pogoda większa biła z jego oblicza, na jakie parę kwadransy zatrzymywał swego jedyne domownika, i ci ludzie tak wesoło gwarzyli, jakby śmierć nie stała u ich wężgłowi.

Po tych chwilach dorywczych przyjęć, które nader krótko zwykle miały miejsce, przygotowywał się Traugutt do sessyj z dyrektorami wydziałów i na nie udawał się, gdy zmierzch wczesny, zimowy zaglądać zaczął do okien. Udawał się na owe sessyje rzadko piechotą, najczęściej dorożką, co czyniło wycieczkę zawsze bezpieczniejszą, wobec zaczepiań przechodniów przez żołdaków, rozstawionych na ulicach miasta nader gęsto i odgrywających wówczas rolę policyjnych posterunków. Sessyje prawie codziennie odbywały się; bardzo rzadkimi były dni, gdy mógł w domu pozostać o zmroku, i nie narażał się na groźne napastowania przechodniów, które codziennie się powtarzały, a nawet coraz częstszymi i brutalniejszymi stawały się. Z takich dorywczych zatrzymań przechodniów wywiązywały się bardzo często procesa, indagacje, kończące się wygnaniem lub straceniem. Podróż więc piesza lub dorożką na sessyje, wychylenie się z domu, bez zachowania ówczesnych formalności, t. j. latarki zapalanej o pewnej godzinie, groziły więzieniem, co mogło wywołać tysiące zawikłań i przyspieszyć koniec tragiczny.

O tragicznym końcu swym, jako o rzeczy bardzo możliwej, wciąż on myślał i wcale nie dorywcza to myśl, rzucana w jednym z listów jego, pisany w lutym 1864 roku do pewnego wybitnego dowódcy powstania; widzimy tam słowa wybornie odzwierciadlające jego pojęcie o władzy i o swej codziennej, zagrożonej nieustannie pozycji: „U nas, pisze on, władza nie jest celem ambicyi, ale aktem poświęcenia, a to co głosimy nie jest piękną tylko i czczą formą, ale wynikiem naszych przekonań, prac i trudów całego życia, pojęciem tak stałem i niezłomnem, że za nie w każdej chwili też życie dać jesteśmy gotowi i codziennie narażamy”.

I rzeczywiście, „codziennie je narażał“ w tych wycieczkach na sessyje z dyrektorami wydziałów, i na owych sesjach, które zmieniały wciąż miejsce posiedzeń; niebezpieczeństwa nieraz jeszcze groźniejsze urastały z drobnych niekiedy przyczyn, potrzeba było nieustannie na baczności się mieć. Jak dalece ostrożność zachowywaną była przy widzeniach się z różnymi, to komisarzami, to agentami, powołamy się na jednego z wiarogodnych działaczy ówczesnych, mających możność osobistego zetknięcia się z Trauguttem, za dni jego

misyi, nie podniósł rozprzegającej się władzy, byłaby runęła ona w październiku, lub najpóźniej w dniach listopadowych, i zgon jej nie otaczałaby aureola męczeństwa, która przyświeca ostatniej karcie dziejów powstania styczniowego... Ludzie stawający u steru podobnie się z zużywali jak formy ustroju władzy; fala wypadków wyrzucała na arenę działania postacie o coraz pospolitszych właściwościach. Wrzesniowy przełom — to wtargnięcie fal powodzi nie wstrzymanej żadną siłą oporu. Instynktownie ci, co widzieli jaśniej sytuację, a lubowali się w przezroczy wód niczem nie zamaconych, wzdychali do inęża wyższej miary. Wypłynięcie na ową powierzchnię wód czystych postaci takiej jak Traugutt, uważać należy za fakt Opatrznościowy. Niemocen już on był wywalczyć niepodległości narodu, ale od licznych klęsk moralnych, od sromoty dalszych przewrotów bezzapreczenia ocalił naród; a zarazem wskazał, co uczynić zdolna dłoń jednego człowieka, jeśli przystępuje do podnoszenia brzemienia pracy z religijnem namaszczeniem, z wiarą bezbrzeżną.

Dyktatury znamieniem głównem wiara w zwycięstwo bez obcej pomocy. Taką wiarą przejęty był sam dyktator, taką pragnął przenieść w serca swych współpracowników.

Przelanie wiary w niechybne zwycięstwo w serca swych współpracowników, w serca ogółu ziomków oddających się zwątpieniu i beznadziejnej rozpacz — to praca olbrzymia, na którą siły dyktatora — niestety — bezowocnie z użycywały się; by cel ten najbliższy osiągnąć, należało walczyć z bojażnią, ze zwątpieniem coraz wzrastającym tłumów. Zniechęcenie, opuszczanie omdlałych dłoni rozszerzało się z niezrównaną szybkością wśród narodu, przelatywało kraj z gwałtownością pożaru niszczącego słomianą strzechę.

Pomimo zwątpienia, rozpacz, które ku końcowi dyktatury przeważnie zaczęły w kraju wzrastać i rozszerzać się, w pierwszych tygodniach traugutowych rządów, dużo otuchy wstępowało do serc i umysłów zastępów organizacyi, a z ich umysłów ten pierwiastek wiary w siebie samych zaczął potroszę przenikać do szerszych kół społeczeństwa. Pod kierunkiem stanowczej dłoni dyktatora sprawy powstańcze poczęły iść porządniej, szybciej i różniej, „wiara i otucha w lepszą przyszłość — jak twierdzi jeden z przedniejszych



Ale to zdarzało się dość rzadko. Pospolicie przed 10-tą każdy z nich spieszył do swych prac. I lampa, postawiona wówczas na biurku dyktatora, przyświecała jego robocie z piórem w dłoni jeszcze trzy, cztery godziny. W owych to nocnych godzinach powstawały te liczne depesze, odezwy, listy, instrukcye, które tak obficie za dni dyktatury wychodziły z pod pióra Traugutta.

O godzinach popółnocnych, głuchej nocy zimowej, gaśta wreszcie lampa samotnika, który w modlitwie szukał ukojenia po znoju pracowitego czuwania i myśl zwrócona ku przedwiecznej sprawiedliwości zamykała dobę trudu.

Jaką widzieliśmy jedną dobę, takimi wszystkie były dnie Traugutta. Wszystkie jednakie, poświęcone jednej myśli, jednym uczuciem przejęte: smutny, niby w więzieniu zamknięty, wpatrzony w przyszłość mającą przynieść wyzwolenie narodu, Traugutt przez cały półroczny okres swej dyktatury, stał już nieustannie niby na rusztowaniu, u słupa szubienicy; wszystkie swe myśli, uczucia, całą swą przeszłość, wszystkie swe rodzinne ukochania poświęcał codziennie na ołtarzu niepodległości Ojczyzny. Ile dni upłynęło podczas jego rządów, tylekroć razy on poświęcił siebie, całą swą ziemską istotę, dla idei, którą żył, ku której urzeczywistnieniu dążył..

## ROZDZIAŁ VIII.

Dyktatura tajemna jedyną możliwą formą sprawowania władzy powstańczej była wówczas, gdy myśl Traugutta postawiła ją na widowni wypadków. Dotychczasowe formy i kombinacje zużyły się najzupełniej. Idea władzy Rządu Narodowego wznosiła się wysoko i sięgała daleko, obejmowała ramionami swojemi kraj cały, lecz ustrój władzy, zbiorowo obradującej i rządzącej, okazał się nadal niepraktycznym i wreszcie niemożliwym. Z biegiem czasu i wypadków organizacja rozszerzyła się, urastała, lecz zarazem i rozpręgała się, gdy wciskać się w jej szeregi zaczęły różnorodne żywioły. Wobec więc zachwianych podstaw władzy, konieczną się stała dłoń pełna mocy i energii niczem nieprzypartej. Widzieliśmy, iż gdyby Traugutt nie podjął się tej

poufnych wynurzeń, mówią one więcej, niż to wszystko co zdołają potomni o Traugucie napisać.

„Widzieliśmy stan okropny — pisze on dnia 2. marca 1864 do Bosaka, pisze o chwili gdy przybył do Warszawy, w pierwszych dniach października, w celu objęcia dyktatury — widzieliśmy stan okropny i rozpaczliwy, widzieliśmy jak promotorowie tego wszystkiego, po dokonaniu swego czynu uciekli za granicę, uczciwi zaś, którzy pozostali na miejscu, opuszczeni od wszystkich, sami nie wiedzieli co dalej począć. Tylko nieograniczona ufność w Opatrzność i niewzruszona wiara w świętość sprawy naszej dodawała nam siły i odwagi, aby w takich okolicznościach przyjąć sponiewieraną władzę. Pamiętaliśmy o tem, że władza jest u nas aktem poświęcenia, a nie ambycyi, i że poświęcenia tego odmawiać Ojczyźnie nie możemy, kiedy widzimy konieczność...”

Powyższe wyrazy bardziej czynią nam zrozumiałemi genezę dyktatury i stanowisko z jakiego Traugutt zapatrywał się na swe posłannictwo, niż dokonałby tego zdołały bodaj najściślej zachowane tradycje owych lat. Uzupełniamy charakterystykę pojęć dyktatora, opartych na wielkiej ufności w Opatrzność, następującemi charakterystycznymi jego słowy kreślonymi również do Bosaka:

„W naszym, dotychczasowem położeniu — mówi on — często nie można wielu rzeczy zrobić jak się rozumie i jak potrzeba; w takich razach robić co tylko można, a zresztą śmiało spuszczać się na Boga. Szczerej pracy i poczciwym chęciom, prędzej czy później, Bóg zawsze dopomoże i pobłogosławi... Często On nie daje tym, których kocha, wszystkich potrzebnych do roboty środków, właśnie dlatego aby nie zapominali o tem, że co się dobrego robi od niego pochodzi i aby sobie samym tego nie przypisywali... Człowiek ziemię uprawia, krwawo pracuje koło niej i zasiewa, ale Bóg ziarna wzrost i obfitość plonu daje... Tak więc człowiek od pracy i starań nie jest wolny, ohy tylko starania i praca czystemi i poczciwemi były, o skutek ich troszczyć się nie powinien — bo ten w Bożem ręku... Przeciwnościami i niepowodzeniem nie zrażać się, spotykane przeszkody tylko zdwojoną energią do ich pokonania wywołać powinny... Oto są prawidła, wedle których się rządźmy. . starajcie się aby wszystko co Wam jest podwładne temi zasadami się przejęło i wedle

urzędników organizacji — w serca wstąpiła“. Dyktator wszelkich wysiłków nie żałował w celu utrzymywania tej „wiary i otuchy“; przeświecają jego usiłowania w rzeczonym celu łożone w mnóstwie listów, instrukcyj, które zarówno do władz wojskowych jak i cywilnych redagował i rozsyłał.

W czasach nawet najgorszych, gdy zwątpienie rozwielać się zaczęło i górować ponad wszystkim — na dwa tygodnie przed swem uwięzieniem — nie przestaje Traugutt przemawiać słowem takiej energii i pewności siebie, jakby w dniach pogodnych dla powstania, które to dni już były dla nas stracone. Oto jak woła do jednego z dowódców (dnia 25. marca 1864 r.) „K... niech rusza coperdziej, a po wyjściu podsyłać mu ludzi i broni. Bić się tem trzeba co mieć można, nie czas wybredzać i przebierać. Zapomniał, że w roku zeszłym szczęśliwy ten był kto z dubeltówką wychodził. Więcej wiary i energii, a mniej wymagań, to się rzeczy prędzej zrobią...“ A na dni kilkanaście przedtem, w innych sprawach snuje nić śmiałych konjunktur, i tak wyrazami zachęty przenawia: „Bywa czasem, że to, co dziś do prawdopodobnych rzeczy zaliczyć trudno, jutro okazuje się prawdziwem. Miejcie się przy tem na baczności i bądźcie gotowymi na wszystko“. Takich słów otuchy, takich dowodów mężnego spoglądania w przyszłość niezmierna ilość rozsypana w bardzo licznych jego korespondencyach, które pożądanem by było zebrać w całość, o ile możność pozwalała zupełna. A nietrudną nawet byłoby rzeczą w owych listach, gdzie zamiast podpisu pieczęć spotykamy, gdzie na pozór prawie niepodobna wskazać, czyje jest pismo, nietrudno, powtarzamy, byłoby odróżnić pióro Traugutta od innych; w jego słowach zawsze brzmi nuta energii i wiary w jutro; właśnie te właściwości, które innym zaleca, jako konieczną tarczę od zwątpienia, od małodusznego opuszczenia rąk.

W chwilach rozpoczynających ostatni miesiąc jego rządów, gdy czasy coraz groźniejsze zawisły nad ziemią naszą, ożywia Traugutta ta sama wiara, która prowadziła go przez całą zimę 1863—64 r. drogą najwyższych wysiłków. Z zupełną prostotą wywnętrza się on przed Bosakiem, wskazując na swe posłannictwo, jako na misję, niezmierną. Niepodobna zabaczyć o przytoczeniu słów, bodaj niewielu, z owych

ową organizację stolicy oczyszczał pilnie z chwastów warcholstwa naczelnik miasta, energiczny Waszkowski; i to oczyszczanie przyniosło pożądane owoce; o konspiracjach przeciw Rządowi Nar. nie wiele marzono za dni traugutowskiej dyktatury. Nikt z opozycji jawnie głowy nie podnosił, bo tu chodziło o całość tej głowy: każdy krok śmielszy głów wzniecających domowy niepokój gardłem można było przepłacić.

„W urzędach naszych mieć chcemy gorliwych wykonawców woli naszej; sądzić nas kto inny będzie...” tak pisał dyktator do jednego z wyższych funkcjonariuszy powstania, i myśl w powyższych zawarta wyrazach. przewodniczyła jego postępowaniu w stosunkach z władzami mu poddanymi. Rygor, karność wojskowa, górujące niegdyś w jego maluczkim obozie powstańczym wprowadzane były, o ile się dało, do szeregów organizacji cywilnej. Wichrowatym głowom dawano dotykalnie do poznania, że ich czas przeminął, że brudzenie dalsze niemożliwe. Przebudowano więc gmach organizacji na szczeblach wyższych i niższych stolicy; zalecano to samo, czynić na prowincyi; pisał i wysyłał o tem dyktator nie jeden obszerny list, niejedno surowe napomnienie: biegły do województw i powstańczych obozów instrukcyje nakazujące tępienie wszelkich nieposłuszeństw, wszelkiej niekarności, tembardziej intryg na szerszą skalę obmyślanych, bądź pod egidą Mierosławskiego, bądź pod hasłami opozycji z poza kordonu z cicha intrygującej.. „Z wszelkimi intrygantami i wichrzycielami należy postępować z nieubłaganą surowością — woła Traugutt w jednej ze swych odezwo do komisarza pełnomocnego, w zaborze pruskim, i woła nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni — gdyż oni, jako swoi, są gorszymi nieprzyjaciółmi kraju niż Moskale i Niemcy. Małych rzeczy nie pomijają, a złe niszczyć w samym zarodku, by nie miało czasu siły nabrać, bo potem będzie trudniej. Pamiętać należy, że to walka nie ze stronnictwem, ale z najobrzydliwszą frakcją, która swoją własną korzyść i zaspojenie niepowściągliwej ambicyi wyżej nad dobro ojczyzny przenosi. Używają tego ostatniego za maskę dla przeprowadzenia swych planów“. Wszystkich opozycjonistów uważał on za wrogów gorszych od tych, co rozszarpali ojczyznę; i ten jasny, wolny od wszelkiej stronnictwozności pogląd legł

nich postępowało... Przykład dany z góry, zły czy dobry, z łatwością na niższych oddziaływa... Nie wątpimy więc, że korpus wasz stanie się nie tylko wzorem dla armii, ale i dla kraju“.

Powyższe ustępy wyjęte z instrukcyj i wskazówek dyktatora. posyłanych do generała Bosaka, mogłyby mniej świadomych w błąd wprowadzać, że dyktator był marzycielem, teoretykiem lubiącym rozprawiać, gdy tymczasem był to umysł trzeźwy, w pracach administracyjnych nie lubiący z zużywać bezowocnie wielu słów, a ceniący wielce czas.

W administracji wprowadzić on starał się jednolitość zarządów, a przeto, w ościennych zaborach, zamiast miejscowych komitetów, często tworzących przeszkodę, a nie pomoc w działaniu, wytworzył „Wydziały wykonawcze“ — zarówno w Galicyi jak też w Poznańskim — na wzór Wydziałów prowincjonalnych na Litwie i Rusi, i temsamem ściślej zjednoczył te prowincye pod względem zarządu z naczelną władzą powstania, rezydującą i rządzącą w Warszawie. Jednolitość zarządów zjednoczyła ściślej prowincye odległe, a co ważniejsza przyczyniała się do krzewienia wszędzie, wśród najodleglejszych zakątków Polskiej ziemi, idei Rządu Narodowego. Ta potęga tajemnicza, znajdująca posłuch w ziemiach walczących, przejawiała się odtąd za pomocą organów zależnych od Rządu Narodowego na dalekich kończynach Polski, w okolicach biorących tylko pośredni udział w walce...

Brak ludzi w administracji cywilnej, ludzi takich jakimi wedle pojęć Traugutta, pewinni być urzędnicy Rządu Narodowego, trapił go wielce przez cały ciąg jego rządów... „Wiem, że nie wszyscy na swych stanowiskach odpowiadają zadaniu -- mówił on — ale gdy są uczciwi, musimy na nich poprzestać...“ „Gdybym miał, chociaż ośmiu ludzi na prowincyi takich, którzyby najzupełniej odpowiadali wymaganiom moim, energią i wiarą górowali, obsadziłbym nimi stanowiska komisarzy w ośmiu województwach Królestwa, a wówczas prace nasze poszłyby krokiem szybszym... ale takich ludzi nie mam“ — dodawał Traugutt ze smutkiem.

Dla urzędników organizacyi, przekraczających swe atrybucye, był surowym; przeważnie w miejskiej organizacyi Warszawy spostrzegać się to dawało: wedle jego wskazówek

wych „właściciele oddziałów“ — oficerów armii, poddanych zwierzchności wojskowej, i podzielonych na hierarchiczne stopnie, kielkowała w umyśle Traugutta jeszcze wówczas, gdy w lipcu 1863 r. opuszczał w błotach Pińskich garstkę swych karnych bojowników, gdy dążył do Warszawy, by się dowiedzieć, jakimi środkami naród walczący rozporządza, na co liczą jego przywódcy. Przypatrzenie się bliższe środkom i sposobom prowadzenia walki powstańczej, zectknięcie się za granicą z całym szeregiem dowódców powstańczych, wszystko co rozwinęło się przed jego okiem, co mu wpadało do ucha, wskazywało, że myśl jego pierwotna właściwą była bardzo; a więc po osiągnięciu władzy najwyższej starał się swe zamiary w czyn zamienić. W pierwszych jednak chwilach dyktatury trudnem to było nadzwyczaj. Jednocześnie z rozpoczęciem rządów dyktatury wkroczyły do Kongresówki lub wkroczyć zamierzały liczniejsze oddziały; powstanie ku drugiej połowie października ożywiało się znacznie, należało przeto wstrzymać się ze wszystkimi zmianami aż uwidocznia się następstwa walk wznowionych. Następstwa pomyślnie nie nadeszły: jedne oddziały zostały rozbite przy przejściu przez kordon z Galicyi do Kongresówki, inne zaledwie weszły do walczącej dzielnicy, ztamtąd wyparte były, lub zaciągi uwiązły poza kordonem i wystąpić w pole nie zdołały.

Zaledwie 15. grudnia 1863 r. myśl reorganizacji sił zbrojnych powstania rozpoczął dyktator w czyn wprowadzać, wydając pamiętny dekret, znoszący podział sił walczących na województwa i oddziały i zamieniając je na kadry regularnego wojska z nazwami korpusów, pułków, szwadronów, batalionów i t. d.

Cała armia narodowa w ten sposób została podzieloną na cztery korpusy. I-go korpusu dowódcą został mianowany gen. Kruk (Heidenreich); II-go korpusu gen. Bosak (hr. Hauke); III-go pułkownik Skała (Jan Koziello); IV. korpus ogólnego zwierzchnictwa nie otrzymał. W parę miesięcy zaś później polecił tworzyć korpus V., z powstania litewskiego i żmudzkiego, którego dowódcą mianował znanego z męstwa i poświęcenia, a wówczas czasowo poza krajem przebywającego pułkownika Jabłonowskiego (Bolesława Dłuskiego). Z nominacyj na dowódców korpusów korzy-

podstawą postępowania wobec zachcianek ludzi przewrotu... Określenia ich działań są nam znane; niemniej dla uzupełnienia rysów charakterystycznych postaci dyktatora, rzucamy słów kilka jego poufnych w tym względzie zwierzeń, do Bosaka pisanych (2. marca 1864).

Czytamy tam dłonią Traugutta skreślone następujące uwagi: „Oprócz Moskwy i Niemców mamy jeszcze gorszych, bo domowych wrogów: adherentów Mierosławskiego prawdziwych i udanych. Ludzie ci, których jedynym zajęciem, albo raczej rzemiosłem, było tak zwane „walenie Rządu“,

którzy swą sztuką wrześnieją o mało wszystkiego na wieki nie zgruchotali, będąc teraz całkiem wyciśnieni z Warszawy, i nie mogąc tu sobie znaleźć gruntu, bo każdy krok ich zawsze był bacznie strzeżonym, całe swe wysilenia starają się obecnie zwrócić na południową część kraju, a głównie na województwo Krakowskie w celu działania na wojsko“.

Traugutt wszelkich usiłowań dokładał, aby z oddziałów powstańczych, rozrzuconych po kraju, niemających z sobą żadnej wojskowej spójni, gdzie każdy dowódca mienił się i był rzeczywiście „właścicielem oddziału“, utworzyć wojsko, o ile możność pozwala regularne, a przynajmniej kadry wojska. Nazwy nawet takie jak „partya“, „oddział“ zostały usunięte na mocy dekretów dyktatora: natomiast występuje nazwa „wojsko“. Zabiegi Mierosławczyków, by wzniecić zamęt umysłów i niepokój domowy wśród „wojska“, — jak głosi ustęp tylko co przytoczony — tyczą się owego „wojska“, które wytwarzał Traugutt z powstańczych „oddziałów“; zabiegi te były skierowane dla tego ku Krakowskiemu województwu, iż tam, a zarazem w Sandomierskiem, generał Bosak najgorliwiej spełniał dekrety wojskowe Traugutta, urzeczywistniał jego ulubioną myśl zamieniania na „wojsko regularne“ luźnych oddziałów powstańczych.

\*

\*

\*

Myśl wytworzenia z rozsypanych po kraju większych bądź mniejszych gromadek powstańczych wojska regularnego bolskiego, wojska karnego, a z dowódców i dotychczas-

w wojsku zaprowadzić jak najsurowszą karność, dodawszy do tego jeszcze jako konieczny warunek, abyście jednocześnie z zaprowadzeniem karności, wszelkich usiłowań dołożyli do umoralnienia tego drogiego związku siły zbrojnej całego narodu. Żołnierz polski powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa: czystość obyczajów i nieskalaną cnotę, a nie samowolę i demoralizację roznosić wszędzie powinien. Cnota żołnierza naszego powinna być czynną, t. j. zasadzać się głównie w czynach połączonych z poszanowaniem zewnętrznych form przez kościół przyjętych i uświęconych, jako objaw widomy uczuć wewnętrznych, ale bynajmniej nie uważając tych form za treść samą, za doskonałość chrześcijańską; bo one, bez ducha chrześcijańskiego i płynących zeń czynów, będą nietylko niepożytecznymi, ale szkodliwymi nawet; gdyż będą kłaść świętość religii, sprowadzając ją tylko do zewnętrznych praktyk, zupełnie niezgodnych z postępowaniem. Niech będzie wiara gorąca i szczerza bez fanatyzmu, pobożność prawdziwa bez bigoterii, przyzwoitość obejścia się zarówno daleka od śmiałego narzucania się jak i od zimnej i odpychającej surowości“... Dalej, mówiąc, że Bosak zapewne i sam rządzi się temiż zasadami, dodaje: „Przykład dany z góry, zły czy dobry, z łatwością na niższych oddziaływa: nie wątpimy więc, że korpus Wasz stanie się nie tylko wzorem dla armii, ale i dla kraju.

„Czy wojsko w ten sposób prowadzone walecznem się stanie, czy pobije wroga, o to się i pytać nie należy: będzie ono nie waleczne, ale niezwyciężone...“

Z wojska tak prowadzonego pragnął Traugutt mieć apostołów idei wolności i braterstwa wśród mas ludowych. „Wola jest Rządu Narodowego — zalecał dyktator w urzędowej odezwie — abyście zwrócili szczególniejszą bacność i gorliwość waszą ku doprowadzeniu ścisłego i serdecznego porozumienia się i zbratania wojska naszego z ludem. Rząd Narodowy patrzy na wojsko nietylko jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na pierwszych i najwierniejszych stróżów i wykonawców praw i postanowień przez Rząd Narodowy wygłaszanych, a przede wszystkim praw nadanych ludowi polskiemu, na mocy manifestu z dnia 22. stycznia b. r.; ktoby się zaś odważył w czemkolwiek te prawa gwałcić, ma być uważany za wroga ojczyzny i to za wroga gorszego od



stali jedynie Kruk i Bosak; Skała bowiem dowództwa nie objął, nigdzie go znaleźć nie można było, a V korpus za ledwie z początkiem wiosny 1864 r. wytwarzany, już stanąć nie zdołał — powstanie upadło. Z tych zaś dwóch dowódców korpusów zawiązujących się, za ledwie tylko Bosak występował czynnie przez całą zimę, dźwigał na swych barkach nie tylko pracę nad organizacją zawiązków wojska narodowego, ale odpierał nacisk Moskwy. Działalność Bosaka niedość iż odpowiadała oczekiwaniom Traugutta, lecz je nawet przewyższała. W zabytkach pismiennych, które po nim pozostały, widzimy, iż nieustannie oddaje Bosakowi zasłużone pochwały, stawia go innym jako przykład, w poufnych listach i rozkazach do niego pisanych nie ukrywa swej radości, że organizacja armii pod jego kierunkiem dobrze się rozwija i pewne owoce przynosi.

Traugutt, podczas swego zagranicą pobytu poznał się z Bosakiem i zdołał w nim słusznie ocenić wysokie jego przymioty: szlachetność umysłu, prawość charakteru, co było powodem, że mu poruczył siły zbrojne dwóch województw, Krakowskiego i Sandomierskiego — na terenie których zorganizował się ów korpus II., który najdłużej ze wszystkich powstańczych oddziałów Kongresówki utrzymywał się i zdołał jeszcze na wiosnę 1864 r. bić Moskali. Bosak obiecał dyktatorowi, że będzie się starał utrzymać pół roku w Kongresówce; i rzeczywiście, bez względu na najtwardsze warunki, gdy zarówno Moskwa jak i zima naciskały go mocno, utrzymywał się do połowy kwietnia 1864 r. Uwięzienie dyktatora położyło kres powstaniu. Uosobienie idei Polski wywalczającej niepodległość zniknęło; siły narodu były już wyczerpane, Bosak przeto opuścił swe stanowisko, na którym długo, wytrwale, pożytecznie trwał.

Bosak był postacią jedną z cenniejszych w pojęciu Traugutta, widział w nim bowiem grunt moralny, co najważniejszą rzeczą było zawsze dla człowieka tak wysoce moralnie stojącego jak dyktator. Jaką cenę do przymiotów moralnych przywiązywał Traugutt najlepiej nam o tem powiedzą jego własne myśli, zawarte w jednym z listów do Bosaka (z d. 2. marca 1864 r.).

„Na szczególne uznanie i podziękowanie nasze zasługują — pisze on — owo niezmordowane staranie wasze, aby

kiewicz na czele 200 ludzi i chłopek Łukaszunas, z garstką stu włościan, dotąd zaopatrują się we wszystko prawie kosztem Moskali“, jak wreszcie ostatni z wymienionych żmudzkich dowódców „przed niedawnym czasem zdobył na nieprzyjacielu sto kozuchów i już jest bezpieczny na zimę...”

Gdy mu wreszcie przykładów samopomocy powstańczej zabrakło, a skarb wycieńczony nie dawał żadnej nadziei, by potrzebom tych lub owych oddziałów zadość mógł uczynić, poprzestaje na słowie pociechy, na wskazaniu iż małym, co najmniejszym obywać się mocen partyzant. W takiej znać chwili kreślił te słowa: „Zima przed nami, Rząd Narodowy pojmuje całą trudność zimowej kampanii; zna i czuje wszystkie cierpienia i nędzę waszą, ale za to kosa, dzida, kij nawet, mogą być tak dobre, a czasem lepsze, niż broń palna“.

— Ciężką jest walka zimą — mówił raz dyktator do piszącego te wyrazy — ciężką bez zaprzeczenia dla nas, ale nie zapominajmy, że zarówno jest ciężką dla nieprzyjaciela, że to, co utrudnia nasze ruchy i jego ruchy w większym jeszcze stopniu paraliżuje“.

Kwestye wojskowe głównie zwracały uwagę Traugutta nie tylko dla tego, iż był on z zawodu wojskowym, ale że na owem wojsku, przez niego wytwarzanem, polegały wszystkie nadzieje ówczesne. Pomawiano go o liczenie zbyt wielkie na obcą pomoc. Całą jego wielką wiarę w pomyślny wynik walki, wiarę bezbrzeżną w miłosierdzie Boskie, całą gotowość wytrwania na stanowisku do końca, gotowość do spełnienia kielicha męczeństwa do dna, wysokie trzymanie sztandaru narodowego „aby nic nie uronić z wielkości idei, z godności narodowej, z moralnej jedności narodu — bo reszta w ręku Bogu“ — chciano tłumaczyć niezwykle zaslepieniem w tak zwaną interwencję mocarstw Zachodu. Widzieliśmy, iż można przypuszczać, że coś wywiózł z owych obietnic pomocy, że jakieś przyrzeczenia w Paryżu mu czyniono; lecz najzupełniej dalekim on był od wszelkich zaslepień i dotkrynerstwa; a jak trzymał w ogóle o kwestyi interwencji, niech nam własne jego słowa potwierdzą: „Pamiętajcie — woła w jednym z okólników wojskowych, z końca 1863 r. — że powstanie bez ludu jest tylko wojskową demonstracją, w większych lub mniejszych rozmiarach; z ludem dopiero zgnieść wroga możemy, nie troszcząc się o żadne inter-

Moskala i Niemca"... Powyższe wyrazy nader wymownie świadczą, iż stanowisko wojsku narodowemu wskazywał dyktator wielkie, zadanie do spełnienia ważne, które to zadanie wojsko spełnić mogłoby wówczas, gdyby je prowadzono sposobem tu wskazanym, kształcąc na chrześcijańskich rycerzy. W chwilach, o których mówimy, zaledwie dwóch, trzech wodzów znalazłoby się zdolnych do urzeczywistnienia zamiarów Traugutta: urzeczywistniał zaś tylko jeden — Bosak.

Obok dekretu o zreformowaniu oddziałów powstańczych i przekształceniu ich na wojsko regularne, dawał dyktator przez siebie opracowane, bardzo szczegółowe instrukcje, rozwijające motywa dekretu i wskazujące szereg następstw, które Rząd Narodowy pragnie widzieć w obozach powstańczych, po wprowadzeniu w życie organizacji armii. Wszelkie tak zwane „rozpuszczanie oddziałów“ miało ustać odtąd zupełnie. Uprzednio istnienie, bądź zwiniecie powstańczego obozu zależało głównie, wyłącznie nawet, od dowódcy, który pospolicie uważał oddział „za swój utwór“, temsamem za swą wyłączną własność, robił przeto z nim, co mu się podobało. Wszystkie praktyki, które ustaliły się i zdobyły poniekąd prawo obywatelstwa w partyzanckich zapasach: występywanie z szeregów, zakopywanie broni, a wreszcie owo tak częste „rozpuszczanie oddziałów“ — polecenia dyktatora znosiły najzupełniej. Odtąd gromady zbrojne powstańców nie miały być przywiązane ani do osób, ani do nazwisk.

Zanim dekreta te zostały ogłoszone, nadeszła zima bardziej przykra niż ta, co patrzyła na wybuch styczniowy; nadeszła groźna, ostra, dość wczesna, sprzymierzająca się poniekąd z wrogiem. Oddziały powstańcze znalazły się w pozycji wielce trudnej; czas, zamiast łagodzić, zaostrzał cierpienia. Rząd Narodowy nie był w możności przynosić im ulgi skutecznej, gdyż zasoby jego zmniejszały się; nie składano ofiar na walkę lub wpływy coraz mniejsze stawały się. Poprzestaje więc często dyktator na słowach pociechy; to pisząc do dowódców, iż Rząd Narodowy uważa za swój „główny obowiązek, każdy grosz zebrany przedewszystkiem na wojsko poświęcić“... to znowu stawia im przed oczy przykłady, jak w wyludnionej a opustoszonej Litwie X. Mac-

wadzania w życie praw, nadanych ludowi, na mocy manifestu, w chwili styczniowego wybuchu. Dla zapobiegania wszelkim wypadkom gwałcenia tego prawa styczniowego, wydał dyktator, d. 27. grudnia 1863 r. dekret, ustanawiający pod zwierzchnictwem komisarzy pełnomocnych województw, oddzielną gałąź władzy administracyjno-sądowej, której zadaniem miało być zajmowanie się wyłącznie sprawami uwłaszczenia włościan. Dekret ustanawiał oddzielne sądy, do których miały być wnoszone zażalenia na nieuszanowanie praw własności nadanych ludowi. Artykuły dekretu były bardzo stanowcze: tak n. p. art. IV. orzekał, iż *ktokolwiek by zmuszał włościan drogą ucisku, t. j. sądową, administracyjną, lub za pomocą wojskowej egzekucji, do składania czynszu, opłaty, odrabiania pańszczyzny — „ma być śmiercią karany“*. Nie wiemy czy zdołano, w czasach coraz to cięższych, pod naciskiem wroga, rozwinąć tę instytucję zapewniającą ludowi nadane mu prawa; niemniej jednak wiemy, że w województwach, gdzie gorliwsi byli komisarze pełnomocni, dekret wchodził w życie i wydawał pewne owoce. Traugutt wszakże nieustannie się uskarżał na brak energii komisarzy wojewódzkich i zaledwie paru wyróżniał. Do takich chlubnie w jego oczach wyróżniających się, należał komisarz wojew. Krakowskiego, b. członek Rządu czerwcowego, Władysław Gołemberski. Traugutt wysoce go cenił i w korespondencji swej z Bosakiem zawsze mówi o nim z wielkiem uznaniem, nazywając człowiekiem zdolnym, obfitym w praktyczne pomysły, a przytem wysoce naukowo wykształconym. Przy wielkim braku ludzi, nic dziwnego, że wiele najszczęśliwszych pomysłów, najbawienniejszych zarządzeń szło na marne. Pisane dekreta pozostawały literą martwą, napełniając archiwa organizacji, świadcząc tylko wobec potomnych, jak dalece ręk nie opuszczał Traugutt, jak wobec coraz to szybciej rozszerzającego się zwątpienia pracował za wszystkich, wierzył za wszystkich, zapał do pracy ożywił go większy niż wielu, bardzo wielu.

\*

\*

\*

Wśród trudnych dni swej dyktatury, Traugutt posiadał parę zaledwie chwil jaśniejszych. Do takich chwil pogod-

wencye, bez których oby Bóg miłosierny pozwolił nam się obejść“.

Nigdzie też w działalności owego tajemnego dyktatora nie spotykamy śladów zabaczania o czemś, z powodu górujących nadziei pomocy obcych mocarstw; owszem, wszędzie i zawsze tak czyni, mówi, takie rozkazy daje, tak rzeczy układa, jak gdyby na własne jedynie siły narodu liczył. Jeżeli na co zawiele liczył, i to go zawiodło, to chyba na wytrwałość, na niespożyty duch naszego narodu... Ta wiara w moc narodu bardzo zbołałego utrzymywała go na tych wyżynach; mniemał się niezbyt osamotnionym, a w rzeczywistości osamotnionym stał, niby dąb, praojciec puszczy, cudem ocalony, wśród wielkiej trzebieży...

Oddany ciągłej trosce o młodociane zastępy organizującej się armii, pragnie ją męstwem natchnąć, obudza uczucie honoru w szeregach, które często pospiesznie rekrutując się, za galicyjskim kordonem, składały się z żywiołów zbyt niekiedy różnorodnych. Wśród takich to szeregów, przy częstem „rozpuszczaniu oddziałów“ żołnierz demoralizował się; opuszczanie szeregów spotykano codziennie; wytworzył się nawet haniebny wyraz „uciekinię“, dla oznaczenia opuszczających samowolnie szeregi. Traugutt kładzie temu tamę, zabraniając pod karą gardła „rozpuszczania oddziałów“ i, w poleceniach do głównych dowódców, niejednokrotnie tłumaczy znaczenie następstw owego „rozpuszczania“. „Żołnierz nasz — czytamy w jednym z wojskowych poleceń Traugutta — rzecz można, nie pojmował dotąd, że niema dla niego większej hańby jak opuszczanie szeregów, w których stanął dla wywalczenia niepodległości ojczyzny. Nasi bracia, którzy dotąd zmuszeni byli służyć w wojsku ciemiężców naszych, byli tam zawsze znani z odwagi i męstwa. W wojsku moskiewskiem lub niemieckiem, Polak zawsze się odznaczał, bo tam komend nie rozpuszczają; od początku zaś mówią żołnierzowi, że każda komenda jest jednostką tak ściśle i solidarnie spojona, że każdy, siłą nawet od niej oderwany, wszelkich starań powinien dołożyć, aby co prędzej z nią się złączyć, a to pod karą, jaka jest przeznaczona dla zbiegów i dezertarów“.

Troska o wojsko nie usuwała z porządku dziennego troskliwości o dopilnowywanie ścisłego wykonywania i wpro-

echem czasów bardziej idealnych, polityki bardziej szlacheckiej, z którymi to ludźmi i czasami już późniejsza epoka nie miała wspólnego. Odwołanie się do rządów Europy, otwarte wyświetlenie politycznej sytuacji i wezwanie do Kongresu, przebrzmiało bez następstw: mężowie stanu całej Europy nie stanęli na wysokości potrzeb chwili, nie umieli lub nie chcieli ocenić doniosłości zadania i postawionego programu... Nic nie uczyniono dla wzrostu i szczęścia narodów. Niebawem nadejść miały i nadeszły czasy, gdy miecz i siła stanęły ponad prawem, gdy od wszelkich szlachetniejszych aspiracyj odbiegać zaczęto stanowczo.

Traugutt jakby przeczuł ten zwrot blizki w stosunkach ogólnych polityki europejskiej; nie widziano wówczas zbyt wielkiej radości na jego zamysłomem, skupionem w sobie obliczu. Ci, co z nim mówili o owym doniosłym wypadku w dziedzinie ówczesnej polityki, wynosili tego rodzaju wrażenie, iż uważa rzeczony wystąpienie francuzkiego monarchy za fakt bardzo naturalny, za przedświt zwrotu w polityce świata ku podniosłym ideałom dobra i prawdy, których to ideałów on był wyznawcą i mniemał, iż maluczko, maluczko, a wielkie zasady, głoszone przez Chrystusa, ujawnią się w czynach monarchów i dyplomatów Europy.

Co za szczytne złudzenie!.. złudzenie wielkie, ale szlachetne!..

Rzeczony wpływ, iż Traugutt tak się zapatrywał, wynosili ludzie z jego otoczenia, z codziennej, powszedniej niejako z nim rozmowy. Lecz Traugutt — owo wielkie uosobienie prawdy — nie posiadał innych słów dla urzędowego swego wystąpienia, a znowu innych dla powszedniej rozmowy; nie spotykano w nim dwóch miar, czy też dwoistego oblicza: jeżeli mówił, to mówił zawsze i wszędzie jednako; jeżeli potrzebował zamilczeć — to milczał tak, jak to Litwin tylko potrafi milczeć.

Sądźmy, że w obszernej korespondencji, którą prowadził Traugutt z Ks. Władysławem Czartoryskim, przedstawicielem interesów Polski walczącej, akredytowanym przy dworach w Londynie i Paryżu, znajdują się najprawdziwsze wskazówki zapatrywać się Traugutta na tę kwestyę i inne jej pokrewne, a wchodzące do zakresu polityki zagranicznej. W tej korespondencji z głównym i pierwszorzędnym Agen-

niejszych zaliczyć potrzeba owe dnię w pierwszej listopada połowie, gdy rozległ się wśród Europy głos Napoleona III., który w mowie tronowej, wygłoszonej d. 5. listopada 1863 r. poświęcił swą główną uwagę kwestyi polskiej, przeważnie zaś walce o niepodległość Polski ówczesnej. Głos ten wywołał pewne wrażenie, niemałe nawet; cesarz Napoleon stał jeszcze wtedy u szczytu wpływu, Francya wskazywała kierunek polityce europejskiej; zewsząd się oglądano na ów głos cesarza Francuzów, miano go za pewnego rodzaju wyrocznie w sprawach obchodzących społeczeństwa ucywilizowanego świata. Jeżeli mowa Napoleona nie przeszła bez wrażenia, bodaj chwilowego, w gabinetach dyplomatów, brzmiała ona pobudką lepszego jutra w znękanych polskich umysłach, w zasypanych śniegiem taborach powstańczych; w tych ostatnich szczególnie była pobudką, wygłaszającą nadchodzący dzień zwycięstwa... Napoleon w tej mowie poruszał nie tylko kwestyę polską, ale w ogóle mówił o stosunkach europejskich, wskazywał, że podstawy, na których wspiera się gmach politycznych stosunków Europy — a mianowicie uchwały kongresu wiedeńskiego z r. 1815 — uległy zmianom zupełnym. Wedle brzmienia owej mowy, traktaty i uchwały wiedeńskiego kongresu istnieć już oddawna przestały, bieg bowiem wypadków obalił je wszędzie, lub dały do ich obalenia: wyliczywszy ważniejsze zmiany, jakim uległy orzeczenia kongresu, dotyczące się różnych krajów i ludów Europy, Napoleon wskazał na brzegi Wisły, mówiąc, że w „Warszawie Rosya owe traktaty zdeptała“. Stan Europy jest chorobliwym — brzmiała mowa — należy pomyśleć o zaradzeniu złemu, o zmienieniu wspólnymi siłami tej nieznośnej sytuacji; wzywał zatem przedniejszą wśród monarchów Europy całą areopag państw, aby przyłożyły szczerze a uczciwie dłoń do odbudowania stosunków zachwianych wszędzie, a więc i w Polsce. Miejmy odwagę przystąpić do zmiany stosunków, bodaj okupując owo przebudowanie Europy ofiarami — głosiła mowa — byle nowy stan rzeczy, wytworzony na mocy nowego kongresu europejskiego, zgodnym był z interesami dobrze zrozumiałymi monarchów i ludów.

To wezwanie, publicznie rzucone światu, wezwanie bezzaprzeczenia szlachetne, bezzinteresowne, ostatniem już było

Ponieważ wszyscy funkcjonaryusze rządu powstańczego byli Polakami, a Magnan, promowany przez rząd francuski na dowódcę polskiej floty, był cudzoziemcem, przeto postanowiono nadać mu prawa obywatelstwa polskiego, co poprzedziło jego nominację. Stosowny dyplom, nader pięknie wykonany, posłano mu do Francyi, wraz z nominacją. Dyplom był zredagowany w języku francuskim.

Długo kwestyą owego statku omawianą widzimy w korespondencyach dyktatora z księciem Wład. Czartoryskim; długo niepodobna było wytworzyć zawiązku tej morskiej partyzantki. To, bądź owo na porządku dziennym przeszkód wielorakich stawało: brak środków, różne niespodziane przeszkody i zawody przy nabyciu i umontowaniu statku opóźniły urzeczywistnienie projektu. Wreszcie, po długich pisaninach i nagleniu z Warszawy, po zabiegach we Francyi, rzecz stanęła w fazie czynu. Statek żaglowy, dość stary, nabyto, umontowano stosownie, dano mu nazwę „Kościuszko“ i wypłynął on nakoniec z jednego z portów południowej Francyi, na wody morza Śródziemnego, około połowy lutego 1864 roku.

Po długich wiekach po raz pierwszy wody mórz dalekich ujrzały rozwiniętą polską banderę.

Nie długo to trwało. Stary bryg żaglowy z trudnością znosił rozhułkaną falę dni zimowych; coś w nim skrzypiało, był skołatany burzami, coś wymagało naprawy; zawiął zatem do jednego z portów ościennych hiszpańskich, podobno do Walencji, i już ztamtąd nie podążył na dalsze wody. Zaskoczył go tam, na Pirenejskich wybrzeżach, upadek powstania.

\*

\*

\*

Pierwsze tygodnie zimowe przynosiły coraz dotkliwsze kłeski w szeregach organizacji. Aresztowania jednych pociągały za sobą uwięzienia innych: wykrywano wciąż, wprawdzie nie ludzi wyższych stanowisk w organizacji, ale nieustannie coś odkrywano i tem samem podkopywano całe misterne rusztowanie władz Rządu Narodowego. Upadek ducha dawał się spostrzeżać najwyraźniej, i to nie w sferach



tem dyplomatycznym powstania, zarówno jak w korespondencji z Bosakiem, uwydatnia się postać Traugutta bardziej niż w innych pismiennych materyałach z czasów jego tajemnej dyktatury, ujawniają się jego poglądy na ludzi i rzeczy ściśle związane z wypadkami ówczesnej chwili. Wydanie zupełne rzeczony z Ks. Wład. Czartoryskim korespondencji bardzo a bardzo pożądanę.

Korespondencya ta zaliczać się może również do chwil pogodniejszych za dni działalności Traugutta. Nie przynosiła ona z Paryża do samotnika, na ulicę Smolną, wieści dobrych, nie rokowała blizkiego pomyslnego rozwiązania sprawy nieszczęśliwego narodu, ale zapoznawała go coraz bardziej, coraz ściślej, z piękną postacią, prawdziwie obywatelską, Księcia Władysława Czartoryskiego. Z biegiem czasu to ciągłe listowanie wytworzyło w umyśle Traugutta mniemanie, i słusznie, że Księcia może i powinien zaliczać do ludzi oddanych najzupełniej sprawie narodowej i przynoszącego jej na swem stanowisku pożytek niezaprzeczony. A dla dyktatora nic nie było tak bardzo pożądanem, cennem, jak przekonanie, że ktoś pożytecznym jest sługą narodu, szermierzem idei, której on się poświęcił, że może i chce sprostać swemu zadaniu.

Wśród spraw, które omawiane były w tej korespondencji z Agentem dyplomatycznym w Paryżu, stała długo na pierwszym planie kwestya nabycia i umontowania statku zbrojnego, który miał być związkiem floty powstańczej, polskiej; zadaniem tej floty miało być szkolenie handlowi rosyjskiemu i w ogóle morskim stosunkom na wodach mórz rozmaitych.

Myśl, a nawet cały już wygotowany projekt umontowania rzeczony statku, owej morskiej partyzantki, przywiózł Traugutt z sobą z Paryża. Zdaje się, że sfery rządzące francuzkie podały mu projekt, a nawet wskazano w Paryżu kandydata na dowódcę statku. Miał nim być niejaki kapitan Magnan, osobistość znana sferom rządzącym francuzkim i dobrze u nich postawiona. Jedną więc z pierwszych spraw, jakie Traugutt, po objęciu dyktatury, podniósł i ze znaną mu troskliwością i pospiechem starał się do końca doprowadzić, była sprawa owej floty powstańczej i nominacyi Magnana na jej dowódcę.

opuszczających Warszawę rozpoczął Wacław Przybylski. Zbyt długo tam przebywał, w czasach najburzliwszych, zbyt wiele pełnił funkcji, różnemi czasy, zbyt liczny zastęp tworzyli jego znajomi z różnych sfer organizacji, by dłuższy pobyt w stolicy, i wogóle w kraju, stawał się dla niego możliwym. Zniwolonny był więc około 1. grudnia opuścić swe mieszkanie, na Smolnej górnej, a wreszcie miasto i Polskę, do której już nigdy nie wrócił.

Traugutt korzystał z tej konieczności, aby mu dać misję z bardzo obszernymi pełnomocnictwami i poleceniami, tyjącami się różnych agentur dyplomatycznych. Instrukcje i nominacje Wac. Przybylskiego na nowe stanowisko podążyć miały za nim, o dobę później, zwykłą drogą powstańczej komunikacji kolejowej.

Wacław Przybylski opuszczał Warszawę 6. grudnia, wieczorem, przebrany za księdza, karetką pocztową, która go odwieźć miała w Sandomierskie, zkąd za granicę drogami organizacyjnymi miał się dostać. Z licznych przed paru miesiącami stosunków, nikt go nie odprowadzał, nikt nie żegnał u drzwiczek karetki pocztowej, oprócz sekretarza Rusi M. D., który ze smutkiem patrząc na znikający wśród ciemnego wieczora dylizans, widział w tej ucieczce jakby zapowiedź dalszych emigracyj i stopniowego ale ciągłego znikania najczynniejszych niedawno działaczy.

Nazajutrz w sferach organizacji rozległa się bardzo przykra wiadomość dla powstania, że otoczono na dworcu kolei wiedeńskiej biuro i uwięziono urzędnika, który był głównym expedytorem wszystkich depezb i korespondencyj Rządu Narodowego wysyłanych za granicę. Wśród papierów wówczas zabranych znajdowały się instrukcje i nominacje Wacława Przybylskiego.

Pewien błąd przypadkowy, lub rozmyślny, popełniony w tłumaczeniu papierów tych na język rosyjski, stał się później źródłem wielu domysłów i komentarzy w pracach badaczy owych czasów.

Rzecz się tak miała. Wśród papierów zabranych przez Moskwę, w jednej z depezb, czy też instrukcyj, spotykano wzmiankę, iż w czemś może pomóc agentowi powstańczemu „Książę Konstanty“, do którego o tej rzeczy pisano. A mianowicie wzmianka ta spotyka się w depezie Rządu

rzemieślniczych, które szły do więzienia, ztamtąd nieraz na eszafot, zawsze na dalekie, srogie wygnanie, zachowywały się wszakże wzorowo, nie ułatwiały przez swą małoduszność odkryć komisjom śledczym; ale inteligencja średnich rozmiarów najczęściej świadczyła, że panika najgorszym doradcą. Zerwane nici w misternej sieci organizacyjnej coraz trudniej łątano; materiału stosownego zabrakło. Ludzi było mało, codziennie ich szeregi uszczuplały się; wygnania, wychodźtwa, aresztacye zabierały ich nieustannie. Lepsze żywiły, jeżeli w pierwszych miesiącach powstania nie wyginęły, teraz szły w jedenastym miesiącu walki do więzień a to co zostawało, by brać w spuściznie brzemień pracy i odpowiedzialności, już znacznie słabszem było moralnie. Moskiewskie więzienia, biorąc z tych nowozaciężnych swą zdobycz, miały już z nich niemało pociechy: pod naciskiem, bodaj marnym, oprzeć się nie byli w stanie. A więc niższe stanowiska organizacyjne opróżniły się, i wydziały nie miały często stosownej rąk ilości, wreszcie już i same wydziały rozpręgać się zaczęły, jeśli nie pustkowieciem stać.

Drukarnie wykrywano jedne po drugich, przynosząc tem niemałe straty i w ludziach, którzy szli do więzień, do katorg, na szubienice, i pozbawiając organa rządowe tak cennego czynnika — jak druk. Z niezwykłym wielekroć poświęceniem te szczyby, i w dziedzinie drukarstwa, i inne uzupełniano; radzono z wysiłkiem nad usunięciem braków, cudem prawie wyszukiwano miejsca na prasy, cudem je ocalano od najść moskiewskich.

Podziw budziły zabiegi, usiłowania, poświęcenia młodzieży rzemieślniczej, kobiet nieraz mało wykształconych, ale w miesiącach sięgających ku środkowi zimy oko bezstronne, gdyby rzuciło spojrzenie na stolicę, dostrzegłoby bez wątpienia ślady znużenia moralnego wśród ogółu stolicy. Grosz wdowi przeważnie już zaczął zasilać kasy organów rządu powstańczego; hojniejsze zamożniejszych ofiary rzadkością się stały. W grudniu i styczniu (1864 r.) do tradycyi już zaczęły należeć te czasy — tak bardzo niedawne, z lipca i sierpnia — gdy podatek narodowy opłacali nawet Moskale, posiadający jakąś własność w Kongresówce.

Stopniowo zaczęli opuszczać dyktatora ci, którym ufał, którzy do bliższych współpracowników zaliczali się. Szereg

wspomnianą gałęzią administracji w całym kraju, i za rządów Traugutta przyczyniał się niemało do ochraniań Rządu Narodowego od zamachów ludzi zawichrzeń, oddanych Mięrosławskiemu, opozycyi, różnym hasłom wicherzenia, lecz nie ojczyźnie. Umysł prawy Pieńkowskiego, daleki od schlebienia fakcyom, nie cieszył się popularnością u „wrześniowego przewrotu“, który odjął mu ster wydziału policyi i nawet zniesiono ten wydział, by uwolnić się od wspomnień, że policya często przeszkadzała ich zamachom. Po objęciu dyktatury przez Traugutta, Adolf Pieńkowski znowu wrócił do swych dawnych obowiązków: dyktator niedość iż powierzył mu naczelny zarząd w wydz. policyi, lecz wielce go cenił: strata była przeto niemała. W styczniu 1864 roku Pieńkowski opuścił Warszawę; wydział policyi stanął od-tąd pustkowiec: nie znajdowano ludzi, którym ster możnaby było poruczyć. Próbował dyktator w następnym miesiącu poruczyć wydział Cezaremu Morawskiemu; rzecz ta jednak nominalną się stała; dyktator spostrzegł się, że wybór nie-trafny, a i sam nominowany pracy nie miał się, spełzło to na niczem; wydział pozostał nieobsadzony; ściśle mówiąc przestał istnieć wraz z ustąpieniem A. Pieńkowskiego<sup>1)</sup>.

Wyjazd dyrektora wydz. prasy i zarazem sekretarza Litwy, Wacława Przybylskiego, tudzież wyjazd A. Pieńkowskiego stanowczo zachwiały dwoma wydziałami: obaliły je. Lecz nie na tem kończyły się klęski, sięgające szczytów organizacyi. Hen. W..., dyrektor skarbu, człowiek młody, uzdolniony, który stawiał pierwsze kroki w organizacyi pod kierunkiem Jurgensa, a od połowy 1863 r. zespolił się z pracami wydziału skarbu, po wrześniowym zaś zamachu stronił

---

<sup>1)</sup> Adolf Pieńkowski ukończył nauki w Petersburskim uniwersytecie, gdzie głównie chemii oddawał się. W Warszawie był nauczycielem gimnazjalnym, lubionym bardzo przez uczniów swych; a zagranicą, w Gandawie, w której zamieszkał, oddał się dawnym pracom naukowym, i w dziedzinie chemii zostawił ślad swych studyów: wynalazł sposób konserwowania mięsa. Wśród trudnych życia warunków opuścił Belgię, przebywał w połudn. Francyi; wreszcie zgon znalazł w Paryżu, w 32 roku życia, 30 czerwca 1867 r. Człowiek to wyższego wykształcenia, a podniosłych uczuć, ma zasługę stronienia od wszystkiego, co mogło się mienić fakcją. Przeżyć upadku walki narodowej nie zdołał; podobnie jak wielu w owych czasach.

Narodowego do ajenta dyplomatycznego w Rzymie, którym wówczas był Luniewski. W tłumaczeniu rosyjskiem, przed wyrazami „Ks. Konstanty“, postawiono głoskę „W.“, a zatem zaszedł błąd nader poważny: zamieniono Księcia Konstantego Czartoryskiego na „Wielkiego Księcia Konstantego“ — brata cara Aleksandra II., ówczesnego namiestnika Królestwa Kongresowego — i temsamem jedna głoska, przypadkiem lub umyślnie dodana, wprowadza Wielkiego Księcia rosyjskiego do zakresu działań powstania polskiego, czyni go współuczestnikiem prac organizacyi.

Fatalny ten błąd, owoc nieuwagi, czy też umyślnej złośliwości organów władz rosyjskich, pragnących rzucić cień podejrzeń na brata cara, z którego imieniem łączono pojęcie o polityce względniejszej dla Polski, nigdy przez nikogo podniesionym, ani też poprawionym nie został. Miłkołaj Berg, pisarz rosyjski, uwiecznił ów błąd na kartach rosyjskiego miesięcznika, noszącego tytuł „Russkaja Staryna“ i w swem dziele, o polskich powstaniach, również błędnie ów dokument podaje. Że Berg zaniedbał błąd sprostować, a może i pierwszy, przez nieuwagę swą, stał się jego twórcą, nie dziwimy się temu. Berg wcale krytycznym pisarzem mienić się nie może; brał z całą skwapliwością i łatwowiernością wszystko, co mu wpadało do rąk, i wiele rzeczy, przez każdego innego pisarza uważane za kwalifikujące się do kosza, na wieczną zagładę skazane, u niego figuruje w szeregu faktów pewnych, z których później rozwija najdziwniejsze wnioski. Tak się też stało z mniemanym udziałem W. Księcia rosyjskiego Konstantego w robotach agentów powstania polskiego.

Dotąd błąd ten, o nieznanem dokładnie pochodzeniu, pokutuje na kartach ksiąg i pewne łatwowierne, lub nie daleko sięgające sposoby zapatrywania się podnoszą ten lapsus całami, pragnąc z niego wytworzyć podstawę do najdziwniejszych kombinacyj i wniosków.

Drugim człowiekiem, którego ustąpienie, dla zupełnej niemożności utrzymania się w Warszawie, przykre bardzo wrażenie wywołało w umyśle dyktatora, pozbawiając go urzędnika doświadczonego w swej gałęzi pracy, był to wyjazd Adolfa Pieńkowskiego, dyrektora wydziału policyi. Od pół roku człowiek ten z wielkiem poświęceniem kierował

Ciężkiem niedomaganiem, widocznie, już trudno było zasła-  
niać się.

Traugutt, ścisły w pracach, w drobiazgach nawet nad-  
zwyczaj, posłał doń z rana 1. marca, 1864 r., M. D... z przy-  
pomnieniem, że termin stawienia się do pracy nadszedł.  
Posłany zastał drzwi mieszkania otwarte, a w mieszkaniu  
wielki nieład: czasy były takie, iż bez pytania łatwo odga-  
dywało się, kto przez mieszkanie przeszedł. — „Nie masz go  
tu, ktoś z domowników odrzekł na pytanie, przed świtem  
Moskale go zabrali“...

Zabrali w istocie, i w głąb Rosyi na mieszkanie wy-  
wieźli...

## ROZDZIAŁ IX.

Ubywanie nieustanne a bezpowrotne znanych pracow-  
ników, przeredzanie się szeregów, wcale już nie licznych  
w stolicy, zdawało się nie zasępiac oblicza Traugutta: żoł-  
nierz patrzył ze spokojem na klęski niemal codzienne. Za-  
sępiąło się jego oblicze jedynie wtedy, gdy naczelnik miasta  
składał raporta o odkrytych przez policję narodową usiło-  
waniach mieroślawszczyków lub innych wicherzycieli, dą-  
jących do podkopywania powagi, bądź prac Rządu Nar.  
Usiłowania agentów Mieroślawskiego, zawsze były wyśle-  
dzone przez policję powstańczą. Wiedzano więc, iż właśnie  
gdy ustaliła się dyktatura Trauguttowska i skupiły się roz-  
proszone siły przy warsztacie pracy narodowej, gdy rozbijała  
nawa do równowagi wróciła, ku końcowi listopada, znany  
agitator Mieroślawskiego Jan Kurzyna, przekradł się do  
Warszawy dla wicherzenia. Moskwa o nim nie wiedziała,  
lecz swoi wytropili go, i wyprosilili ze stolicy, gdzie wszelkie  
usiłowania władz narodowych łożone były w celu wytepie-  
nia wszelkich agitacyj opozycyjnych. „U siebie starajcie się  
— pisał dyktator o tych biednych bruźdzących głowach,  
do jednego z pełnomocników Rządu Narodowego za kordo-  
nem — starajcie się nie pozwalać tej brzydocie zagnieźdzać  
się; tępić na każdym miejscu, niech nigdzie przytułku nie  
znajdą, niech przynajmniej polskiej nie kalają ziemi... Rząd  
u siebie ten sam system przyjął, i tu im się nie udaje“...

od wszelkiego udziału w robotach organizacyi, jak wiele umysłów poważnych, i dopiero po dojściu dyktatora do władzy wrócił do swych zajęć, został przez Moskwę ujęty. Przybycie Traugutta porównywał H. Wo... do znalezienia źródła ożywczego, wśród wędrowki przez bezbrzeżne piaski południa; tego samego uczucia doznawało wielu, bardzo wielu. H. Wo... po Toczyskim, którego Moskwa dla błahych jakichś zarzutów uwięziła, był przez dyktatora mianowany dyrektorem skarbu. Ceniony ten przez Traugutta dyrektor niedługo miał możność składania dowodów swych uzdolnień; wkrótce go, jak rzekliśmy, porwano, uwięziono, i w głąb Rosyi wysłano; nie wykryto bowiem narazie, że miał stanowisko w organizacyi. Tak więc jeszcze jeden z ludzi, których brak dawał się mocno uczuć, ustąpił z widowni pracy na wyższych szczeblach organizacyi. Każdy taki ubytek zostawiał lukę wielką, już w owych czasach niedająca się niczem zapełnić. Dawniejsi, z czasów lipcowych, członkowie rządu rozpierzchli się: Gołemberski, z wielkiem pożytkiem dla powstania, komisarza wojewódzkiego funkcyę pełnił, w Krakowskim, K. S. stał czas dłuższy u steru wydziału prasy, i codzień życie swe narażał wśród trudnych stosunków z drukarniami, lecz żaden z najmłodszych nawet drukarczyków, acz do katorg wszyscy poszli, nie wydał go Moskwie. Awejda był schwytyany w Wilnie. Co do K. Majewskiego, to on pozostał w Warszawie, i Traugutt zwracał szczególną uwagę na tego znanego nam, dawnego przewodcę czerwcowego rządu, który od prac był się usunął. Nie zaniedbał dyktator skłaniać go, by przyjął jeden z wydziałów pod swój ster: Majewski wymawiał się, składając się chorobą, fotela nie opuszczał. Czy choroba była istotną, czy dyplomatyczną, nie umiem rozwiązać. Traugutt, przywiązując niemałą wagę do jego umiejętności prowadzenia prac powstańczych, taktu, doświadczenia i zachowania, posiadanego w kołach umiarkowanych a młodszych, nacierał nań parę razy, i w jesieni, i w zimie, udając się nawet osobiście do chorego, co czynił jedynie w razach wyjątkowych.

Podczas ostatniego, w styczniu, widzenia się, Majewski oświadczył, że 1. marca gotów będzie stanąć do pracy.

posiadają, niema bowiem takowego ich mocodawca. „Nota“ Rządu Narodow, jeszcze 29. grudnia napisaną i opatrzoną pieczęcią urzędową została; lecz utrudnione sprawy z drukarniami, czy może jakieś wpływy postronne, opóźniały ogłoszenie w „Niepodległości“ stanowczego tego komunikatu, gdyż w parę miesięcy później, (dnia 2. marca 1864 r.) pisząc do gen. Bosaka, dyktator wyraża się o „Nocie“ jako o rzeczy, która ma się dopiero ukazać w najbliższym N. „Niepodległości“.

Nie wchodzimy w szczegóły, ile drogich chwil czasu, ile sił i usiłowań zużyto na walkę z Mierosławskiego wyściancami i pretensjami i innym jakimś, bezimiennym odcieniem opozycyi, który brzdził acz bardzo nie śmiało: obawiano się o swe głowy, chodziły bowiem wieści, że rządy są w rękach energicznych, żartów tu niema, a w mieście już zwolenników niepodobna było zdobyć. Poza tym bezimiennym odcieniem, pilne oko policyi powstańczej dopatrywało pewne indywidua dwuznaczne, ubierające się w sztandar opozycyi, ale dające wiele do myślenia: te ciemne postacie, niby chwast na ruinie, urastać zaczęły, a przynajmniej dojrzano je w chwili, gdy milkł ostatni szczęk oręża, na kilka dni przed uwięzieniem Traugutta.

Dnie pierwszej połowy zimy upływały na tego rodzaju usiłowaniach, o których tu się już rzekło; w drugiej zaś połowie, prawie też same usiłowania, wysiłki, ale już wszystko szło z wielkim oporem.

Święta Bożego Narodzenia miały jakąś chwilę wypoczynku dla samotnika z ulicy Smolnej. Nie u siebie, w ciemnym, a szczelnie zamkniętym domostwie, spędził on wieczór wigiliowy. Z M. D... strawił ten wieczór w obcym domu: były to pierwsze i ostatnie godziny w ciągu owego ciężkiego półrocza, iż dyktator wychylił się z domu nie dla spraw publicznych, lecz gwoli wytchnieniu jedynie<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Zbytecznem może tu wdawać się w odwoływanie jeszcze jednej bajki, którą z całą dobroduszością umieścił w swej ksiątce, o powstaniach polskich, M. Berg a jednak należy zaznaczyć nader stanowczo, iż to, co Berg powiada o Traugucie, że grywał w karty, i przytem z jakimś urzędnikiem rosyjskim — jest fałszem najniebezpiecznym. Poza program spędzenia dnia, o czem w rozdziale poprze-



Mierosławczycy jednak tępieni — t.j. usuwani z Warszawy — za granicą tem głośniej agitowali, twierdząc, że w Warszawie żaden Rząd Narodowy nie istnieje, a więc oni gotowi ogłosić takowy za granicą.

Wobec tych wieści dochodzących z poza kraju do dyktatora, pisał on: „Jeżeliby odważyli się na ogłoszenie Rządu za granicą, to się tylko okryją sami sromotą i podadzą ostatnią broń przeciwko sobie — do jawnego i głośnego ich potępienia“. Prawa dusza jego wzdrygała się na myśl, jak prywatna, lub zachcianki poziomej ambicyi rozpięły piersi tych ludzi, że zapominając o lejącej się obficie krwi bratniej, o klęskach, pod brzemieniem których kraj upadał, wstrząsają filarami rządu powstańczego.

Moskwa, pragnąc, o ile tylko możność jej pozwalała, przyczynić się do podkopywania wszystkiego, co dorobkiem było powstania, co stanowiło moralną jego powagę, a taką powagą był bez zaprzeczenia Rząd Nar., który i u obcych zyskiwał powagę, uznanie, głosiła, że niema Rządu Nar. w Warszawie. Dopomagali Moskwie Mierosławczycy, głoszący, podobnie jak organa moskiewskie, iż w Warszawie Rząd Narodowy nie istnieje, a oni dopiero wytworzą go za granicą. Zaciętość Mierosławczyków powiększała się tembardziej, iż dyktator, dnia 8. listopada, dał dymisyę gen. Mierosławskiemu, ze stanowiska głównego organizatora siły zbrojnej poza granicami zaboru moskiewskiego, i zwinął ową „instytucyę“ całą, jako „niepraktyczną“. Mierosławski człowiek próżny a zuchwały, nie poddawał się orzeczeniu dymisyi; różni ludzie występowali w charakterze jego agentów, chociaż charakteru urzędowego nie posiadali i posiadać nie mogli. Z wielu względów przynosiły te wicherzenia szkody nieobliczone powstaniu.

Traugutt, z boleścią na to wszystko patrząc, a pełen szlachetnego oburzenia, na pięć tygodni przed swem uwięzieniem, jeszcze na ów stan rzeczy narzeka, w liście do gen. Bosaka. Oświadcza on tam, że wicherzenia Mierosławczyków doprowadziły wreszcie do tego, że w organie Rządu Nar. w „Niepodległości“, ma być umieszczoną „nota urzędowa“, grożąca odsądzeniem od czci wszystkich ławowiernych, którzy występują w charakterze wysłańców Mierosławskiego, a w rzeczywistości urzędowego charakteru nie-

Nie o sielance wówczas, zaiste, myśleć należało. Moskwa zerwała była najzupełniej ze wszystkimi systematami umiarkowanemi; prowadzono walkę exterminacyjną, nietylę z powstańcami w polu, których zastępy stawały się coraz mniej liczne, ile z tem wszystkim, co mieniło się polskiem. Dyplomatyczna kampania, podniesiona przez większość państw europejskich, uważaną była, i słusznie, za rzecz już wówczas ukończoną. Rosya, którą w ciągu wiosennych miesięcy 1863 roku przechodziły dreszcze obaw wojny z koalicją Zachodu, w pierwszych tygodniach 1864 roku święciła w swej myśli tryumf zwycięstwa i kuła projekty zupełnej zagłady wszystkiego co polskie, z początku nad Niemnem, Słuczą, Horyniem, a później nad Wisłą i Prosną. Oryentowała się ona, jak pospolicie u niej bywa, szybko; widziała, że wszelkie tamy oddzielające ją od Zachodu, w postaci cienia Polski, znikają: odtąd może ciężać nieustannie swą groźną potęgą nad cywilizacją europejską.

Stanowczość chwili rozumiał Traugutt wybornie i postanowił przeto jąć się środków ostatecznych, wszystkie siły i środki kraju poruszyć, podstawę walki rozszerzyć. W pierwszych tygodniach 1864 r. opracował, a 27. stycznia rozesał dekret zwołujący do broni pospolite ruszenie... Krok ten, patrząc na wypadki po wielu latach, może być uważany za ostatni wysiłek, ostatni niejako strzał na wielkiem pobojuwisku: w umyśle Traugutta inaczej się przedstawiał.

Bój trwający przez zimę całą w Krakowskiem i Sandomierskiem, ożywiający się niekiedy na prawym brzegu Wisły, gdzie go podsycali gromadki pieche i konne litewskich powstańców, przechodzące podczas zimy z Grodzieńskiego, w którym już utrzymać się dłużej nie mogły, wskazał, że powstanie trwa, niestłumione. Z drugiej znowu strony, raporty komisarzy wojewódzkich dużo mówiły o dobrem usposobieniu ogółu mieszkańców; niekiedy, w niektórych województwach, narzekając na szlachtę, a natomiast podnosząc usposobienie, duch ludu wiejskiego lub na odwrót. Traugutt, opierając się na relacjach, których sprawdzić nie mógł na miejscu, patrzeć był zniewolony na stan kraju przez przyrnat owych sprawozdań, tak często mylnych. Ogólne wrażenie ze sprawozdań takim było, iż dyktator nie wahał się powołać massy do powszechnego powstania. Zważywszy, że je-

Dzień następny i później wszystkie, aż do ostatniego, szły zwykłą koleją znanych już jego prac, wychodzeń z domu dla odbierania raportów i dawania poleceń, i wreszcie nieukończenie długich nocnych czuwań, z piórem w dłoni, przy blasku lampy rzucającej do koła dość słabe, zielonym kloszem przyćmione światło... A potem wszystkim modlitwa długa, korna, w noc późną przeciągająca się.

Widocznie już w umysłach wielu, niegdyś gorliwych pracowników, święty znicz zapału gasł, a na popieliskach, tak niedawno jaskrawo płonącego ognia pokazywały się żuźle teoryj dziwnych, nic niemających wspólnego z walką, która jeszcze trwała, sroższa, cięższa, bo nie tylko z wrogiem lecz z mrozem i prywacyami.

Przykładem wymownym takich teoryj, które powstawały tam, gdzie ich najmniej można było spodziewać się, widziano marzenie, które około Bożego Narodzenia zawitało do szlachetnego umysłu Rafała Krajewskiego, wówczas stojącego już — i aż do końca — poza zakresem prac powstańczych. W przededniu wigilii Bożego Narodzenia przyszła mu myśl, iż dobrzeby było, aby mieszkańcy Warszawy, spotykając żołnierzy moskiewskich, dzielili się z nimi opłatkiem, mówiąc słowa miłości braterskiej. Marzenie to, świadczące o sercu jego przepelnionem miłością całej ludzkości, było tak bardzo dziwne a w ówczesnych szczególnie okolicznościach nader dziwne: rozumie się w czyn go nie zamieniono. Żaden z mieszkańców Warszawy nie poszedł na ulice miasta, by ścisnąć żołdaków, którzy, rozstawieni wzdłuż ulic, chwyтали przechodniów najspokojniejszych, i do cyrkułów prowadzili. Traugutt, gdy mu o tych marzeniach doniesiono, rzekł: „Chciałem go użyć do jakiejś roboty, widzę, że niepodobna“. I nie użył go odtąd do żadnej.

---

dzającym mówilem, czynność jego wcale nie przekraczała. A zresztą potrzeba być człowiekiem niemającym pojęcia, kim był Traugutt, by takimi bredniami wspomnienie o nim zapełniać. Traugutt i karty — to dwa pojęcia zbyt od siebie dalekie.

Nie zapominamy o odwołaniu i tej bajki, której żaden myślący człowiek nie da wiary, jedynie dla tego, że są u nas ludzie przywiązujący jakąś wagę do dzieła M. Berga, i w braku innych o powstaniu prac, z tej rosyjskiej, pełnej fałszu książki czerpią chętne swe wiadomości.

Nie rozeszła się... Owszem, wszystko brało taki kierunek, by ostateczne wyniki przynosiły nam szkodę nie pożytek.

Do szerszego wojny „rozejścia się“ po lądzie europejskim wcale nie przychodziło; owa pomoc, na którą zawsze w pewnej mierze dyktator liczył, acz jej nie pragnął — jak to wyżej wskazaliśmy — była w mniemaniu jego bliską: tak zapewne mniemał do marca, kiedy wzrok swój odwraca od rządów Zachodu, oddających nas na pastwę losu, a zwraca się ku siłom rewolucyjnym, z którymi wchodzi w przymierze. Owym siłom rewolucyjnym za sprzymierzeńca daje nasze powstanie oparte na pospolitem ruszeniu. Tę ewentualność właśnie w myśli swej miał zapewne, gdy w przytoczonym tylko co liście, mówiąc o konieczności szybkiego rozwinięcia ruchu, opartego na powszechnem rzuceniu się do broni, wyraża się w sposób tajemniczy: „Jest jeszcze jeden ważny bardzo powód, którego pismu powierzyć nie możemy, ale którego i sami mniej więcej domyślicie się, jeżeli do was wieści dochodzą o tem, co się w świecie dzieje“.

Tajemnicze te na pozór słowa tyczą się bez wątpienia usiłowań podejmowanych przez naszą dyplomację, aby nas uznano za stronę wojującą. Jednym z celniejszych warunków dojścia do celu było podniesienie powstania, rozszerzenie jego zakresu, wzmocnienie go co największe, o ile tylko możność pozwalała. Upadającym nie danoby moralnego poparcia, o które wówczas głównie chodziło. Pospolite ruszenie obrachowane było na to podniesienie powstania, w miesiącach rozpoczynających rok 1864 istniejącego, ale nie wzrastającego. Do poruszenia mas czyniono jedynie przygotowania, a samo podniesienie zbrojnych tłumów miało nastąpić w pewnym wskazanym czasie. Spotykała jednak ta myśl obojętność wśród wyższych funkcjonaryuszy powstania. Traugutt uskarżał się, iż zaledwie trzech komisarzy pojęło całą ważność i doniosłość tych rozporządzeń — inni nic nie czynili, lub, nagłeni, coś robili niby trochę. Brak ludzi, tak w tem przedsięwzięciu, jak w innych, udaremniał prace dyktatora, dążące w kierunku wskazania narodowi „własnej jego siły“ i temsamem usuwania myśli żebrania cudzej pomocy, cudzej łaski i polegania na niej. Myśli jego nie danem było urzeczywistnić się.

szcze w miesiąc po owym dekrete spotykano oddziały wojska narodowego, wynoszące po półtora tysiąca ludzi, że tworzyły się wciąż nowe oddziały powstańcze, poza kordonami — szczególnie poza pruskim — że sprawozdania niektórych komisarzy, przeważnie w styczniu, brzmiały w sposób zadowalniający, niepodobna dziwić się, iż Traugutt, który tak wielce wierzył w siły narodu, w moc i poświęcenie bezbrzeżne społeczeństwa, nie wahał się odwołać do mas, do tłumów i je zbroić, na ich przewagę, jako na siłę niczem nie przepartą licząc. Ze swych spraw, zarządzeń, poglądów i dróg, ktoremi prowadził nawę powstania, Traugutt przed nikim ruchunku nie zdawał, nie wywnętrzał się, nikogo o nic nie radził się w niczem; domagał się jeno posłuszeństwa zupełnego, karności i takowe zdobywał: przed Bosakiem wszakże, niekiedy poufnie wypowiada niejedno w swej z nim obszernej korespondencji. Otóż i sprawa pospolitego ruszenia, na którą wielu zapatrywało się jako na rzecz wcale nie na czasie, jeżeli nie szeroce omówioną, poruszoną tam została. Kilkanaście wierszy bardzo ciekawego komentarza, tycałego tej doniosłej sprawy, znajdujemy w liście dyktatora do Bosaka, pisanym w pierwszych dniach marca.

Wskazawszy w rzeczonym liście różne powody, składające do przyspieszenia terminu pospolitego ruszenia, powiada dyktator, iż skłania go do tego wreszcie i „konieczność wystąpienia podczas trwania wojny w Danii, aby przez to rzeczy w Europie jeszcze bardziej zawikłały się; bo Europa zobaczy — ciągnie on dalej — że zima nie tylko nas nie zmroziła, ani zapału nie odjęła, lecz przeciwnie, w zimie przygotowaliśmy siły, które z wiosną stokroć groźniej niż w roku zesłym występują... Z tego naturalny wniosek, że powstania naszego Moskwa nie stłumi; a że pokój Europy na gwałt potrzebny — więc konieczny rezultat, że trzeba naszym chęciom zadość uczynić, bo bez tego nietylko pokój nie będzie, ale wojna coraz szerzej rozejść się musi“...

Rozżarzająca się wówczas właśnie wojna duńska w umysłach najbardziej krytycznie na rzeczy patrzących budziła dużo nadziei: mniemano niemal powszechnie, że zawikłania europejskie wpłyną w sposób zbawienny na sprawę naszą, że wojna, jak Traugutt wyrażał się, „rozejdzie się szerzej“..

Szczekocinami (4. grudnia) i pod Bodzechowem (16. grudnia); pierwsze z tych spotkań, jeżeli nie było zupełnie szczęśliwym, przynajmniej odjęło nieprzyjacielowi chęć ścigania; drugie zaś — to porażka, i tem dotkliwsza, że ciągnący z pod Żuchowa, gdzie walczył, na odsiecz pod Bodzechów, szef sztabu Bosaka, pułkownik Zygmunt Chmieliński, od wielu miesięcy postrach wroga, ranny był wówczas i ujęty, a w kilka dni później stracony. Dla Bosaka osobiście, a głównie dla powstania południowych województw strata to niepowetowana. Dzielność pułkownika Chmielińskiego była długo postrachem Moskwy. W styczniu większych spotkań nie widziano, — mróz, nieproszony rozjemca, wprowadził kilkotygodniowy rozejm wśród walczących obozów — jednak kilka potyczek miało pewne znaczenie: majora And. Deniszewicza w okolicy Koniecpola, pod Rogaczewem i Szandora-Schroedera dwa starcia. Luty ożywił znowu działania powstańcze: bataliony Bosaka rozpoczęły działania zaczepne; i wśród ruchów zarówno zaczepnych, jak i odpornych, służyło im nawet nieco szczęścia.

Pod Iłżą Rembajło bije nieprzyjaciela, ściga go pierchającego w nieładzie na znacznej przestrzeni, prawie milowej. Niemniej i pod Kunowem Walter zwycięża i zmusza do ucieczki w popłochu. W tymże czasie (21. lutego) powtórna bitwę w Opatowie stoczono, pod dowództwem pułkownika Topora (Ludwika Zwierzdowskiego) gdzie jeszcze 1200 żołnierza piechoty wojsk narodowych stawało do boju, zdobywając szturmami miasto, a w niem parę koszar nieprzyjacielskich; zabierając jako trofea 150 karabinów, nie mało ładunków i innych materyałów. Losy ostateczne krwawego szturmowania Opatowa powszechnie znane: nieprzyjaciel w nader ciężkim boju — po sześciogodzinnej walce — wyparł powstańców z miasta, które bardzo ucierpiało. Zdobywano stopniowo dom po domie i broniono się w nich. Cofnęli się powstańcy, straciwszy 200 poległych i zaledwie kilkunastu rannych jeńców; a nazajutrz pułkownik Topór, schwytany przez Moskwę, na szubienicy, wśród zgłiszcz Opatowa, stracony został dnia 27. lutego 1864 r.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Ludw. Zwierzdowski, (Topór) rodem z Wilna, miał w chwili gdy go tracono w Opatowie lat około 38. Odbywał studia wojskowe

Do pospolitego ruszenia nigdzie nie przyszło, nawet w tych województwach, które zajęte były przez korpus II, t. j. przez wojska narodowe, zostające pod wodzą Bosaka; składały się na udaremnienie zamiarów różne przyczyny, wśród których ujęcie przez Moskali Traugutta odgrywało rolę wcale nie podrzędną. On był wszyskiem w ostatniem półroczu walki — on znika z widowni, wszystko w jednej chwili upada. Losy nawet owych, stosunkowo szczęśliwie, i bardzo długo trzymających się wojsk Bosaka, tak ściśle związane z istnieniem Traugutta, iż zaledwie siedem dni trwają one na widowni walki po jego uwięzieniu. Widocznie, iż siedem dni potrzeba było dla dojścia wiadomości groźnej o owem uwięzieniu ze stolicy do obozu generała Bosaka. . Wiadomość nadchodzi, i Bosak wnet opuszcza Królestwo Kongresowe: widzi bowiem, że duch ożywiający powstanie zniknął -- filar jedyny od dawna w proch rozsypującego się gmachu nadziei runął...

.....

Wojska Bosaka, wedle woli i wskazówek Traugutta, stawiane na stopie wojsk regularnych, tworząc przedniejszą siłę, przedłużając powstanie przez zimę do dni kwietniowych 1864 r., stoczyły od 15. listopada 1863 roku do 18. kwietnia 1864 r. oprócz drobnych utarczek i ścierań się podrzędnych, trzynaście większych bitew, wśród których porażek prawie nie spotykamy.

Wyliczymy je tu w porządku chronologicznym.

W listopadzie walczone pod Jeziorkiem, gdzie Bosak osobiscie dowodził a Moskalami Czengiery; skończyła się bitwa klęska. Moskale głosili, iż Bosak stanowczo rozbity, nigdy już swych sił nie zbierze i szeroco o tem się rozpisywali. Pod Ociesenkami (25. listopada) i pod Strojnowem (w grudniu) powstańcy staczali potyczki, również pod osobistem dowództwem Bosaka, i tyle przynajmniej nad przeważną liczbą nieprzyjaciela odnieśli korzyści, iż nie ośmielił się ich ściagać. Również w listopadzie pod Chmielnikiem zaszła bitwa, gdzie Bosak dowodził i zniósł nieprzyjaciela tak stanowczo, iż ten uciekł w nieładzie. Szczęśliwie napada Bosak na Opatów (w grudniu) wchodzi do miasta, zabiera kasę powiatową i jeńców moskiewskich. W tymże miesiącu potyka się on osobiscie dwukrotnie: pod

wojska polskiego, pod głównem naczelnictwem Bosaka, nie mogły pocieszać się nawet krwawą nadzieją, że ujawszy go stracą śmiercią okrutną na szubienicy, jak to uczynili z Toporem, Denisiewiczem, Szandorem i innymi oficerami powstania; istniał bowiem rozkaz z Petersburga przysłany, aby Bosaka w razie ujęcia nie badać, lecz wprost do Petersburga odesłać.

Teatr walk korpusu Bosaka był to teren srodze wypróbowany, w krwawych utarczkach: zanim on objął tam dowództwo, kilka tygodni w pierwszych miesiącach powstania, walczył w owych województwach (Krakowskiem i Sandomierskiem) Langiewicz; a od maja do września pułkownik Zygmunt Chmieliński, na tymże samym już obficie krwią użyzionym gruncie, stoczył jedenaście bitw, które jak Bosak wyrażał się, „najzaszczytniejszemi były przez cały ciąg powstania“.<sup>1)</sup>

1) Zygmunt Chmieliński, postać pełna zasług, rodem z Sandomierskiego, miał lat 28, wzrostu małego, niczem z powierzchowności nie wyróżniający się, kształcił się w korpusie kadetów, był oficerem w wojsku rosyjskiem i od kwietnia 1863 r. brał udział w powstaniu. Energia, męstwo, przytomność nmysłu w boju, wytrwałość, poświęcenie bezbrzeżne uczyniły zeń jeduego z celniejszych wodzów powstania styczniowego. O ile brat jego (Ignacy) zostawił na drodze różnych kno-wań pamięć smutną, o tyle pułkownik Zygmunt Chmieliński chlubnie zapisał swe imię w szeregu bojowników o niepodległość. Liczono na niego w szeregach opozycyi za dni dyktatury Tranguitta, ale srodze się zawiedziono. Pułk Chmieliński usunął z pogardą propozycyę kno-wań, gdyż pragnął walczyć nie ze swoimi, lecz z wrogiem. Próżność, doktrynerstwo, tak często wówczas wiodące na pokuszenie umysły ludzi z cywilnoy organizacyi i przynoszące tyle złego powstaniu, obcemi były temu prawemu synowi ojczyzny. Po licznych walkach, które do października prowadził na własną rękę, a później dwa miesiące poddany naczelnemu zwierzchnictwu Bosaka, a wszystkiemi temi bitwy namiętniwszy się w pamięci ówczesnych i potomnych, ciężko ranny, gdy na odsiecz Bosakowi pod Bodzechów dążył, został ujęty przez Moskali, d. 16 grudnia, i w przededniu Wigilii Bozego Narodzenia, 1863 r., w Radomiu, rozstrzelany. Dzielnym będąc dowódcą, cieszył się miłością żołnierzy, acz surowo niekiedy z nimi postępował. W jego oddziale, który zawsze do lepszych zaliczał się, i rzadko podawał tył przed wrogiem, istniała kompania, zwana starą gwardyą, dla swego męstwa; bezpośrednio jej przewodniczył młodszy znacznie od pułkow. Chmielińskiego waleczny Tylman, który poległ w zwycięskiej rozprawie pod Ocieszkami. Zgon pułk. Chmielińskiego ciosem wielkim był



15. marca, Rudowski, pod Blizinem, w Opoczyńskim, znosi w dwugodzinnej walce prawie do szczytu oddziałik (sotnię) Kubańskich kozaków: jedni polegli, inni spieszeni zostali, gdyż powstańcy zabrali im konie. Mały ten sukces można nazwać ostatnim odbłyskiem pomyślności w szeregach podległych Bosakowi.

Po raz ostatni widzimy Bosaka osobiście występującego do boju, w marcu pod Daniszewem, gdzie walczy z trzema kolumnami nieprzyjacielskimi, nacierającymi z trzech stron na jego słabe siły, pod dowództwem Assiejewa. Chociaż Bosak, wśród swych szeregów tam walczących, posiadał 250 ludzi prawie bez ładunków, zdołał jednak stawić czoło nieprzyjacielowi tak skutecznie, iż nie został rozbity, a dowódzca moskiewski, Assiejew, był przez swą zwierzchność wojskową pod sąd oddany, że nie poraził na głowę generała Bosaka. Władze wojskowe i cywilne moskiewskie, acz nader gniewne, że nie rozproszyły ostatecznie młodziutkich kadr

---

w akademii generalnego sztabu, w Petersburgu, i w wojsku rosyjskim posiadał stopień kapitana gen. sztabu. Na wieść o walce o niepodległość ojczyzny, opuszcza stanowisko w armii nieprzyjacielskiej, rukuje mu świetną karierę, spieszy do kraju i, jako dowódzca wojskowy województwa mohylowskiego, pod nazwą Topora, ze słabymi siłami napada na Horyhorki, zdobywa miasteczko; broń i efekta wojskowe nieprzyjaciela stają się jego trofeami, a znaczna część młodzieży, kształcącej się w tamecznej szkole agronomicznej, powiększa szczupłe szeregi powstańcze. Niemożność utrzymania powstania ponad górnym Dnieprem skłania Zwierzdowskiego do niesienia swych uzdolnień wojskowych i swego ramienia w innych okolicach Polski. Pod Bosakiem służył krótko, ale zostawił pamięć dobrą walecznego żołnierza, ukształconego oficera. Bosak powierzył mu dowództwo dywizji; lecz Traugutt niezbyt ufał Toporowi, jako człowiekowi, który łatwo mógł zejść na manowce doktryn, zaszczepionych przez agentów Mierostawskiego. Nie mamy dowodów, czy obawy w tym razie przesadnymi nie były; to jest tylko pewnem, że różni opozycyoniści trafiali w owym czasie z zagranicy do związków młodocianych armii naszej, chcąc ją żyć za narzędzie przewrotu w łonie wyższych sfer organizacyi. Nieprzyjaciel, stateczny w pastwieniu się, odmówił Toporowi kuli, do której miał prawo jako oficer, i której pod szubienicą domagał się: zamordowano go za pomocą stryczka. Topór, po swych działaniach w Mohylowskim, nim przybył w Krakowskie i Sandomierskie, bawił w Paryżu i pisał tam różne projekta powstania dotyczące się; i jakiś memoryał w sprawie Polski podał cesarzowi Napoleonowi.

czone zarządzenia do rąk Bosaka, pozostały zatem martwą literą, zabrakło możliwości do ich urzeczywistnienia: pozostały jedynie ponownem świadectwem, iż dyktatora nie opuszczało przekonanie, że tylko sprężysta dłoń żołnierza, władza o ile możność pozwala jednolita, zbawić może, a przynajmniej skuteczniej doprowadzić do celu. Zarządzenie to, spotykane w obszernym liście do Bosaka, wśród mnóstwa innych spraw uwag i zarządzeń, niczem ściśle nie umotywowane, a jedynie wypływające z sympaty i uznania, jakimi otacza dowódcę II korpusu, wskazówką dla nas poniekąd staje się, iż w razie pomyślnego, szerszego rozwoju wypadków, w razie posiadania, w szeregach zbrojnych, ludzi tej miary co Bosak, rozumiejący rdzeń zasad dyktatora, nie wahałby się dyktator powierzyć im władzę nieograniczoną na prowincyi, i temsamem podzielić cały kraj na wojskowe okręgi, ponad którymi on, żołnierz, posiadałby władzę najwyższą, dyktatorską, mającą moc tworzenia małych dyktatorów i ich usuwania.

Tak przypuszczając, zdaje się, zbliżamy się do prawdy, mniemając, iż Traugutt już w marcu swe zamiary o władzy wojskowej, silnej, ponad organizacją cywilną stojącej, wprowadzać w życie pragnął. Wspomniana odezwa do Bosaka była na tej drodze pierwszym krokiem.

Drugą doniosłą sprawą, która w owych czasach zaszła w gabinecie Traugutta, było zawarcie umów, a przynajmniej zwrót ku koalicji z przedstawicielami ówczesnych żywiołów rewolucyjnych w Europie; z żywiołami rewolucyjnymi Włoch i Węgier. Ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi, znikająca nadzieja czynnego poparcia naszej sprawy przez rządy, zniechwały go zwrócić się ku ludom i ku ich aspiracyom wyzwolenia się, z tego bądź owego ucisku.

O zamierzonym ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicyi wcześniej Traugutta zawiadomił Skorupka, agent dyplomatyczny polski w Wiedniu, który miał wskazane tam, w sposób półurzędowy, osobistość w ministerjum spraw zagran. do zasięgnięcia informacji. Kiedy taka wskazana osobistość oświadczyła, że dekret ogłaszający stan oblężenia ma naza jutrz być podpisany, powstańczy agent, jako na gorliwego dyplomate przystało, oświadczył swe ubolewanie i wyjazd ze stolicy po trzech dniach. Wcale nie niepokojony, trzy dni przesiadawszy jeszcze w stolicy naddunajskiej, gdzie

O walkach w południowych województwach, za dni dyktatury Traugutta nieco szerzej mówimy, bo one, trwając nieustannie — podczas całej ciężkiej zimy z r. 1863/64 — przynosząc nawet chwile powodzeń, były dla Dyktatora nie małą dźwignią, otuchą i pociechą zarazem, za dni coraz sroższego ucisku, coraz większego usuwania się gruntu z pod nóg.

Na tych kadrach Bosaka opierał on wiele nadziei i z nich pragnął wysnuć narzędzia dalszego działania; jak zaś z najwyższym uznaniem wyrażał się o młodej armii i jej naczelnym wodzu, mieliśmy tu możność wyżej zaznaczyć. Pozostał nawet ślad piśmienny, że w marcu 1864, udzielał takiej władzy dyktator Bosakowi, jakiej żaden dowódzca powstańczy, ani za dyktatury tajemnej, ani przedtem, za dni dawnych rządów, nie posiadał. Nadał mu bowiem władzę zwierzchnią nad organizacją cywilną dwóch województw — Sandomierskiego i Krakowskiego — odręcznym pismem, własną ręką skreślonym, bez żadnej oddzielnej nominacji. I temsamem na rzecz Bosaka zlał w pewnym terytoryalnym zakresie część swą dyktatorskiej władzy. Zastrzegał wprawdzie dyktator, że oprócz Bosaka, żaden z jego „podwładnych, jakiegobądź stopnia, żadnej władzy, ani prawa mieszania się do organizacji cywilnej niema“ — wszakże postanowienie to — gdyby miało czas i możność wejścia w życie i rozwinięcia się — zmieniałoby zasadniczo dotychczasowy ustrój organizacji. Na miesiąc przed uwięzieniem Traugutta, na pięć tygodni przed opuszczeniem przez Bosaka terenu walki, doszły rze-

---

i dla Bosaka, któremu on wiele pomagał. Ci dwaj wybitni dowódcy powstania, pracując razem, a zgodnie i pożytecznie, wzajemnie się uzupełniali.

Moskiewski żołnierz obawiał się imienia Chmielińskiego, szybkość i trafność jego pomysłów i obrotów rzucała popłoch często wśród nieprzyjaciół: żołnierz nieprzyjacielski nazywał go „czartem“, a starszyzna ceniła wielce, mówiąc, że gdyby powstanie więcej posiadało takich Chmielińskich wprędce groźnem stałoby się nieprzyjacielowi.

Wspomniani tu, Szandor i Denisiewicz, obaj powieszoni. Pierwszy z nich — Węgier — dowódzca małego szwadronu jazdy, pod Ostrowcem był rozbity, wzięty w niewolę, d. 12. marca, a nazajutrz na szubienicy w Wierzbniku stracony. Los drugiego najzpełniej podobny: o parę tygodni później, w następstwie ujęcia pod Wąchockiem, taką samą śmierć, również w Wierzbniku, poniósł.

nym prawie upadku nadziei pomocy rządów europejskich. W kwestyi tego sojuszu postępował, jak we wszystkim prawie, samodzielnie, nie radząc się nikogo. A jednak, w ostatniej chwili, nie wiemy, czy dla tego, że się zawahał, czy z innych pobudek, postanowił przeprowadzić w tej kwestyi dyskusyę ze swym dyrektorem wydziału spraw zagranicznych. Na pozór rzecz ta nie powinna była przedstawiać żadnej trudności; lecz w rzeczywistości już tak ciężkie wytworzyły się były (w marcu) warunki istnienia w Warszawie, że i konferencya zamierzona nie łatwo mogła przyjść do skutku. Do dyrektora spraw zagranicznych udawać się osobicie było mu trudno; prawie niepodobna. Dyrektora zaś sprowadzać do mieszkania swego, na Smolną, też narażało na niemały kłopot: na Smolną pospolicie dyrektorowie nie przychodzili; a ten, o którym mówimy (jak wskazano wyżej) pod tym jedynie warunkiem przyjął urząd i działał, że się z nim komunikowano przez sekretarza Rusi, a on sam nigdzie i nigdy nie miał się udawać.. Warunek rzeczony raz przyjęty, zachowywano ściśle; zastępując osobiste konferencye dyktatora komunikacyami pośrednimi przez osobę zaufaną: kilkakrotnie przeto w ciągu każdego tygodnia sekretarz Rusi przebiegał dużą przestrzeń, od Elektoralskiej prawie do Smolnej, przez całą niemal Warszawę, z depeszami i poleceniami, przebiegał pospolicie wieczorem, wśród dziesiątków, jeśli nie tłumnie stojących żołnierzy, używanych wówczas jako strażników policyjnych. Otóż i tym razem potrzeba było przebiec przestrzeń dużą i ominąć zwykły regulamin stosunków: nie rad ustnych bowiem, bądź piśmiennych wskazówek obecnie żądano, ale samego dyrektora. Powaga moralna dyktatora tak wielką była, a ta jedna godność moralna tak wielki posłuch wywoływała, że ani minuty nie wahał się ów mąż poważny, który i sternikiem wydziału, i samym wydziałem był — w nim się wszystko skupiało i on za wszystko i za wszystkich wystarczał — że w jednej chwili zamilknąć skrupułowemu różnym swym kazał, i podążył wnet na Smolną z tym, za pośrednictwem którego stosunek miał. Wieczór już spóźniony osiadł nad kończynami miasta w dniach co łączyły zimę z wiosną wczesną, w owym roku 1864, a jednak nie tak spóźniony, by trzymając się policyjnych przepisów, nie można było z latarką przebiec przez

już rzeczy poprawić nic nie mogło, opuścił swe stanowisko i o wszystkim raporta przesłał do Warszawy.

Traugutt, jak wszystkie klęski, tak i ogłoszenie stanu wyjątkowego w Galicyi powitał z niepospolitym spokojem. Mówił i pisał wielokrotnie do różnych, że to jest rzecz mniej groźna, niż sądzą: Galicya, z która, jak twierdził, „na nie-szczęście Kongresówka w tej walce sprzymierzyła się”, pomocą swą więcej złego niż dobrego przyniosła... „Gdyby mnie zapytano — mówił i pisał Traugutt — czy Galicya swym udziałem w powstaniu więcej pożytku lub też szkody przyniosła, po dojrzałym namyśle powiedziałbym, że więcej szkody, niż pożytku... i wcalebym się nie pomylił”... Tu zwykły był wylizywać wszystkie klęski, jakie z owej prowincyi na Kongresówkę spadły; poczynawszy od tego, że z małymi wyjątkami same wybiórki dawała w ludziach, aż do tego, że „w szeregach walczących za świętą sprawę zaszczepiła pod każdym względem jad zepsucia i najwyższej demoralizacji”. Ten pesymistyczny, w każdym razie zbyt może surowy pogląd, na udział Galicyi w wojnie ówczesnej, nie stanowił podstawy spokoju, z jakim dowiadywał się on o rygorach wielkich, zamykających wszelką pomoc Galicyi dla powstania. Nie. Spokój i wiara jego w lepsze jutro, a nawet w zupełne zwycięstwo powstania, więcej płynęły z głębokiej ufności w sprawiedliwość Najwyższego, niż z rozumowań, lub wyrachowań.

Przejęty głęboką wiarą w pomysłny rezultat walki, wymagał i od innych, by nie działali jedynie z pobudek posłuszeństwa, ale wiara ma dźwignią ich być... Tego rodzaju twierdzenia spotykano często w jego ustach, a niemniej w pismach, i różnych dokumentach, wychodzących z pod jego pióra. Klęski, tak wielkie nawet, jaką bezsprzecznie było ogłoszenie stanu oblężenia w Galicyi, nie zdołały ani na chwilę go zachwiać, strwożyć, zwątpienia ziarno rzucić do tej bohaterskiej, zaiste, duszy. „Bez Galicyi — rzekł on, po otrzymaniu wiadomości o stanie oblężenia, ogłoszonym w rzezczonej prowincyi — potrafiemy się obejść... Powstanie bez Galicyi, da Bóg nie upadnie”. Rzekł — i to przekonanie starał się wśród innych zaszczepiać.

Sojusz z rewolucyjnymi żywiołami ostatecznie postanowił zawrzeć już po owem ogłoszeniu oblężenia i po zupeł-

elektryzowała zwracające się ku swym sprawom powszednim ludy.

Zachodziły wszakże, za dni dyktatury Traugutta, takie zwroty niespodziewane w polityce wielkich mocarstw wobec naszej walki, iż należało spodziewać się więcej niż interwencji, bo uznania nas za stronę wojującą. Powiadam, „więcej niż interwencji“, sfery bowiem nasze dyplomatyczne, i sam Traugutt przedewszystkiem, uważali, że daleko pomyślniejszy obrót weźmie sprawa naszego wyzwolenia, jeżeli uznają nas za stronę wojującą, niż gdybyśmy mieli za współdziałem mocarstw Zachodu odzyskiwać wolność. W pierwszym razie, jako uznani za naród, który wywalcza swą niepodległość, mielibyśmy sprzymierzeńców, w drugim — jedynie protektorów. Pierwsi daliby nam siłę do odparcia wroga i nie krępowałiby w niczem działalności naszej; protektorowie zaś posługiwaliby się nami, i w końcu, zużywszy nas dla swych jedynie celów, opuściliby nas, jak niejednokrotnie czynili już tak z wyzwalającymi się narodami. Dla tego też nader słusznie jeden z naszych dyplomatów mawiał w Paryżu, w owym czasie: „Od powietrza, głodu i protektorów, uchowaj nas Panie...“

Polityczne sprawy tak się wreszcie składały, iż omal nie stanęliśmy w przededniu tej chwili moralnego tryumfu, iż mogliby o nas, jako o pożądanym sprzymierzeńcem, ubiegać się inne ludy. Za dni dyktatury Traugutta te promyki nadziei zabłyśły i — zagasły. Inicyatywa powstała w Anglii.

Jeszcze dnia 26. września 1863 r., na bankiecie w Blairgowie, lord John Russel miał mowę, w której oświadczył, iż Rosya, posiadając polskie ziemie, na mocy pewnych warunków, zapisanych w traktatach, obecnie przestaje być ich władczynią, gdyż nie dotrzymała zobowiązań, i bardzo trudno byłoby praw jej do Polski bronić, wobec pogwałcenia traktatów.

Myśl, rzucona publicznie przez angielskiego męża stanu, nie przebrzmiała: on ją rozwijał. Zapytał rządu francuzkiego, jakie są jego w tym względzie zapatrywania; na co minister ówczesny francuzki, Drouyn de Lhuys, odpowiedział, iż podziela najzupełniej zapatrywania Russela i przystąpić Francya gotowa do wspólnego działania. Zapytana Austria,

miasto, narażając się jednak na każdym kroku na pochwylenie przez zbirów rządu rosyjskiego. Przebiegli więc te dwie postacie z latarkami miasto, i po chwili, w pracowni Traugutta, słabo oświetlonej lampką z zieloną osłoną, odbyła się ta jedyna ministeryalna konferencja w mieszkaniu dyktatora.

Pośrednik stosunku tych ludzi pozostał dyskretnie w przyległym pokoju, wcale nieoświetlonym, licząc niecierpliwie minuty, dla konferujących w gabinecie dyktatora szybko upływające. Jedna sekunda opóźnienia mogła wywołać nader przykre, nawet groźne następstwa... Dziewiąta godzina wieczorna kładła wtedy kres całemu ruchowi w mieście: ani z latarką zapaloną, ani bez latarki, przepisy policyjne nie pozwalały po owej godzinie do miasta wychodzić. Miasto stawało się martwe; policja tylko, żandarmerya i bagnet żołdaka przesuwwały się przez puste ulice około domów szczelnie zamkniętych..

.....

Treść konferencji odbytej w gabinecie dyktatora pozostała na zawsze tajemnicą owych dwóch mężów pełnych poświęcenia dla ojczyzny. Są wszakże niektóre wskazówki do przypuszczeń, że dyrektor spraw zagranicznych zasadniczo przeciwnym był zamiarom dyktatora co do kwestyi owego sojuszu. Traugutt wszakże myśl swą przeprowadził.

Już wówczas powstanie przebyło cały cykl rozczarowań w zakresie stosunków i nadziei, pomocy, współczucia ludów i rządów Zachodu. I współczucie, i nader żywe zainteresowanie się ludów, i dyplomatyczna interwencja gabinetów z dziwną szybkością przebiegły cykl rozwoju: wzrastały od pierwszych dni wiosennych 1863 r., w ciągu lata i jesieni, a wreszcie ku jesieni bladły, niby kwiat polny zwarzone wczesnym mrozem; nikły, ginęły, a wśród ostrej zimy rozpoczynającej 1864 r. zginęły najzupełniej.. Świat tenżesam, który przed kilku miesiącami tak bardzo zajęty był wszystkim tyczącem się naszej walki rozpaczliwej z Moskwą, znużony ciągiem echem kilkunastomiesięcznego naszego boju bez żadnych poważnych a dodatnich następstw, znużony, acz z początku gorszący się echem klęsk i ucisków, i niedoli naszej, zapominać o nas zaczął na dobre. Mowa ces. Napoleona nie na długo obudziła to gasnące współczucie, nie na długo

otaczających biurach powstańczych, jak nieustanne dążenie do utrzymania powagi Rządu Narodowego, musiały pozostać słowem zamierającym na ustach dyktatora, owego jedyne go prawodawcy i rozkazodawcy narodu... Dni jego już były policzone... a w ostatnich zaś dniach swych rządów pozostał już tak osamotniony, że gdy mówimy, iż sam stał na wyłomie, nie używamy przenośni, ale odtwarzamy z całą prostotą a prawdą rzeczywisty stan rzeczy.

Moskwa od początku lutego posunęła się znacznie na drodze różnych odkryć w szeregach organizacyi, przetrzebionej niezmiernie, zarówno w stolicy jak na prowincyi. W pierwszych dniach lutego nader błahe aresztacye, dokonane na chybił trafił, wśród spokojnie przechadzających się po ulicach Warszawy przechodniów, wprowadziły moskiewskie komisye indagacyjne na te ścieżki, które już mogły bezpośrednio doprowadzić do sfer wyższych i najwyższych organizacyi. Hart ducha ludzi, którzy wówczas ujęci stanęli przed indagacyjnymi sądami wroga, okazał się słabym. Funkcyonaryusz z sekretaryatu stanu, Ławcewicz, później inni, zeznaniami swemi torowali komisynom drogę do coraz wyższych szczebli organizacyi. Aresztacye coraz bardziej stawały się częste, i coraz mocniejszą obręczą osaczały stanowisko dyktatora. On sam długo, bardzo długo, zdawał się być zabezpieczonym od brutalnej ręki wroga; tak przynajmniej sądzili jego najbliżsi i najtroskliwsi o niego. Nie zapominajmy wszakże, że dni niebezpieczeństw w owych czasach stały się rzeczą tak powszednią, tak zwyczajną, tak ludzie przyzwyczaili się do grozy klęsk, wiszących nieustannie nad ich głową, iż mało zwykle rozmyślali: czy los dziś, czy też jutro ich obali.

Wzmagające się aresztacye postawiły w konieczności opuszczenia Warszawy J. Janowskiego, wielomiesięcznego Sekretarza stanu, b. członka Rządu Narodowego w wielu dawnych kombinacyach, wcieloną tradycyę spraw i stosunków powstańczych, od epoki prac przygotowawczych, od lat przedwybuchowych aż do 1864 r. W pewien poranek marcowy już on zakołatał do mieszkania Traugutta w sukni duchownej, stosownie ucharakteryzowany, gotów do tajemnego opuszczenia miasta. Jeszcze czas krótki pokazywał się na chwilę na Smolnej — wreszcie znikł zupełnie.



odmownie odpowiedziała; ręki do sprawy zaprzeczenia praw Rosyi do Polski przyłożyć nie chciała — i nie przyłożyła, acz z zasada, wypowiedzianą przez angielskiego męża stanu, zgadzała się; tłumacząc się, iż na nią, jako na najbliższego sąsiada Rosyi, spadłoby całe brzemie zemsty. Wówczas John Russel, trwając w swej myśli, napisał notę do gabinetu rosyjskiego, zaprzeczającą praw Rossyi do Polski, a Francya upewniła, że byle Anglia wręczyła rzeczoną notę w Petersburgu, Księżę Montebello, poseł francuzki przy dworze rosyjskim, ma polecenie złożyć tam podobną notę.

Akcyą dyplomatyczną, chociaż załedwie w zawiązku, znaną stała się. Prusy, przez usta Bismarka, który dopiero na widowinę europejską występował, przemówiły bardzo stanowczo, oświadczając, że zaprzeczenie praw Rosyi do Polski pociągnąć może zaprzeczenie przez państwa niemieckie praw króla duńskiego do Holsztynu. Była to groźba brzemienne następstwami.

Przeraziła się Anglia śmiałego kroku swego i — cofnęła się... Kuryer gabinetowy, który już wiozł rzeczoną depeszę do Petersburga, w drodze był wstrzymany. Później już, w lutym 1864, Francya oświadczyła Anglii, że gotowa uznać nas za stronę wojującą John Rossel odrzekł, że Anglia tego nie robi, bo „powstanie polskie upada.“ To było ostatnie echo współczucia ludów i rządów dla naszej niedoli. Europa uroczyście a stanowczo odwróciła oblicze swe od chrześcijańskiego gladiatora, od narodu skapanego we krwi, walczącego długie miesiące bez broni, omdlewającego wśród nierównych zapasów.

Takim zarysowywał się stan rzeczy w dziedzinie dyplomacyi, gdy Traugutt, ściągawszy z pewnym wysiłkiem do swego gabinetu dyrektora spraw zagranicznych, oświadczył mu, że z żywiołami rewolucyjnymi sprzymierza się. Spotkał zapewne w swym ministrze opór, niemniej jednak sojusz spisano... Akt ten, zarówno jak dekret o pospolitem ruszeniu, jak stałe dążenie do wytworzenia armii regularnej — pod hasłem „bić i bijąc przerabiać rekruta na żołnierza“ — jak zarządzenia różne dane Bosakowi, jak nadanie mu władzy zwierzchniej wojskowej nad organizacją cywilną dwóch województw, jak inne czynności w różnych działach administracyi, jak ciągła puryfikacya urzędów w najbliższej dyktatora

kilkomiesięcznem<sup>1)</sup>. Oto każdy list z domu, a rzadkiemi one były, przynosi jakąś smutną a trwożną wieść o żonie i dwóch dziewczeczkach: wróg ich niepokoi, pozbawia dachu rodzicowej siedziby — przyszłość ich niepewna, sieroca... Wszystkie te smutki, wszystkie boleści ojca, patrzącego na sieroctwo, opuszczenie, rozpoczynającą się niedolę dzieci, za życia zniewolony był zeznawać, odczuwać; a odczuwało głęboko serce to składające siebie w ofierze, poświęcające wszystko dla ziemi rodzinnej.

Smutki osobiste, ukochania rodzinne, usuwał jednak gwałtownie w głąb zbołałej duszy, a przywdziewał szatę spokoju, bo myśl niczem niezamacona mogła snuć coraz to dłuższą i dłuższą nić trudu ciężkiego, zabiegów nieustannych.

Wróg tę nić przeciął...

## ROZDZIAŁ X.

Drugi i trzeci miesiąc 1864 roku — luty i marzec — to miesiące wzmagającej się liczby uwieńczeń i tryumfów moskiewskiej inkwizycji. Marcowe uwieńczenia różnorodnemi były bardzo; obok ludzi, którzy dla Moskwy byli zdobyczą pożądaną, mnóstwo było ujętych dla błahych zarzutów. Uwieńczenia mnożące się, i wzrastające do rozmiarów ogromnych sięgnęły przypadkiem do osób, lubo w organizacyi bez większego znaczenia, ale które osobiscie znały Traugutta; znały bardziej jako człowieka, mniej jako dyktatora; znały wszakże. I to było wystarczającym, by sytuację nazwać krytyczną. Stosunki te, raczej prywatne niż urzędowe, to — Karol Przybylski, brat Wacława, i Cezary Morawski, obaj lekarze, obaj duchy małe, przypadkiem wplątane do organizacyi.... Naród w owych czasach już zaczął okazywać niezinerne znużenie. Znikąd najmniejszej nadziei, każde jutro groźniejsze od smutnego wczoraj: piętrzące się klęski do koła.

---

<sup>1)</sup> Małutki syn Traugutta, najmłodszy z trojga jego dzieci, zmarły za dni tajemnej dyktatury ojca, był zarazem prawnikiem stryjecznym Tadeusza Kościuszki, zrodził się bowiem z Autoniny Kościuszkówny, wnuczki po bracie bohatera 1794 r.

Chociaż Traugutt mnóstwo rzeczy sam osobiście załatwiał, za wydziały pracował, układał minuty i je później sam przepisywał, niemniej wytworzyło zniknięcie Janowskiego szczerbę ogromną w szeregu najbliższych a tak bardzo nielicznych współpracowników dyktatora. Zastąpić taką znajomość ludzi, stosunków, taką tradycję długą — jaką posiadał Janowski — taką wprawę i umiejętność w załatwianiu szybkim spraw i oryentowaniu się w okolicznościach, z któremi się on zżył, nikt nie mógł, i niktby się nie targnął na sumienne jego zastąpienie.

Traugutt powierzył wprawdzie ten urząd Sekretarzowi Rusi, by razem, bodaj tymczasowo, dwie funkcje pełnił, i Sekretarz Rusi, z posłuszeństwa jedynie, przyjął to nowe brzemie, dodając je do różnych innych, dorywczycych swych funkcji, właściwie jednak sam dyktator znaczną część prac Sekretarza stanu wziął na siebie.

W innych krajach, i w innych warunkach, dyktator skupia około siebie całą władzę i cały blask wyjątkowego stanowiska — u nas, w owej epoce, skupiał jedynie wszystkie obowiązki, cały znój ciężki, całą odpowiedzialność, całą grozę pozycji i pracę za wszystkich.

Dni kończące marzec a rozpoczynające kwiecień, pamiętnego swemi klęskami 1864 r. patrzyły na najzupełniejsze zapracowywanie się Traugutta. Praca atoli nie zdawała się go nużyć, a spokój nie odstępywał, chociaż okoliczności wymownie wskazywały, że niebezpieczeństwo wisi nad jego głową na jednym włosku. Niemniej jednak nic się nie zmieniło, ani w trybie życia, ani w porządku dnia, ani w pogodzie jego umysłu. Trwóg osobistych on nigdy nie miał, ukochania rodzinne bardzo głęboko w swem sercu pogrzebał, acz one w nim zawsze górowały; dla świata, dla życia poza zakresem swych prac, swej izby, z której, jak wiemy, bez koniecznej potrzeby nie wychylał się — on oddawna nie istniał. Poświęcenie się jednej idei pochłonęło go zupełnie.

Bywały jednak chwile, iż myśl jego, niby zbudzona ze snu czarów, przypominała, że jest świat inny, ale to przebudzenie jakże bolesne wrażenia zwykle spowodowywały. Oto nadchodzi w pierwszych dniach lutego wiadomość o śmierci jedyne go syna, a zarazem jedyne go dziecięcia z drugiego małżeństwa. Tego syna pożegnał dziecięciem

władzom wskazywał na to indywiduum jako na niebezpieczne dla władz narodowych. Słabość wielka policyi naszej ówczesnej, coraz mniejsze posiadającej środki działania, udaremniła rzeczzone Waszkowskiego zamiary.

Były i inne koła, raczej kółka, przeważnie napływowe, w owych dniach w stolicy, nieprzyjazne tamtoczesnemu stanowi rzeczy, które dążyły do obalenia dyktatury tajemnej Traugutta, a ich minowania nie przyczyniły się, zaiste, do bezpieczeństwa dyktatora. O tych gościach nieproszonych mówi sam Traugutt, w liście pisanym do jednego z wodzów powstania, a mówi na trzynaste dni zaledwie przed końcem swej dyktatury: „Oto i obecnie — powiada on — bawi w Warszawie dwóch takich emisaryuszów opozycyi z zagranicy, o których czynnościach, miejscu schadzki i t. d. zaraz zostaliśmy zawiadomieni. Nie wiemy jeszcze jak się tam przyjdzie z nimi załatwić, należałoby choć jednego takiego łotra śmiercią ukarać, dla stanowczego odpędzenia im ochoty zagładania tutaj!... Przytoczone wyrazy, pełne stanowczości, stwierdzają, cośmy tu przed chwilą rzekli, że naczelnik miasta do przymusowych środków uciec się chciał, strwożony zachciankami nowych w stolicy knozań.

Porównyując niektóre drobne wypadki z dni ostatnich dyktatury, zestawiając je ze wskazówkami pochodzącymi z moskiewskiego obozu, które nigdzie nie zapisane, dochodzimy do przekonania, że Moskwa już posiadała w głównych zarysach wiadomości o Traugutta władzy w Warszawie, które uzupełnili i ze wszystkimi szczegółami podali wspomniani lekarze. Zeznania ich były obszerne i identyczne, lecz usposobienia i zachowanie się późniejsze owych ludzi różniły się znacznie. Karol Przybylski bardzo prędko stoczył się po tej pochyłości, na której stanął, i wpadł w otchłań nędzy moralnej — zerwał zupełnie ze społeczeństwem, stał się później Moskalem; gdy C. Morawski zachowywał się trochę inaczej, ani w komisji śledczej nie wpadał na drogę uzupełniania tego, co w chwili upadku ducha zeznał, jak to czynił K. Przybylski, ani też później zatwardziały w złem nie był: z więzienia starał się ostrzedz i Traugutta i M. D. o porobionych o nich zeznaniach obwiniających, sądząc, iż ocala

Wobec bezbrzeżnej niedoli, zalewającej kraj cały, wobec terroryzmu, srożącego się, i niemal codziennie wzmagającego się, nic dziwnego, że upadek ducha, przejawiający się w kraju, przejawiać się zaczął tem wybitniej w więzieniach. Stabsze umysły padły pierwsze, wzniecając popłoch wśród współwięźniów i w mieście, powiększając liczbę ofiar i tryumfy inkwizycyi moskiewskiej. Rząd najezdniczy wybornie rozumiał sytuację: instynktowo domyślał się, iż jest blizkim wielkich odkryć.

Karol Przybylski złożył pierwsze zeznania tyczące się Traugutta i M. D... sekretarza Rusi. Cez. Morawski wnet potem także same złożył zeznania. Zeznania te złożono d. 8. kwietnia, w piątek, czy też o dobę wcześniej.

Los dyktatora i los gasnącego powstania już od owej chwili uważać należało za rozstrzygnięty.

Zeznania Przybylskiego i Morawskiego nie były złożone w pierwszych dniach po ich uwięzieniu, ale w kilka tygodni. Są prawdopodobne przypuszczenia, iż komisya śledcza, a raczej naczelne władze rosyjskie, otrzymały co do Traugutta jakieś wskazówki jeszcze przed owemi zeznaniami. Wskazówki płynęły, bądź z różnych rozpraw zbyt głośnych, jakie toczono na bruku ówczesnego Krakowa, a były podsłuchane i przesłane przez licznych szpiegów moskiewskich, bądź też wśród chwastu, który na każdej ruinie szybko krzewi się, urosły jakieś pewniejsze wieści o miejscu pobytu Traugutta i przeszły drogami nam nie znanymi do wroga.

Faktem jest bowiem, iż z jednej strony w sferach policyjnych moskiewskich mówiono wówczas, iż pierwsze wskazówki otrzymali Moskale od kogoś przybyłego z zagranicy, a z drugiej strony wiemy, że na kilkanaście dni przed wyżej wskazanemi zeznaniami, owych uwięzionych lekarzy, policya powstańcza zaalarmowaną była przybyciem do Warszawy z zagranicy wspomnianego wyżej Jana Wer., posądzanego o coś więcej niż knowania opozycyjne. Energiczny naczelnik miasta, Waszkowski, chciał nawet, na kilka dni przed uwięzieniem Traugutta, w sposób gwałtowny pozbyć się tej dwuznacznej osobistości ze stolicy, tembardziej iż pewien wyższy urzędnik policyjny rządu najezdniczego, zestosunkowany z organizacją naszą, wyraźnie powstańczym

Słowa głosiły, że Traugutt i M. D... są wydani, mają się strzedz. Ostrzeżenie rzucono w formie omówienia; ale omówienie zrozumiałem się stało; dosłyszano — powóz pomknął wnet ze zwiększoną szybkością ku środkowi miasta.

W powozie siedzieli doktor A. Januszkiewicz z żoną. Tego rodzaju przejażdżki około więzienia, gdzie trzymano Morawskiego, odbywały się codziennie, w południowych godzinach. Więzień, o nich wiedząc, w ten sposób ostrzegał tych, którzy już w owym dniu byli przez niego wydani<sup>1)</sup>.

Ostrzeżenie w dobre ręce złożono; lecz, dla przyczyn nam nieznanych, do celu nie doszło. Ostrzegani nie dowiedzieli się o niem wcale. Również zagadkową jest rzeczą dla czego uwięzienie obwinionych, pospolicie co najspieszniej dokonywane, tym razem we dwie doby zaledwie nastąpiło.

\*

\*

\*

Gdy w indagacyjnych izbach „Pawiaka“ ważyły się losy życia dyktatora, w jego mieszkaniu gościł spokój zupełny; młody tylko domownik M. D..., zniewolony był coraz to szybciej załatwiać różne sprawy, polecenia w mieście i zarazem ze zdwojoną szybkością pisać to lub owo, co wypływało z nowego, danego mu urzędu sekretarza stanu. Brak najzupełniejszy ludzi, którymi możnaby się było wyręczyć, coraz dotkliwiej dawał się uczuć.

---

<sup>1)</sup> Dr. A. Januszkiewicz, w czasach gdy autouomia pod zarządem margrab. Wielopolskiego ustalać się zdawała w Królestwie, jednocześnie z W. Ks. Konstantym. przybył z Petersburga do Warszawy. Waparty na stosunkach, tworzących otoczenie W. Księcia, mniemał młody doktor, że wytworzy dla siebie drogę świetnej kariery. Powstanie pokrzyżowało jego plany; wszakże bywał niekiedy do zamku wzywany, jako lekarz; udzielał rad chorującej na oczy W. księżnej z domu Ks. Saksen Altenburg. Wywdzięczając się za rady, odczytywała mu ona niekiedy swe powiastki niemieckie, bardzo sentymentalne. Dr. Januszkiewicz później wszedł w bliższe stosunki z lekarzem Morawskim: rzecz dziwna, co tych ludzi mogło łączyć; pierwszy pod względem umysłowym stał znacznie wyżej. Niemniej stosunek tak się szybko ściśle nawiązał, że Januszkiewicz, aczkolwiek nader tchórzliwego usposobienia, nie wahał się codziennie odbywać przejażdżki pod więzieniem, w którym Morawskiego więziono.

się ucieczką, i wreszcie, miał przez życie całe wyrzuty sumienia<sup>1)</sup>.

.....

Dnia 8. kwietnia 1864 roku, w ową trzecią rocznicę pamiętnego zabijania tłumów spokojnych i bezbronnych przed zamkiem warszawskim, w godzinach popołudniowych, powóz elegancki, otwarty, a w nim młodzi państwo i młodzieniec na przednim siedzeniu, przesuwał się przed gmachem więzienia, który się wznosił przy ulicy Pawiej i ztąd nosił nazwę bardzo popularną w ówczesnej Warszawie „Pawiaka”. „Pawiak” był więzieniem kryminalnem, lecz za dni rozwielenia się terroryzmu, gdy cytadela i więzienie policyjne przy ratuszu zapełniono więźniami ze spraw politycznych, kryminalistów gdzieindziej przeniesiono. „Pawiak” zaś stał się więzieniem śledczem dla wszystkich posadzonych o współudział w sprawach powstania. Badani w owym więzieniu przez jedną z dwóch komisij śledczych, w oficynach tego gmachu zasiadających, — generała Rozwadowskiego i pułkownika Tuchołki — bardzo rzadko wracali do domów swych: wygnanie, roboty katorzne lub śmierć były ich zwykłym udziałem; szczególnie tych, którzy przez indagację Tuchołki przechodzili: generał Rozwadowski był nieco więcej ludzkim i form mniej brutalnych. „Pawiak” mieniono wówczas postrachem Warszawy i bardzo rzadko kto, bez prawdziwie nagłej potrzeby przechodził około tych czerwonych murów więziennych. Ulicy Pawiej unikano jak miejsca zapowietrzonego. Powóz przeto, i to stępo, przesuwany się około kraty, okalającej front gmachu, budził zdziwienie: osoby siedzące w powozie w okna frontowe więzienia wpatrywały się. Po chwili wychyliła się głowa z poza kraty okna górnego piętra i padły słowa tak wyraźnie i głośno wymówione, że je posłyszano w powozie.

<sup>1)</sup> W kilka lat po powstaniu C. Morawski zapragnął rehabilitacji. Jeździł do J. I. Kraszewskiego do Drezna, opowiadał mu swe smutne dzieje, usprawiedliwiał się, prosił o absolucję w formie ogłoszenia drukiem owej rehabilitacji. Rehabilitacji w druku nie dostał; a wyrzuty sumienia snąć go dręczyły; bo w chwilach gdy w Rosyi, gdzie wstyd swój ukrywał, spotkał kogo z dawnych znajomych, mawiał: „Nie każdemu danem jest wyjść z prób zwycięzko”. Umarł on w Charkowie, około roku 1889.

ni, że wszystko skończone. Nie — uważał ową chwilę za jedną z godzin ciężkich, za dzień przesilenia, po którym jeszcze pomyślność zabłyśnie.

• Wobec rozproszenia, ruiny, rozprzężenia stosunków, na Traugutta całe brzemie prac, brzemie wielkie, nad siły jednego człowieka, spadało. Cała zaś olbrzymia tak niedawno, tak skomplikowana machina rządowa, tak rojąca się ludźmi, w czerwcu i lipcu roku ubiegłego — tak ludźmi przeładowana nawet, schodziła teraz do rozmiarów maluczkich jakiegoś zarządu zawiązującego się spisku.

Wśród ruin, mąż wytrwałości, siły i cierpliwości bezbrzeżnej jeszcze miewał chwile tak niezziemskiego spokoju, takiej pogody myśli, jak młodzian, którego czoła nie dotknęły powiewy świata, którego świeżość uczuć nic jeszcze zamącić nie mogło...

Wiosna w owym roku wcześniej do Warszawy zawitała. Już 9. marca ciepło i tająnie wszędzie spotykano. Zdarzyło się, iż do kościoła w jednym z dni rozpoczynających Święta Zmartwychwstania Pańskiego szedł Traugutt nie sam, jak w pospolicie bywało, ale z sekretarzem Rusi. Kościołem do którego on co niedzielę i święta uczęszczał był kościół św. Aleksandra, parafialny, najbliższy. Szli w pewne ciche, pogodne południe drogą ustronną, wśród ogrodów, przez Smolną i Książęcą. Aż do ostatniej ulicy nigdzie ani domów, ani gwaru i życia miejskiego; powietrze łagodne, ciepłe, płynące z poza Wisły, z lasów Podlasia, z pól Mazowsza, kto wie, może z poza Bugu, z Litwy, uderzało o ich twarze falą obfitą. Traugutt wstrzymał swe kroki szybkie, zwrócił się ku Wiśle, podniósł głowę, jakby chciał zaczerpnąć powietrza pól rodzinnej Litwy, i rzekł do swego młodego towarzysza.

— „Co roku widzimy wiosnę, co roku piękność jej podziwiamy, a zawsze jest ona dla mnie czemś nowem, nieznanem, z radością witanem... Wiosna obecna jest stokroć piękniejsza, bardziej ożywcza, niż inne jej poprzedniczki...” Tu zwrócił się znowu ku domom i fabrykom Solca, poza którym Wisła, a za nią przestworza połączone z polami, przez które płynęły powiewy z Litwy — i twarz jego płonąła ogniem takiego zapалу niezziemskiego, takiej poezyi wzniosłej, iż ten, do którego mówiono, nie odważył się mu



Ten brak wszelkich sił, środków, sposobów niedawno tak licznych, w mieście ludnem, a jednak, jak się zdawało dla ówczesnych pracowników, niby zupełnie teraz wyludnionem, nakazywał uproszczenia różne wprowadzać w urządzeniach i manipulacjach administracyi organizacyjnej. Wydziały już prawie wszystkie zniknęły, oprócz wydziału wojny, który jeszcze istniał, acz w trudnych warunkach, oprócz skarbu, który gasł, oprócz wydziału spraw wewn. i spraw zagran., które skupiały się w osobach swych dyrektorów. Przynajmniej co do tego ostatniego wydziału rzecz się tak miała najliteralniej; a sprawy wewnętrzne, chociaż i sekretarza i referentów posiadały, lecz stosunek między nimi a ich dyrektorem luźnym był, z powodu różnych okoliczności, jeżeli nie żaden. „Expedytura“ biuro ważne, równorzędne prawie z wydziałami, będące długo pod sterem Romana Żulińskiego, wskutek jego uwięzienia w ciągu marca, także pustką prawie stało. Skarbowe sprawy, powierzone Tomaszowi Ilnickiemu, człowiekowi fachowemu w rzeczach finansowych, a przytem niemałego ogólnego wykształcenia — straciły swego szefa, uwięzionego na tydzień przed dyktatorem. Referenci tylko i sekretarze różnych wydziałów, jak grupa osady okrętowej z rozbitego statku, tu, ówdzie, szukała spokojnego dla swych prac przytułku. Zastępowano niektóre szczyrby na ważniejszych szczeblach, ale nie przynosiło to znacznego pożytku: wchodzili ludzie nowi, niedoświadczeni, nieobcy z manipulacją swych robót, z materiałem, który im do rąk dawano, wchodzili do biur ogołoconych z ludzi, a więc i z tradycyi; nie znali stosunków, nie mogli przeciętych nici prac nawiązać, bo najczęściej nikt nie został, ktoby co wskazał, wyjaśnił; o kierunku, środkach, pomocach, wskazówki bodaj ogólne dał. Padało wszystko dokoła, ku końcowi marca i w pierwszych dniach kwietnia, a ta garstka co pozostawała, powinna była nadludzkimi siły być obdarzoną, by chociaż w części gmach odbudować.

Traugutt i o tem nie wątpił, że się wszystko odbuduje: praca Penelopy oddawna udziałem jego była. Niewielu takich widziano, kto zdołałby okiem sięgnąć w głąb prac mrówczych Traugutta, przeniknąć je, zbadać i należycie ocenić, ile trudów, wysiłków szło na marne. I teraz przeto nie wątpił o przyszłości; nie powiedział, że to wysiłek osta-

W parę godzin później dla załatwienia czegoś ważnego M. D., udawszy się do T. Ilnickiego, już go nie zastał. Policya w nocy go zabrała. Ostatni ślad wydziału skarbu zniknął razem z Tomaszem Ilnickim z widowni wypadków...

.....

O pięć dni później, w sobotę, dnia 9. kwietnia, M. D... dłużej niż zwykle przebywał w pokoju dyktatora. Załatwiano bieżące interesa, tyżące się różnych gałęzi administracyi, i sekretaryatu stanu, poczem rozmowa, wszedłszy na tory powszednie, przeciągnęła się prawie ku północy; nic, zdawało się, bezpośrednio tym ludziom nie zagrażało. Pożegnali się uściskiem serdecznym i słowem „do widzenia“. Mieszka-  
jąc na tymże dziedzińcu, mógł M. D. o każdej chwili wcho-  
dzić, wychodzić i wracać do siebie, nie krępując się policyj-  
nemi przepisami i rygorami stanu oblężenia. Przed wyjściem oświadczył on dyktatorowi, że ma zamiar i potrzebę być jutro z rana u dyrektora spraw zagranicznych, zapytuje więc o polecenia. „Nie mam żadnych, uściskajcie go odemnie“. Ostatnie to były słowa Traugutta, które usłyszał odchodzący. Odchodząc na noc jedną, nie przypuszczał, że go odchodzi na zawsze, lubo noc każda owych czasów tragicznych, przy-  
chodziła zawsze brzemioną mnóstwem klęsk, niosła w głębi swych ciemności zawiązki nieszczęść na lata całe.

Dzień następny to niedziela, 10 kwietnia 1864 r.

Dziwnymi są tajemnice głębin ducha ludzkiego. Na dłuższą nieco chwilę przed niebezpieczeństwem przewidujemy je, przeczuwamy, widzimy prawie na jawie... lecz minuta, podczas której grom ma uderzyć, okryta pospolicie pogodnym obłokiem spokoju. M. D. w zadziwiający sposób przeczuł swe uwięzienie, ale na dwie doby nim ono nadeszło; w ostatniej nocy swej wolności o niebezpieczeństwie nie myślał. Przeczucie tak wyraźnie zarysowywało ową zbliżającą się chwilę, iż nie wahał się w jednej z wyższych klas szkół, w których wykładał, zamknąć popołudniową lekcję historyi pożegnaniem ukochanej szkolnej młodzieży. Powiedział im, że już ich nigdy nie zobaczy... i w istocie, nigdy go już nie zobaczyli.

Było to w dniu złożenia zeznań przez K. Przybylskiego i C. Morawskiego. Lecz o dobę później widzimy, iż czas rozwiązał wszelkie przeczucia; a nawet, gdyby jakie ich ślady

zakłócić chwili zachwytu, nie odważył się mu rzec: ta wiosna dla nas obu może już jest ostatnią...

Nie mówili tego sobie wyraźnie, ale w głębi ducha przecucia te istniały, górowały prawdopodobnie u nich obu. Prawie dzień każdy, każda godzina przynosiły nowe wiadomości, nowe ciosy, stwierdzające najsmutniejsze przypuszczenia... Z ust Traugutta ani jedno słowo zwątpienia nie wybiegło. Lecz do jego ucha wpadały już niekiedy z ust najpoważniejszych wyrazy głoszące, że koniec walki nadszedł.

On sam jednak milczał, jakby sądził, iż jedna, bliska już chwila wszystko zmieni, przekształci.

Dnia 4. kwietnia, w godzinach porannych, w pracowni dyktatora widziano trzy osoby rozmawiające. Był to dyktator — gospodarz mieszkania — Sekretarz Rusi M. D. i Dr. Dybek, dyrektor wydziału spraw wewnętrznych. Poufna pogadanka przeważnie, omawiała wypadki chwili i stan ogólny piętnastomiesięcznej walki. Najmłodszy wśród nich podniósł kwestyę, którą kilkakrotnie podnosił w swych z dyktatorem rozmowach, że gdy wszystko upada, gdy walka gaśnie — „nic nie pozostaje ludziom stojącym u steru organizacji, jeno ująć broń, udać się do jednego z powstańczych oddziałów i tam zginąć...” — „Jeszcze nie wszystko stracone...” szepnął bardzo cicho Traugutt, niby do siebie. Wówczas dr. Dybek który stał około okna, i wpatrywał się w rozległy widok na Solec i przestworza ginące poza Wisłą w głębinach horyzontu — wśród pól, gdzie obozował kiedyś Suwarów, dążąc do Pragi, gdzie toczono krwawy bój Grochowa — wyrzekł pamiętne słowa, które można mienić zamknięciem opowieści o krwawych latach stycziowego powstania. Mieliśmy listopadowe powstanie — szlacheckie; terazniejsze — mieszczańskie; to co na naszych grobach do walki stanie — chłopskiem będzie...” „I zwycięży...” dorzucił najmłodszy wśród nich. Zapanowała długa chwila milczenia, podczas której Traugutt pogrążył się w głęboką zadumę, a twarz Dybka oświecona blaskiem wiosennego słońca miała w sobie coś natchnionego...

Lekkie stuknięcie do drzwi wskazało, że jest nagły interes do załatwienia. Przez drzwi nieco uchylone dłoń p. Kirkorowej wsunęła depezę jakąś. I znowu rozpoczęły się dla dyktatora godziny codziennych a ciągłych prac.

u których już od dłuższego czasu dzwoniło. Nie było wątpliwości, iż naszli dom, by kogoś uwięzić.

Orszak zbrojny zapytał o lokal p. Michała Czarneckiego i tam wtargnął. Traugutt był w łóżku. Ujrawszy wchodzących, rzekł ze spokojem sobie właściwym... „to już“.

Tak... już wszystko runęło, już z poza osłony złudzeń stawała przed nim rzeczywistość straszna. nie dla niego — bo siebie od dawna poświęcił dla ojczyzny — ale straszna dla Polski wchodzącej do nowego cyklu cierpień; już stał przed nim kielich ofiary, przeznaczony do spełnienia — spełnił go tak wzniosłe jak wzniosłem a niezwykłym było to jego przejście przez ówczesną arenę dziejową.

.....  
Policja dokonała rewizji w jego lokalu, nie przechodząc do mieszkania Kirkorowej, i — nic nie znalazła podejrzanego; podobnie jak nic podejrzanego nie znaleziono przed kilkunastu godzinami w lokalu D.<sup>1)</sup>

Dziwiono się później w komisjach śledczych, jak już wyżej wspominałem, skromnemu urządzeniu lokalu dyktatora, dziwiono się szczupłym zasobom pieniężnym, znalezionym w jego biurku, które zaledwie dwieście rubli w złocie wynosiły, zapewne na jakąś ostateczną chwilę były przygotowane.

Około godziny 3 w nocy dyktator był zamknięty w celi dolnego piętra „Pawiaka“, oznaczonej Nr. 56 (podobno).

Nazajutrz przystąpiono do badań. Komisya śledcza, pod przewodnictwem pułkownika Tucholki, znanego z brutalnej srogości, badała go i prowadziła sprawy wszystkich w owych czasach ujętych, a do organizacji należących.

Stawiony przed komisją indagacyjną, pod imieniem M. Czarneckiego, spotkał tam w pierwszej chwili zarzut, że nie jest Czarneckim, ale b. pułkownikiem armii rosyjskiej, Ro-

<sup>1)</sup> Chociaż Jannszkiewicz wezwani, jak to wyżej wskazano, nie ostrzegli ani Trangutta, ani też D., niemniej zwlekanie aresztowania Traugutta, więcej niż o dobę, co nie było w ówczesnym porządku rzeczy, jest dziełem niektórych organów policyjnych, policyi rosyjskiej, które mając w swem łonie Polaków, w ten sposób chciały ułatwić ucieczkę tym, co do ostatniej chwili na posterunku stać pragnęli i stali.

istniały, to świt poranny, 10. kwietnia, rozproszyły i ową resztę niewesołych przewidywań. Świt i poranek nadeszły wśród zupełnego spokoju. Dopiero około godziny 7. rano zakłatała policja do niskich izdebek oficynki, którą M. D. zamieszkiwał. Zabrano go. Krótka rewizja i wybór były dziełem jednej chwili.

Opuszczając dziedziniec, M. D. rzucił okiem na główne domostwo, i z niemąłą pociechą nie zobaczył tam, ani policyi, ani żandarmeryi, cisza otaczała siedzibę dyktatora... Ocalony!... pomyślał radośnie i z lekkim sercem wskoczył do dorożki, która go powiozła na „Pawiak“. Tam, zamknięty pod Nr. 44, dolnego piętra, doznał uczucia zupełnego spokoju. Po wzruszeniach całorocznych, po wysiłkach, i fizycznych i moralnych ostatniego półrocza, znalazł, wreszcie, bodaj dla ciała znużonego dzień wypoczynku. Rzucił się na twarde łoże więzienne i zasnął spokojnym snem młodości. Zasypiając, marzył jeszcze, jak to szczęśliwie, iż Traugutt ocalony. To marzenie, że wśród tak licznych aresztowań Traugutt ocalony, nie tylko ukołysało go do snu, ale stało mu towarzyszyć podczas pierwszych dwóch tygodni więzienia.

.....

Traugutt cały ten dzień niedzielny spędził smutny i zaniepokojony. Parę razy mówił Kirkorowej, iż uwięzienie M. D. dotknęło go bardzo, przywiązał się bowiem szczerze do niego. Nie mówił tylko kobiecie, niewtajemniczonej w bieg sprawy, że strata tego współpracownika i wielomiesięcznego domownika, wśród ówczesnych okoliczności, ciósem była prawdziwym: przecięte miał on w ten sposób najzupełniej nici wszelkich stosunków z wielu; a osamotnienie jego stało się odtąd wstrzymującym znaczną część działalności.

Nie wiemy jak długo czuwał Traugutt wieczorem w dniu tym, gdy smutnemi myślami był przygnębiony, który to dzień stać się miał ostatnim dniem jego dyktatury, ale wiemy, iż o godzinie 1. w nocy posłyszał bardzo głośne, natarczywe dzwonicie... Udał się do pokoju środkowego i zakłatał mocno do drzwi Kirkorowej, mówiąc: „Po panią przysła policja“...

Przeżrana kobieta, nie tracąca wszakże nigdy panowania nad sobą, pospieszyła odemknąć drzwi główne,

i zamknięto w prawym skrzydle gmachu, w celce oznaczonej Nr. 20. Z tej celi, której wysoko umieszczone, zamalowane okno wychodzi na malutki ogródek, nigdzie go już nie przenoszono; z niej poszedł na śmierć.

Dnia 4. czerwca Traugutt i inni do tego procesu włączeni, a włączeni stosownie do dowolnych kombinacyj komisji śledczej, bez względu czy znali Traugutta, czy o nim kiedykolwiek słyszeli, bądź nie, pojedynczo byli wzywani i stawiani przed sądem wojennym, który krótko z nimi rzecz załatwiał: oświadczał, że są pod sąd wojenny oddani i odsyłał do celek więziennych.

Maj, czerwiec, lipiec upłynęły, sierpień rozpoczął swe dnię pogodne, a los Traugutta wciąż był nierozstrzygnięty. Trzymano go samotnego w celce, i na chwilowe przechadzki wychodził również sam. Takiemu też obostrzeniu, jak i Traugutt, wciąż czterech miesięcy więzienia ulegali Dr. Dybek i M. D. Żaden z tych trzech więźniów nie mógł z nikim się widzieć przez cały czas pobytu na „Pawiaku” i w cytadeli. Żona Traugutta pragnęła przybyć z Litwy do Warszawy, by męża odwiedzić, lecz gubernator grodzieński zabronił jej wydać paszportu.

System obostrzeń, co do owych trzech więźniów, trwał aż do końca; dla Dybka wcześniej się skończył niż dla innych: uznano go za obłąkanego, wzięto do szpitala, gdzie bardzo długo trzymany, doczekał się czasów stosunkowo mniejszego terroryzmu, a wreszcie wyrobiono mu wyrok znacznie łżejszy: wrzekomo chory umyślowo wyjechał na mieszkanie do głębi Rosyi; kilka lat przebył tam w zdrowiu dobrem fizycznie, ale moralnie zgnębiony. Postać ta poważna, pełna światła, szlachetności, uczuć i poświęcenia, zgasła w kraju, około r. 1883.

Najniespodzianie, na dwa tygodnie przed zgonem, Traugutt, który w więzieniu czas spędzał na modlitwie rozmyślaniu i czytaniu nielicznych książek, z miasta przysyłanych, zdobył jeszcze jedno roztargnienie, wśród długich dni niewoli.

20. lipca, do celi, oznaczonej Nr. 7., umieszczonej w środkowej części gmachu, którą od przybycia z więzienia śledczego zamieszkiwał M. D., przybyli żandarmi i przenieśli więźnia do celi w prawym skrzydle budynku, noszącej na-

mualdem Trauguttem. Zarzut wyszedł z ust jednego z członków komisji, pułk. saperów Żdanowicza, który znał Traugutta dawniej, w wojsku rosyjskim, obecnie zaś poznał, i chlubił się potem wciąż z owego zdemaskowania, jako z czynu bohaterskiego. Traugutt nie zaprzeczył; owszem, oświadczył kim jest i jakie stanowisko w ostatnim półroczu w Polsce walczącej zajmował. Dla inkwizytorów nie było to niespodzianką; aresztując go wiedziano kogo biorą. Przez wspomnianych dwóch lekarzy, jeżeli nie wcześniej, przez jakieś siły niewidzialne, zdemaskowanym on już był.

Około czterdziestu dni trzymano Traugutta w więzieniu śledczym, w tak zwanem „Pawiaku“ i mniemam, o niewiele lepiej z nim obchodzono się, niż z innymi wówczas tam więzionymi. Chociaż istnieje legenda, że wróg go wyróżniał wśród więźniów, że mu oszczędzał niejednego udarcenia, faktem jest atoli, iż w ostatnich dniach kwietnia i pierwszych maja, gdy śnieg okrył na dobę, czy dłużej ziemię, i zimno dotkliwe czuć się dało, po dniach wczesnej bardzo i ciepłej wiosny, trzymano go jak wielu innych, w podziemiach „Pawiaka“. W niewielkiej odległości były od siebie piwnice, gdzie trzymano Traugutta, Dr. Dybka, Kirkorową, M. D.<sup>1)</sup>

Dnia 7 maja więźniów, którzy mieli jakiś, bodaj odległy stosunek z wydziałami Rządu Nar. — a wszyscy oni przez komisją śledczą zostali zaliczeni do wielkiego procesu Traugutta — przewieziono w rannych godzinach z „Pawiaka“ do cytadeli. Wieziono ich po dwóch, po trzech, i w większej liczbie, w furgonach zakrytych, a jedynie Traugutt oddzielnie był wieziony.

Umieszczono go w tak zwanym „X. pawilonie“ — więzieniu przeznaczonem od wielu lat dla politycznych więźniów;

---

<sup>1)</sup> Wpędce po uwięzieniu Traugutta, uwięziono Kirkorową. później jej przeszło siedemdziesięcioletnią matkę, która, nie mając gdzie zostawić 6-letniego wnuka, wzięła go z sobą na „pawiak“, i wreszcie całą służbę z domostwa na Smoluej zabrano. Służba, parę miesięcy trzymana w więzieniu, bita, poniewierana, żadnych wskazówek nie dostarczyła dla inkwizytorów.

Dr. Dybek był uwięziony również, i srodze, w sposób wyjątkowy, w więzieniu trzymany. Legenda, krążąca wtedy po Warszawie, iż on w sali indygnacyjnej prezesa komisji, Tucholkę, czynnie zniewazył — mylną jest najzupełniej.

z książki do nabożeństwa, później czytanie, lepienie z chleba, przechadzka, i znowu poranne zajęcia, a wiec zorem niemniej długa modlitwa... Na kilka dni przed zgonem Traugutta, M. D. otrzymał na śniadanie kawał czegoś owiniętego w papier zadrukowany: był to dziennik urzędowy. Więzień z niezwykłą skwapliwością zaczął odczytywać przypadkowo spotkany kawał gazety, i dowiedział się z niej o różnych usiłowaniach wytworzenia przez tych i innych jakiegoś nowego rządu, na ruinach powstania i wśród obalonej organizacji. Rzecz przedstawioną była w sposób nieco ironiczny w gazecie urzędowej rządu rosyjskiego.

Więzień nie zaniedbał o tem za pomocą pukania zatelegrafować do sąsiada, dla którego pierwsza to i ostatnia była wiadomość ze świata. Ale wiadomość — jak łatwo można się domyślać — zrobiła na Traugucie przykre wrażenie; bo też w istocie widowisko nader smutne oczom ówczesnym przedstawiało się — owo ubieganie się o strzępy płaszcza władzy, już pozbawionej racyi bytu: powstanie bowiem zupełnie zagasło.

Traugutt ze smutkiem rzucił o mur parę pukań podziwu... i smutku.. O ile z rozmów za pomocą pukania, dorywczych, nie wprawną ręką często prowadzonych, wnosić można było, Traugutta łudził generał Lebediew, wizytator więzień, iż wyrok jego nie będzie wyższym nad ciężkie roboty, do innych znacznie niższy stopień kar będzie zastosowany. Więźniowie wszakże, ci przynajmniej, którzy zamieszkiwali celkę 20 i 19, nie łudzili się zapewnieniami uśmiechniętego i zawsze eleganckiego Lebediewa, który kilka razy odwiedzał Traugutta, parę razy Nr. 19., i Trauguttowi składał zapewnienia swej wielkiej czci i gotowości do wszelkich usług. Z tych zapewnień nic się nie urzeczywistniło: wizyty prawdopodobnie miały na celu jakieś dodatkowe wybadywania więźnia. Pozostały, rozumie się, zabiegi te, jak i inne, bez pożądaných dla Moskwy owoców.

Pozbawiono Traugutta wszelkiej możności posiadania wiadomości o rodzinie, o najbliższych, do których tak gorąco był przywiązany. Żonie, jak rzekliśmy przed chwilą, władze moskiewskie na Litwie odmówiły paszportu do Warszawy, ale na jej prośbę, zaniesioną do komisyj i sądów wojennych w Warszawie, pozwoliły te ostatnie, aby Traugutt napisał



zwę Nr. 19. D... zdziwił się mocno, i nie mógł sobie wytłumaczyć celu przenosin. Traf zdarzył, iż, podczas obiadu, na talerzu ołowianym przeczytał on napis: „gdzie mieszka Traugutt?... a tuż przytem, niby odpowiedź, nakreślony Nr. 20. Dla więźnia odkrycie to było ogromnego znaczenia. On mieszkał pod Nr. 19., a więc sąsiednia cela, tuż za ścianą, nosi zapewne nazwę 20-tej i jest celą Traugutta. Tak było rzeczywiście; obie te celki oddzielone od siebie niezbyt grubą ścianą, izolowane były najzupełniej od innych celi, po drugiej stronie korytarza położonych. D., chociaż niechętnie zwykle za pomocą pukania odpowiadał swym dawnym sąsiadom z Nr. 7., tym razem sam rozpoczął ową więzienną komunikację telegraficzną. Nie posiadał wprawy w pukaniu, jednak wytworzył za pomocą pukania pytanie: „Kto tam?“ Odpowiedziano: „Traugutt“. Od owej chwili M. D. codziennie z sąsiadem zamieniał kilka zdań drogą więziennego telegrafu. Ani dłuższych, ani częstszych rozmów niepodobna było prowadzić: żandarmeryja zaglądała do okienka to jednej, to drugiej celki; a wreszcie może to ułatwienie komunikacji było zasadzką komisji.

Z rozmów tych jednak dowiedział się D., że K. Przybylski i C. Morawski, chociaż stawiali do zeznań osobistych przed Trauguttem, skruszeni jego słowami, upadli mu do nóg i prosili przebaczenia. Skrucha ta wszakże trwała, nie była: ciż sami, stawiani do osobistej konfrontacji z innymi, brnęli w złem: i jeżeli niekiedy Morawski wahajaco się mówił, K. Przybylski zawsze z brawurą, z pewnego rodzaju zapamiętem, wypowiadał wszystko co wiedział, a wreszcie i to, o czem nie wiedział dokładnie, a tylko domyślał się pewnych faktów, lub zamiarów.

Z rozmów za pomocą pukania korzystać nie często mógł D... w ciągu dnia i z tego jeszcze powodu, że dyktator długie godziny z rana poświęcał modlitwie, a zresztą więźniowie, acz o tem z sobą nie mówili, podejrzewali zdaje się obaj, iż w ułatwieniu komunikowania się, ukrywa się dłoń zdradziecka komisji śledczej, która, z abecadłem więziennem obeznana, mogła podsłuchiwać owego pukania; używali więc rzadko tej możności i o rzeczach zwykle obojętnych mówili. Widocznie, że i w więzieniu miał Traugutt stały porządek dnia, poza który nigdy nie przekraczał. Modlitwa

Ledwie dla własnych potrzeb wystarcza uczucie,  
Przestano cześć oddawać żalobnym pamiątkom,  
I brakło chleba twoim sierocym dziewczątkom

Traugucie !...

Zbytecznem dodawać, iż ten prawdziwie chrześcijański rycerz, w uczuciach religijnych czerpiąc moc, zaleca je żonie jako źródło ożywcze... „Nie zapominajmy, pisze on w tymże liście, że Bóg, chociaż i o szczęściu naszym doczesnem pamięta, przedewszystkiem ma na celu szczęście nasze wieczne, do którego nas stworzył i przeznaczył.. Taką to jedynie pociechę przesyłam Ci..., gdyż to tylko człowiekowi w największem nieszczęściu i strapieniu prawdziwą być może, z tego samego źródła i ja czerpię moc i ochłodę“...

4. sierpnia — a był to czwartek, dzień pogodny, ciepły, tak bardzo słoneczny, iż zdawało się, mógłby rozniecić nadzieję nawet w sercach samotnych więźniów — około godz. 10. z rana, M. D. był wyprowadzony na chwilową przechadzkę. Przechodząc około jakiegoś drewnianego przepierzchnia w korytarzach więziennych, posłyszał głos donośny: „Czego się przechadzasz? Wracaj do swej celi; pięciu kapucynów przybyło, zapewne jeden dla ciebie“. Głos to był Jarosława Dąbrowskiego, którzy, od roku przebywając w więzieniu cytadeli, wybornie obeznał się ze wszystkimi sposobami komunikowania się z więźniami i nieustannie przekraczał przepisy więzienne. Ostrzeżenie rzucone przez osobę, której się nawet nie widziało, nie pozostawało bez zwrócenia uwagi. Więzień wrócił do swej celi i wnet zatelegrafował do Traugutta... Odpowiedź brzmiała: „Mam księżdzka“. Kiedy po paru godzinach z Nr. 19. do 20. znowu zakołatano, odpowiedź po dłuższej chwili nadeszła: „Modłę się“.

Dobę całą spędził więzień z 19 numeru u muru oddzielającego od celi Traugutta, oczekując, ażali pukanie nie wydzwoni chociaż jednego słowa. Godziny jednak upływały i najmniejszy szmer z poza ściany nie dobiegał. Więzień czekał dzień cały, czekał noc całą, nie udając się wcale na spoczynek. Cekał i modlił się wśród nocnej ciszy... Ciszy nic nie przerywało...

Straż tylko, żandarmi, odemknawszy zupełnie okienko znajdujące się we drzwiach celi, wciąż się wpatrywali w wię-

do rodziny. Skorzystał on wnet z pozwolenia, działa się to 27. czerwca i spodziewał się odpowiedź prędką otrzymać. Odpowiedź od żony nadeszła natychmiast, ale oddano ją Trauguttowi dopiero na dwa dni przed zgonem.. Niestety, dzono mu ani jednej kropli z cierpień moralnych, acz pozornie otaczano go szacunkiem, i rosyjscy pisarze i dziennikarze pisali o nim z wysokim uznaniem. Był to jedyny list pisany z więzienia do rodziny; przed śmiercią bowiem już nie nakreślił ani słowa. W rzeczonym liście, pisanym na pięć, czy nieco więcej tygodni przed zgonem, uwidocznia się pewność, że będzie stracony; wyraźnie o tem nie mówi, ale daje parę wskazówek dotyczących się wychowania dzieci, t. j. dwóch córeczek, które zostawiał. Wskazawszy, iż chociaż pragnie, by „najlepsze wychowanie naukowe odebrały“, głównie zaleca zwracać uwagę na ukształcenie ich moralne. Pragnie, aby matka (a była to, jak wiemy, matka przybrana) nigdy się z jego dziewczkami nie rozstawiała, pisze więc:

„Cokolwiek bądź ze mną się stanie, nieskończone dzięki składam codziennie Bogu, że dziatki pod bacznem okiem i czułą opieką takiej matki, jak Ty, będą wzrastać w łasce u Boga i u ludzi; tylko ich z pod swego oka nie usuwaj dla jakich próżnych widoków świetnego wychowania... tak więc bądźcie zawsze razem, gdzie Ty tam i one, gdzie one tam i Ty“. Stawiać na najwyższym piedestału moralne przymioty, tak się dalej wyraża, mówiąc o wychowaniu córek: „Prawdziwa poczciwość musi zawsze iść w parze ze zdrowym rozsądkiem, to jest dla człowieka bardzo wystarczającym i koniecznie potrzebnem“. „Zamiłowanie porządku i czystości wpajaj najinocniej w dziatki... niech się to stanie ich nałogiem; powinno to być zewnętrznym odbiciem porządku moralnego i czystości duszy... Dwa te przymioty, któremi tak się odznaczała, znana ci dobrze ś. p. Babka moja, a które we mnie wszczepiła, nawet tu, w więzieniu, są wielce pożyteczne“.

Tak więc myśl o dzieciach, ich przyszłości, obecna wciąż myśli Traugutta: zapewne od tej myśli dalekie było wówczas przypuszczenie, iż o jego dziewczkach społeczeństwo zapomni, iż autor „Skarg Jeremiego“, w kilka lat po jego zgonie, nakreślił te pełne prawdy wyrazy:

święcenia ludzie, ale wiemy z tego co na kartach niniejszego wspomnienia powiedziano — a powiedziano jako świadectwo naoczego świadka złożone prawdzie — że członkiem Rządu Narodowego żaden z nich nigdy nie był, tembardziej za dni dyktatury tajemnej Traugutta. Niemniej jednak każdy z nich, dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, pełnił jakąś funkcję w organizacyi powstańczej, a nawet niektórzy z nich, jak Rafał Krajewski, byli ludźmi wpływu na bieg spraw, w sferach wyższych organizacyi.

Moskwa, która z nici fałszu tka dziejowe obrazy, i tym razem ujęła toż samo kłamstwa narzędzie dla przekonania świata, że cały Rząd Nar. w jej pętach, że skazała na zagładę wszystkich, a więc wszystko stracone.

Wybrano do stracenia pięć ofiar; bo Moskwa, lubująca się w symbolistycę, pod tą liczbą rozumiała zarówno owych pięciu, zasiadających w każdym składzie zbiorowego Rządu Nar., jak i pięć ofiar zamordowanych przez nią na bruku warszawskim (27. lutego 1861), których zgon i pogrzeb wspaniały, jednoczący wszystkie warstwy narodu, (2. marca 1861) stał się jutrzeńką okresu demonstracyjnego owej rewolucyi moralnej, co wstrząsnęła znaczną częścią Polski ówczesnej.

Władze najezdnicze, pragnąc pokazać swemu rządowi w Petersburgu, że wszystko co składało wyższe szczeble organizacyi powstańczej wykryto i uwięziono, by nadać powszechny rozgłos temu i zdobyć największą ilość nagród, chciały powiesić siedmiu, z liczby wówczas w więzieniu trzymanyh. Namiestnik Berg, widząc się w lipcu z carem, wracającym z Kisingen, w Ejdkunach, na pruskiej granicy, przedstawił mu sprawozdanie z uśmierzenia powstania, z wykrycia całego szematu organizacyi, i wreszcie, wyrok na Rząd Narodowy ferowany. Car wówczas miał się wyrazić, że dość będzie pięciu powiesić. Zastosowano się do woli monarchy i postanowiono wybrać z siedmiu — pięciu. Wybór był dowolny. Postanowiono stracić nieodwołalnie Traugutta; kto zaś towarzyszyć mu ma w męczeńskim zgonie obojętną stało się rzeczą. Wyboru dopełniał przeważnie generał Taranow, prezes audytoryatu, instancyi pośredniej w zakresie sądów wojennych, instancyi stojącej między sądem wojennym a Namiestnikiem.

źnia, jak gdyby chcieli zbadać, co się dzieje w jego zbolalej duszy..

Powoli upływały godziny dnia, a jeszcze wolniej biegly godziny nocy; jutrzienka, zwiastun dnia strasznego, owego 5. sierpnia, weszła do celi więźnia i zastało go w tejże pozycyi w jakiej zostawiło zachodzące słońce. Ciszę z poza muru nic nie przerywało... Aż wreszcie, około godziny ósmej z rana, szybko wydzwoniło pukanie jeden wyraz... wyraz ostatni: „do widzenia“...

Po chwili rozległ się szcęk broni, i przyspieszone ciężkie kroki wielu dały się słyszeć u drzwi celki oznaczonej Nr. 19. Tłum zbrojny szybko przeszedł i echo przejścia wprędce umilkło w głębi budynku... Traugutt to szedł na śmierć.

W godzinę potem na stokach cytadeli tracono go... Moskwa pragnęła traceniu Traugutta nadać niezwykły rozgłos, wytworzyć z owej chwili epilog powstania. Pod tym ostatnim względem miała słuszność zupełną: był to epilog. Powstanie skończyło w ową noc kwietniową, gdy Traugutta ujęto; zgaśnięcie powstania stało się zarazem chwilą zgaśnięcia władzy powstańczej — Rz. Narodowego. We cztery miesiące po zgaśnięciu Rządu Nar., Moskwa, świecąc swój tryumf u słupa szubienic, na stoku cytadeli warszawskiej, dnia 5. sierpnia 1864 roku, ogłosiła światu o owym zgonie władzy powstańczej, wcielającej w sobie wolę najwyższą narodu i idee jego niepodległości.

Zdawało się Moskwie, że na owym stosie ofiarnym co najwięcej ofiar potrzeba postawić, dla wskazania światu, iż nie pozostał ani jeden kamień nieskruszony z gmachu organizacyi, a szczyt owego gmachu — Rząd Nar. — personifikacya idei państwowej polskiej, która odżyła w umysłach większości narodu, pod ciosami losu w proch się rozsypał.

Postawiono przeto obok Traugutta czterech innych mężów wielkiej prawości charakteru, mężów szlchetnych, gotowych śmierć ponieść dla idei narodowej. Nazwała ich Moskwa członkami Rządu Narodowego, i traciła u jednego drzewa szubienicy z Trauguttem. Nazwisko owych mniemanych członków Rządu: Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Roman Żuliński, Jan Jeziorański. Zacni to byli i pełni po-

ludzi wplatać i umieścić w wyroku, który wszystkich nie-  
ujętych na śmierć zaocznie skazał<sup>1)</sup>).

Z liczby traconych jednocześnie z Trauguttem, jeden tylko Roman Żuliński wzięty został wprost ze stanowiska, od dłuższego czasu zajmowanego, a takim stanowiskiem było naczelnictwo tak zwanej „Expedytury“. Rafał Krajewski zarówno i Toczyski, stali chwilowo poza zakresem pracy powstańczej, nie byli dyrektorami wydziałów, gdy ich ujęto. Przeszłe stanowiska zamieniła im komisya śledcza na rzeczywiste, wówczas spełniane, i tem samein w wyroku procesu Trauguttowskiego figurowali oni w charakterze ówczesnych dyrektorów, co wielką Moskwie sprawiało radość, że wszystkie stanowiska mogła w swych wykazach wskazać jako sobie znane, a wszystkie osoby, stojące na czele owych stanowisk, jako ujęte, tracone, lub w inny sposób skazane.

Jan Jeziorański, który „Expedyturę“ objął po uwięzieniu R. Żulińskiego i zaledwie parę tygodni, jeśli nie krócej, funkcję swoją pełnił, nie brał przedtem w organizacyi udziału. Sięgnął po lemiesz pracy późno, ale wytrwał w godzinie prób tak szczerze i wzniośle, iż ze wszechmiar go-dzien owego wyróżnienia, które mu Moskwa wytworzyła.

Niemniej i inni trzej, którzy uzupełniali to grono tracone z Trauguttem, pod wielu względami byli mężowie niezwykłej miary. Toczyski przebył już był dawniej syberyjskie długie wygnanie, zawsze nader poważnie na obowiązki wobec kraju patrzący i spełniający je z gorliwością budującą każdego; nawet w ostatnich dniach życia, w więzieniu, o tych obowiązkach nie zapominał. Moskwa, nie znalazłszy w nim win wielkich, o które posądzała, pierwotnie chciała go lekko karać; umieszczono go przeto w jakiejś ogólnej

---

<sup>1)</sup> Artur Wołyński, później człowiek świecki i znany literat włoski i polski, († w Rzymie w 1893 r.) był używany w połowie 63 r. do przepisywania papierów, przez Gerw. Gzowskiego, referenta w wydz. spr. zagr., a przy końcu tegoż roku i później, do tejsze samej czynności używał go M. D., sekretarz Rusi. Woł. chował minuty z papierów przez siebie przepisywanych i uykając za granicę (bez potrzeby żadnej), wywiózł, i owe świstki, i blankiety niektóre Rz. Nar. (zdobyte inną drogą), co dało mu możność we Włoszech do pozwania, że jest b. dygnitarzem organizacyi.

Dowolność, jak w wielu razach, rozstrzygającym była tu czynnikiem. Cały wyrok oparto na fałszywych danych. Z organizacyi zburzonej małą jedynie liczbę osób miano w rękę, lecz że chciano przed swoją władzą najwyższą okazać olbrzymią gorliwość i sięgnąć po najobfitsze nagrody, posługiwano się fantazyą. Wytworzono więc z fantazyj i przepuszczeń najdowolniejszych, na niczem nie opartych, szereg różnych dygnitarzy powstańczego Rządu. Nie porzestając przeto na wytworzeniu, z domysłów i fantazyi komisyi śledczej, czterech członków Rządu Narodowego, i daniu ich, jeżeli nie na towarzyszy prac, to na towarzyszy śmierci Trauguttowi, wysnuwano z krainy przypuszczeń innych powstańczych dostojników.

A więc wytworzono z fantazyi dyrektora spraw zagranicznych i jego sekretarza: nie mogąc mieć w rękę prawdziwych, pocieszano się posiadaniem na papierze falsyfikatów. Pierwszym uczyniła komisya śledcza Księdza Albina Dunajewskiego, drugim młodziutkiego kleryka Artura Wołyńskiego. Obie te osobistości tak bardzo różne, tak nic z sobą niemające wspólnego, nie były w rękę Moskwy i nie brały żadnego nawet udziału w organizacyi. Ksiądz Dunajewski, obecnie Księżę biskup krakowski i kardynał, był w owej epoce powoływany przez Wielopolskiego do Warszawy, gdzie sprawował obowiązki regensa seminarjum dyecezyalnego, lecz widząc, że się zanosi na wielkie zmiany, obalające autonomiczne instytucye, a terroryzm wzmaga się, opuścił swe stanowisko i wrócił do Galicyi, której był obywatelem. Do spraw organizacyi ręki w niczem nie przykładał. Artur Wołyński, rodem z Łowicza, młodziutki kleryk, dość zdolny, a mocno ambitny, acz nie należał do żadnych, by najmniejszych robót w powstańczej organizacyi, opuścił kraj tajemnie, pozując przed najbliższymi swymi, że względy polityczne każą mu kraj opuścić. To lekkomyślne mówienie młodzieniaszka, w którym nie oszczędzał i swego duchownego zwierzchnika, księdza Albina Dunajewskiego, skoro do władz moskiewskich doszło, użytkowano było w celu wytworzenia fałszywego dyrektora spraw zagranicznych, a zarazem i fałszywego jego sekretarza. Moskwa chętnie użytkowywała te lekkomyślne chwalby, byle co najwięcej

ziennej wierszyk, w którym przebacza tym, co niebacznie, upadając na duchu, oddali wielu na łup Moskwy; wskazuje iż „nie u żyjących wszystkie nasze siły“, z grobów zamordowanych urosną latorośle drzewa wolności... Wroga zwyciężą późniejsze pokolenia, lecz nie orężem... przejedna go miłość chrześcijańska... Łabędzi śpiew ten tak brzmiał:

„I odpnęć nam naszą winę  
 Jak my winowajcom“.  
 Bracia, my w zbożną godzinę  
 Odpnęćmy słabym i zdrajcom...  
 Z upadłej sprawy — ojeźźnie  
 Zostawmy posiew przyszłości,  
 Gdy krwi nie stało w spnéciznie  
 Oddajmy na siew swe kości...  
 Krew nasza lała się marno,  
 Bóg nie wsparł walki oręża;  
 Więc nowe rzucajmy ziarno,  
 Tę miłość, co świat zwycięża...  
 Siew dla przyszłości rozpleni,  
 Kto szubienicę w Krzyż zmieni..  
 Wołajmy: Odpnęć im Panie,  
 W szczerzej miłości i wierze,  
 A sprawa zmartwychpowstanie  
 I nowi wstaną rycerze...  
 Zbierajmy zacne imiona,  
 Upadłym podajmy rękę,  
 Złe wtedy na zawsze skona,  
 Gdy padnie na Bożą mękę..

Listy, któremi Rafał Krajewski żegna swych najbliższych — a były to siostry młodziutkie, ich bytem, młodocianemi laty, kształceniem ich serc on jedynie opiekował się — zawierają niejedną myśl wzniosłą, świadcząc wymownie, iż górnemi szlaki kroczył ten niepospolity umysł, umiejący utrzymać się godnie na wyżynach, na których los go postawił<sup>1)</sup>. Nie trzymany zbyt ściśle w więzieniu, jak kilku

<sup>1)</sup> Rafał Krajewski umierał w 30 roku życia, urodził się bowiem dnia 24. października 1834 r., około Pułtaska, w Zempicach-wielkich,



koszarze z więźniami kwalifikującymi się na mniejsze kary — poza murami „X. Pawilonu“ — i tam Toczyński uczył czytać wieśniaczą młodzież ujętą w szeregach powstańczych oddziałów. W przeddniu śmierci zabrano go właśnie od elementarza do X. Pawilonu, z kąd nazajutrz poszedł na śmierć.

Roman Żuliński, pełen ducha religijnego, w ostatnich dniach przed zgonem pragnął młodego współwięźnia, Gustawa Papr., który był mozaistą, na katolicyzm nawrócić. Była to ostatnia praca podejmowana przez owego niepospolitego obywatela kraju, przez cały trzydziestoletni, szlachetny żywot swój poświęcającego się dla innych, dla ziomeków, dla dobra rodziny, dla dobra ojczyzny. Szedł on na śmierć tak tchnieniem życia ziemskiego nieskalany, jak dziecko, które spoczywa w kolebce... Szczegół ten podnosimy dla wskazania jak idealnie wzniosłymi były dusze owych niepospolitych mężów, traconych w nigdy niezapomnianym dniu 5. sierpnia. Coś dziwnie niebiańskiego było w każdej z tych postaci... Roman Żuliński, pisząc list z pożegnaniem w przeddniu śmierci, woła do matki, sióstr, braci: „Za chwilę myśl moja oderwę od świata. . nie płaczcie, tak jak ja w tej chwili, nie przestając was kochać, nie płacę; lecz z wiarą w przyszłe życie mam nadzieję, że Bóg nas kiedyś razem połączy. Ja szczęśliwszy od was. . czyliż nie lepiej, nie lżej wyprawiać się obok kapłana i świętymi sakramentami wzmocnionemu w drogę wieczności i pokoju trwałego, jak opuszczać dom rodzinny, zrywając węzły najdroższe rodzinnego życia, by prawie bezużytecznie zginać w śniegach Sybiru“..

Nikommu z tych mężów niezmiernej miłości ojczyzny nie przychodzi ani na chwilę myśl o ich własnej boleści, iż żegnają niespodzianie w pełni sił życia ziemię, zrywając gwałtownie nici wiążące z rodziną, którą każdy z nich liczniejszą, lub mniej liczną posiadał, i każdy ją kochał, ale boją boleścią innych, myślą, ażali spełnili wobec ojczyzny wszystkie swe obowiązki. . Żuliński przeto, w rzewnej odezwie do rodziny, mówi: „Czegom nie dopełnił — wy najdrożsi i dziatki wasze cnotliwem, i wedle woli Boga życiem, dopełnijcie. Tego rodzaju związek mój z wami rozerwany nie zostanie“. A Rafał Krajewski, ta postać podniosła i poezyi pełna, w smętnej przeczuciu zgonu, kreśli w celi wię-

wrócenie kielicha, kończę — lecz nie moja, ale Twoja wola. Pragnę żyć i chętnie zrobię wszystko, co w mojej mocy dla zachowania życia, ale jeżeli tego potrzeba, umrę bez rozpaczy, wszak kiedyś umrzeć muszę; życie cenię jako pole pracy nie rozkoszy; jeżeli Bóg mnie wcześniej od tej pracy odwoła uznaję w tem miłosierdzie Jego. Widmo śmierci dla mnie nie nowe, z wiedzą tu szedłem, nie liczyłem na to, że do dziś dożyję, a że mi życie zostało przedłużonem, Bogu niech będą za to dzięki: ile tygodni tyle lat przeżyłem, dojrzewając duchem, a nie słabnąc ciałem. Zazdrościcie mi szczęścia — dla mnie już nie ma kary! Życie przyjmę jak łaskę i śmierć przyjmę jak łaskę; widzicie — Bóg ze mną i ja chcę być z Nim“...

Na cztery godziny przed zgonem, a więc o świcie w dniu tracenia, pisze po raz ostatni do tak bardzo ukochanych siostr, lecz myśl zwrócona wyłącznie ku Bogu, sprawy ziemi już go nic nie obchodzą, wybija uroczysta godzina pożegnania ze światem, który bezzaprzeczenia miał dla niego, dla człowieka w pełni życia, dużo uroku... „I cóż wam w tych ostatnich chwilach powiem? Teraz wiem, że wierzę w Boga i kocham Go; wiem, że do niego idę. Wszak i wy w niego wierzycie, więc nie żałujcie mnie, bo nie ginę, jedno gorsze życie na lepsze zamieniam... Dałem wam już wszystko, com miał — dałem wam na zawsze! A teraz duszo moja powracaj jeszcze na ostatnią pracę“...

Owa „ostatnia praca“, ciężka, zaiste, podniesioną i dokonaną została przez wszystkich wówczas traconych w sposób odpowiadający ważności chwili. Mnóstwo pozostało świadectw, relacyj, świadków naocznych, z jaką powagą mężów przodujących w narodzie i odwagą męczenników szli na śmierć owi pięciu, reprezentujący ideę władzy najwyższej, której podlegał kraj cały, którą obcy nawet poszanowaniem otaczał.

Pierwsze i najwyższe były świadectwa spowiedników, tych w ciągu ostatniej doby najbliższych i jedynych towarzyszy, powierników, świadków wszystkich niemal drgnień serca traconych. Spowiednicy, wnet po egzekucyi, podążyli do domów i rodzin straconych i zdawali sprawę z tego, co przed ich okiem przesunęło się.

innych, o których wspominaliśmy, możność miał tajemnego komunikowania się z siostrami w więście. Szereg tych świstków, ołówkiem skrycie kreślonych, to jeden z doskonałych dokumentów ówczesnej chwili, świadczących o wysokiej moralnej piękności owych dusz pracujących nad wywiarzaniem ojczyzny.

Rzucamy tu kilka zaledwie myśli, jakie skreślił Rafał Krajewski dla siostr, w ciągu ostatnich kilku tygodni swego więzienia i życia zarazem, one charakteryzują człowieka.

„Myśl o kraju dręczy mnie — pisze w jednej z owych kartek — kiedy pomyślę że po nas tylko pułkowie zostało“.

„Ostatnie wstrząśnienie zburzyło resztę tego co pozostało z przeszłości: tradycja odtychczas już tylko w opowieści będzie.“ Niestety, miał snuć biedny więzień jasnowidzenia bardzo zblizone do rzeczywistości. Przedostatnia karta, nana parę dni przed zgonem pisana, wskazuje, iż o takiej bliźnijskiej godzinie śmierci jeszcze nie wie, domyśla się wszakże: „Dziej się wola Boża — pisze — choć proszę Boga o od-

wieście ojca swego, Wojciecha Krajewskiego. Wcześniej odznaczał się charakterem wyrobionym, rozumem nad lata, statecznością, upodobaniem, miłością, wiedzą, a przede wszystkim miłością rodziny, dla której zastępował ojca, matkę, opiekunów. Ukochał nauczyciela gimnazjum w Łomży, a później kształcił się sam, długo, wytrwale w Warszawie, w szkole sztuk pięknych, a w gronie ludzi poważnych, świętych, z którym chętnie obcował. Z zawodu stał się budowniczym, z uzdolnień to poeta, literat, dusza artystyczna, kucpięta, dobru, prawdziwie wzięta dająca. Po obudzeniu się narodu z długiego snienia w roku 1863, Rafał Krajewski należy do umiarkowanych, rozważnych dalekim był od zwolenników ruchu, chociaż i ku nim się sблиzał, byliby miarkowo poszywy zbyt wybijale. Widziano go jednak przeważnie w kole Edwārda Jurjensa. Na wieść o wybuchem powstaniu stanął pod sztandarem Rządu Narodowego, jak każdy Polak w owej epoce, służył sprawie narodowej z poświęceniem bezbrzaznem, naprzedowana stanowiska referenta, później dyrektora wydziału spraw wewnętrznych. Miał w tym czasie zamknąć dnia życia zapalione go granicę wywyższu myśl, poświęceniem dla innych. Według jego planu, Mikołaj, przebiegł do więzienia, a później w ratunku swarawa, wzięci i udawanie, więc już do uwzięzonego popobliże zwał, w kina kilka dni przed wyprowadzeniem go na szafot. Rafał, który tam, według jego planu, w Warszawie, przypomina tego człowieka karającego pod wiela względami po nad poziom społeczeństwa.

dokonana, i skazany zdjął śmiertelną koszulę i zstąpił z rusztowania, wówczas kapłan uradowany darował mu krucyfiks, z którym w dłoni Traugutt umierał.. „Nic cenniejszego dać ci nie mógłbym, mój synu, nad tę pamiątkę po owym mężu prawdziwie świętym..“ mówił kapłan odchodzącemu z pod szubienicy... Zdarzenie to jest jeszcze jednym świadectwem owego bohaterskiego ducha Traugutta, który wszędzie i zawsze, czy na polu pracy, czy w epoce ostatnich wysiłków, gdy podnosił wysoko sztandar Polski bojującej o niepodległość, czy na rusztowaniu, był podziwem dla wszystkich.

\*

\*

\*

Na pięciu wózkach wieziono pięć ofiar, pięciu bohaterów obowiązku, których tracenie miało być dla Moskwy najwyższym tryumfem. Obok każdego z nich siedział spowiednik. Święciła więc Moskwa ten tryumf uroczystie i świetnie, niby dzień radości i chluby swej narodowej. Z całą okazałością wojskową wystąpiła ona na plac egzekucyjny, na stokach cytadeli, dla nadania większej grozy ostatniej scenie krwawego dramatu. Tysiące bagnatów strzegło eszafotu i tłum dygnitarzy i generałów moskiewskich w galowych mundurach wskazywał, jak wielką wagę wróg przywiązuje do owej chwili. Pogląd wroga był prawdziwym: spadała wówczas, zaiste, zasłona nad ziemią zbroszoną krwią, zlaną morzem łez — dramat powstania był skończony... Pochód wiezionych na stracenie rozpoczynał Traugutt, zamykał Jeziorański: ustawiał ich wróg wedle stopnia winy... Poza szeregami wojska i policji zalegały tysiące mieszkańców stolicy obszerne przestworza przed twierdzą... Wprowadzano na rusztowanie i tracono w porządku odwrotnym niż wieziono: pierwszym tracono Jeziorańskiego — ostatnim Traugutta. Pierwszy z nich ostatniego pierwszy raz w życiu ujrzał pod słupem szubienicy, chociaż wedle brzmienia wyroku wrzekomo pracowali oni wspólnie... Dekret odczytywano długo, z pewną ostentacją, a skazani zmuszeni byli wysłuchać go pod szubienicą, która za chwilę stać się miała ofiarnym stołem całopalnej ofiary obowiązku...

Zakonnik, który Żulińskiemu na rusztowanie towarzyszył, przyniósł wieść matce zamordowanego, że jej syn żył czysty, jak święty i jak święty zginął... Spowiednik Traugutta nie miał do kogo udać się... Zamordowany dyktator nikogo z rodziny nie miał w Warszawie; ale wiemy, że dysponujący go na śmierć Kapucyn zdumiał się wobec ogromu rezygnacyi, wobec nieskazitelności duszy a chrześcijańskiego bohaterstwa, z jakim Traugutt śmierć spotykał. Bolesną pracę dysponowania skazanych podejmował ten kapłan w życiu swem wielokrotnie, lecz, jak twierdził, pełen kornego podziwu, nie spotykał nigdzie chyba na kartach martyrologii, ludzi, którzy by szli ku bramom wieczności z takim spokojem prawdziwie niezemskim, z jakim szedł Traugutt.

Wdowie zamordowanego odesłał spowiednik odpowiedź, jaką Traugutt na swój list od żony otrzymał. Przed zgonem polecił to uczynić swemu spowiednikowi, który spełniając polecenie umierającego, dopisał na rzeczonym liście następujące wyrazy: „Odpowiedź tę odebrał na parę dni przed śmiercią i mówił: że napisał wszystko, co w godzinę śmierci mógłby napisać. Chciał tylko dodać błogosławieństwo swoje, i to więcej może niż trzykrotnie powtarzał, że łzami w oczach, ze wzruszeniem w sercu... „błogosławie żonę i dzieci“. Pełen rezygnacyi, spokoju i poddania się woli Boga umarł z prawdziwą odwagą chrześcijańską“.

W kilka dni po zgonie Traugutta, gdy Moskwa znowu na stokach warszawskiej cytadeli wznosiła szubienicę dla trzech skazanych, z których dwóch z rusztowania miało pójść na Sybir, dysponował jednego z mających być ocalonymi <sup>1)</sup> tenże kapłan, który Trauguttowi towarzyszył w ostatnich chwilach pod szubienicą. Otóż ów kapłan, dysponując na śmierć swego penitenta, jako wzór prawdziwie chrześcijańskiego zgonu, stawił mu naprzód bohaterów, ginących dla imienia Chrystusowego, na arenie pogańskiego świata, a obok nich podnosił imię Romualda Traugutta. To imię miało wzorem być, źródłem odwagi, przykładem wzniosłym dla skazanego. Gdy wreszcie egzekucya rozpoczęta nie została

<sup>1)</sup> Antoniego Szmitta, aptekarza z Warszawy.

to, co mogło być — i jest bez zaprzeczenia — chlubą naszą, wawrzynem z przeszłości narodu... Promienna postać Traugutta dzisiaj zapomniana, nieznana... Wierzmy, iż przyszłość, otrząsnąwszy się z chaosu licznych doktrym, z których niektóre są samobójcze, wyszuka wśród zgliszcz przeszłości ową postać bohatera obowiązku i postawi na należnym mu piedestalu dziejowym...

Pisałem w 1893 r.



Dekret, w którym fałsz rozmyślny walczył o lepsze z fantazją wroga, polecono przedrukować we wszystkich gubernialnych gazetach całego państwa, od Kalisza do Kamczatki. Miał to być hymn tryumfu wroga i tej zemsty, która przyświecać odtąd zaczęła Moskałom i przyświecała wciąż całe dziesiątki lat...

Traugutt, podczas czytania wyroku, i później do chwili gdy z kolei i on wstąpił na ów stos ofiarny, odmawiał modlitwy ze swym spowiednikiem, nie zwracając uwagi na to, co się w około dzieje... Złożył wreszcie ręce jak do modlitwy — i w tej pozycji widziano, iż biała postać ta zawisła obok czterech innych...

Wielki jęk z piersi wielu tysięcy ludu wówczas rozległ się, głuszac huk bębnow i dźwięk muzyki moskiewskiej. Wrażenie owej chwili wstrząsało nawet umysły i serca niejednego wśród wrogów, zostawili oni tego rodzaju świadectwa, bardzo wiarogodne, z obcego bowiem obozu pochodzące.

Okolo dziesiątej godziny Traugutt skonał... Ciało straconych dwie godziny wisiały, zanim je wróg nie zabrał i nie pogrzebał w miejscu nieznanem, w fosach twierdzy, posypując wapnem, gwoli pędzemu rozkładowi.

Boleśnie odczuła Warszawa ów dzień tracenia, acz oswojoną już była z drzewem szubienic, z salwą rozstrzelań. Spotykano w dniu tym, w stolicy, przykłady nagłej śmierci z nadmiaru boleści... wśród innych, wiemy, iż nagle skończyła życie niewiasta umysłu i serca podniosłego, znana z prac literackich i obywatelskich, Emilia Guosslin. Skoro jej przyniesiono ze stoków cytadeli wiadomość o dokonanej egzekucyi, padła rażona żalem bezbrzeżnym... Struny życia innych rwały się, pękały, acz nie tak nagle, i rdza smutku strawiła przedwcześnie niejedno istnienie.

Echo owej chwili odbijało się w sposób tragiczny w aercach pokoleń, które już w znacznej części zeszyły ze świata; dzisiejsze pokolenie przeważnie nieświadome ludzi i wypadków ówczesnych. Chaos pojęć utrudnia poznanie i ocenienie bezatronne: charaktery spiszowe, poświęcenia ofiarne, które w owej epoce widziano, które wszędzie stałyby się tytułem do chluby narodu — u nas pochłonoło morze zapoinnienia. Sami wtrącaliśmy w otchłań zagłady







